

# Algis Budrys Projekt Księżyc.

Tłumaczenie:

Lech Jęczmyk i Witold Bartkiewicz

## **SPIS TREŚCI:**

Ten cholerny Księżyc.

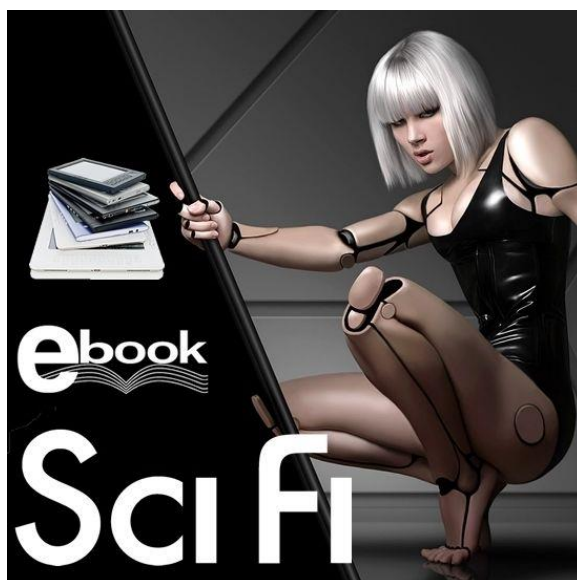
Kryształowa ściana, oko nocy.

Algis Budrys jest pisarzem amerykańskim pochodzenia litewskiego, jak wskazuje niedwuznacznie nazwisko. Rozkwit jego twórczości przypada na okres od końca lat pięćdziesiątych do końca siedemdziesiątych. Napisał garść interesujących opowiadań i kilka ważnych powieści. „Who?” (Kto?) z roku 1958 mówi o wybitnym amerykańskim fizyku, który za granicą ulega wypadkowi i wraca zrekonstruowany przez Rosjan. Czy jeszcze jest sobą? Czy można mu ufać? A może został przekształcony w tajną broń? „Michaelmas” z roku 1977 jest przypowieścią o wszechmocy środków masowego przekazu. W niedalekiej przyszłości faktycznym władcą świata jest popularny dziennikarz telewizyjny, korzystający z pomocy superkomputera.

Przedstawiamy Państwu właśnie „Ten cholerny Księżyc” z roku 1960 to odwieczny temat - bohater, reprezentant gatunku homo sapiens wykonuje nadludzkie zadanie. Kłania się z daleka Herkules i rycerze Okrągłego Stołu, a z bliska choćby bohater „Arsenału” Marka Oramusa.

Powieść Budrysa nosi wszystkie znamiona swojego czasu - pierwsze rosyjskie loty w kosmos, oczarowanie elektroniką (zabawnie przestarzała). Czytana dzisiaj, okazuje się książką o innym, ale przeszłym świecie. Przede wszystkim jednak jest opowieścią o człowieku jako istocie może i nieznośnej, ale wiecznie szukającej, pytającej i badającej z narażeniem życia coraz to nowe obszary.

Na deser dołączamy krótkie opowiadanie „Kryształowa ściana, oko nocy”(Wall of Crystal, Eye of Night).



# Ten cholerny Księżyc

(ROGUE MOON)

*Zatrzymaj się, przechodniu!  
Byłem, czym ty jesteś.  
Ty będziesz, czym ja jestem.  
Gotuj się na śmierć i podążaj za mną.*

## **Rozdział I**

1. Wieczorem pewnego dnia w roku 1959 w pokoju siedziało trzech mężczyzn.

Edward Hawks, doktor nauk ścisłych, oparł swoją długą szczękę na wielkich dłoniach i siedział zgarbiony z kanciastymi łokciami na biurku. Był to ciemnowłosy, blady i chudy człowiek, rzadko wychodzący na słońce. W porównaniu ze swoimi opalonymi, młodymi asystentami przypominał stracha na wróble. Teraz przyglądał się młodemu człowiekowi, który siedział na wprost niego na krześle.

Młody człowiek patrzył przed siebie nie mrugającymi oczami. Jego krótko ostrzyżone włosy były mokre od potu i przyklejone do głowy. Miał regularne rysy i gładką skórę, ale po brodzie ściekała mu ślina.

- Ciemno - poskarżył się. - Ciemno, ani jednej gwiazdy... - Jego głos przeszedł w niezrozumiałe mamrotanie, ale nadal słyszeć w nim było skargę.

Hawks zwrócił głowę w prawo.

W fotelu, który przyniósł sobie do pokoju Hawksa, siedział

Weston, nowo zatrudniony psycholog. Podobnie jak Hawks przekroczył czterdziestkę, ale w przeciwieństwie do niego był raczej tęgi. Sprawiał wrażenie człowieka opanowanego, światowego i teraz nieco zniecierpliwionego. Odwzajemnił się Hawksowi spojrzeniem zza okularów w czarnej oprawie, unosząc jedną brew.

- On oszalał - powiedział Hawks tonem zdziwionego dziecka.

Weston skrzyżował nogi.

- Mówiłem to panu. Powiedziałem to, jak tylko wyciągnął go pan z tego swojego aparatu. To, co się z nim działo, okazało się ponad jego siły.

- Pamiętam, co pan mi mówił - zauważył spokojnie Hawks - ale ja za niego odpowiadam. Muszę się upewnić. - Zaczął się zwracać w stronę młodego człowieka, ale znów spojrzał na Westona. - Zapewniał mnie pan, że jest młody, zdrowy, wyjątkowo zrównoważony i odporny. Takie też sprawiał wrażenie... Był też wybitnie zdolny - dodał Hawks po chwili.

- Mówiłem, że jest zrównoważony - powiedział z przekonaniem Weston. - Nie twierdziłem, że jest nadludzko zrównoważony. Mówiłem panu, że jest wyjątkowo udanym okazem człowieka. Ale pan wysłał go w miejsce, od którego człowiek powinien się trzymać z daleka.

Hawks skinął głową.

- Ma pan, oczywiście, rację. To moja wina.

- Właściwie - wtrącił pośpiesznie Weston - był ochotnikiem.

Wiedział, że to będzie niebezpieczne. Wiedział, że musi się liczyć ze śmiercią.

Hawks nie zwracał już na niego uwagi. Patrzył znów prosto ponad swoim biurkiem.

- Rogan? - odezwał się cicho - Rogan?

Czekał, wpatrzony w prawie bezgłośnie poruszające się wargi Rogana. Wreszcie westchnął i zwrócił się do Westona:

- Czy może pan mu jakoś pomóc?

- Mogę go wyleczyć - powiedział Weston z przekonaniem. -

Kuracja elektrowstrząsowa. W ten sposób zapomni to, co się z nim tam działo. Będzie zdrów.

- Nie wiedziałem, że amnezja po elektrowstrząsach jest trwała.

Weston spojrzał zdziwiony na Hawksa.

- Oczywiście, może wystąpić potrzeba powtórzenia kuracji.

- W określonych odstępach czasu, aż do końca życia.

- Nie zawsze tak jest.

- Ale często.

- No tak...

- Rogan - prawie wyszeptał Hawks. - Rogan, przepraszam cię.

- Ciemno... Boli i strasznie zimno... i tak cicho, że

słyszę samego siebie...

\*

Doktor Edward Hawks szedł samotnie po betonowej podłodze głównego laboratorium. Nie patrząc, wybierał drogę między generatorami i konsolami, aż zatrzymał się przed odbiornikiem przekaźnika materii.

Główne laboratorium zajmowało dziesiątki tysięcy stóp kwadratowych w podziemiach budynku Oddziału Badań Continental Electronics. Przed rokiem, kiedy Hawks zaprojektował przekaźnik, przebito stropy parteru i pierwszego piętra i obecnie przekaźnik wznosił się przy ścianie prawie do nowego sufitu. Oplatała go sieć mostków i galerii, dających dostęp do wskaźników, pokrywających ściany. Krążyły tam dziesiątki ludzi z zespołu Hawksa, dokonując ostatnich pomiarów przed wyłączeniem aparatury na noc. Ich cienie, przesłaniające co jakiś czas któreś z górnych światła, tworzyły na podłodze ruchomą mozaikę. Hawks wpatrywał się w przekaźnik, jakby nie mógł czegoś zrozumieć.

- Ed! - powiedział ktoś nagle.

- Cześć, Sam. - Podszedł do niego Sam Latourette, jego pierwszy zastępca. Był to kościsty mężczyzna z bladym ciałem i zapadniętymi, podkrążonymi oczami. Hawks uśmiechnął się do niego bez przekonania.

- Obsługa przekaźnika kończy obdukcję, prawda?

- Rano znajdziesz na biurku sprawozdanie. Aparatura nie zawiodła. Nigdzie żadnego błędu. - Latourette czekał, aż Hawks okaże zainteresowanie, ale ten tylko kiwnął głową. Oparł się jedną ręką o pionowy pręt i zaglądał do odbiornika.

- Ed! - prawie krzyknął Latourette.

- Słucham, Sam.

- Przestań się zadრęczać. - Znów czekał na jakąś reakcję, ale Hawks tylko uśmiechał się do maszyny i Latourette wybuchnął. - Kogo ty chcesz oszukać? Od jak dawna z tobą pracuję? Od dziesięciu lat? Kto przyjął mnie do pracy? Kto mnie wyszkolił? Możesz udawać przed wszystkimi innymi, ale nie przede mną! - Latourette zacisnął pięść. - Ja cię znam! Do diabła, Ed, to, co się tam stało, to nie twoja wina! Czego się spodziewałeś, że obędzie się bez ofiar? Myślałeś, że żyjemy w świecie doskonałym?

Na twarzy Hawksa pojawił się ten sam uśmiech.

- Wybijamy drzwi tam, gdzie nigdy drzwi nie było -

powiedział, wskazując głową aparaturę. - W ścianie, którą nie my zbudowaliśmy. To się nazywa badanie naukowe. Potem wysyłamy przez te drzwi ludzi. To jest przygoda ludzkości. I coś po tamtej stronie, coś, co nigdy ludziom nie zagrażało, coś, co nigdy nie wyrządziło nam najmniejszej krzywdy ani nie dręczyło nas wiedzą o swoim istnieniu, to coś ich zabija. Zabija ich w okropny sposób, którego nie rozumiemy. A ja posyłam następnych ludzi. Jak to nazwać, Sam?

- Ed, robimy postępy. A ta nowa metoda rozwiąże nasze problemy.

Hawks spojrział na niego z ciekawością.

- To znaczy, kiedy pozbędziemy się wszystkich niedoróbek -

powiedział pośpiesznie Latourette. - Niewiele już trzeba.

To się musi udać, Ed, jestem pewien.

Hawks nie zmienił wyrazu twarzy ani nie odwrócił głowy. Stał, przyciskając końce palców do chropowato wykończonej powierzchni maszyny.

- Chcesz powiedzieć, że już ich tym nie zabijamy, tylko wpędzamy w szaleństwo?

- Pozostał nam do rozwiązania jeden problem - nie dawał za wygraną Latourette. - Musimy lepiej amortyzować wstrząs, jakiego człowiek doznaje w chwili śmierci. Silniejsze znieczulenie, coś w tym rodzaju.

- Rzecz w tym, że muszą tam wejść - powiedział Hawks. - Nie ma znaczenia, jak to zrobią. To coś nie toleruje ich obecności, bo nigdy nie było przewidziane do kontaktu z człowiekiem. To nie było robione na miarę ludzkiego umysłu. Musimy wymyślić nowy język, żeby to opisać i nowe myślenie, żeby to zrozumieć. Dopiero, kiedy w końcu rozłożymy to coś na części, kiedy obejrzymy, obmacamy i obwąchamy każdą jego część z osobna, dopiero wtedy będziemy mogli pokusić się o odpowiedź, co to może być. A to będzie możliwe dopiero, kiedy przez to przejdziemy, cóż więc przyjdzie z naszej wiedzy ludziom, którzy muszą umierać teraz? Niezależnie od tego, kto to tam pozostawił i po co, żadna istota ludzka nie będzie mogła w tym żyć, póki jakaś istota ludzka w tym nie przeżyje. Jak chcesz to wyrazić w sposób zrozumiały dla normalnego człowieka? Mamy do czynienia z czymś potwornym. Musimy albo zacząć myśleć jak potwory, albo dać temu spokój i niech sobie stoi na Księżycu, lichy wie w jakim celu.

- Czy chcesz przerwać badania? - spytał Latourette, chwytając go za rękaw kitla.

Hawks patrzył na niego bez słowa.

Latourette nie zwalniał uchwytu.

- Cobey. Czy to on każe ci przerwać prace?

- Cobey może tylko wyrażać życzenie, ale nie ma prawa wydawać mi rozkazów.

- Jest prezesem spółki i może cię zgnoić! Jest gotów na wszystko, żeby wypłatać Continental z tej sprawy.

Hawks zdjął dłoń Latourette'a ze swojego ramienia i przeniósł ją na obudowę przekaźnika. Sam wsunął dłonie do tylnych kieszeni spodni, odsuwając poły kitla.

- Marynarka początkowo wyłożyła pieniądze na budowę przekaźnika tylko dlatego, że to był mój pomysł. Dla nikogo innego na świecie nie ryzykowałiby taką sumą. Nie na taki szalony pomysł. - Zapatrzył się na maszynę. - Nawet teraz, kiedy się okazało, że to, co znaleźliśmy, jest takie, a nie inne, nawet teraz nie pozwolą Cobeyowi wycofać się z własnej inicjatywy. Dopóki uważają, że mogą jeszcze coś zrobić. Dlatego nie muszę się przejmować Cobeyem. - Uśmiechnął się lekko i trochę z niedowierzaniem. - To Cobey musi się mną przejmować.

- W takim razie co z tobą? Jak długo możesz to pociągnąć?

Hawks cofnął się o krok i przyjrzał się swojemu zastępcy z

namysłem.

- Chodzi ci o projekty czy o mnie?

- No dobrze, Ed, przepraszam. Ale powiedz, co masz zamiar zrobić?

Hawks zmierzył spojrzeniem ogrom przekaźnika. Za ich plecami technicy gasili światła w różnych sekcjach urządzeń kontrolnych. Ciemność zapadała prostokątami na galerii wskaźników, zbliżając się do pojedynczej, zielonej lampki, palącej się nad słowem „wyłączone” w czerwono-zielonym napisie „włączone - wyłączone”.

- Nie mamy wpływu na charakter tego miejsca, do którego ich wysyłamy - powiedział Hawks. - I nie możemy już ulepszyć sposobu, w jaki ich wysyłamy. Jedyne, co jeszcze możemy zrobić, to wysłać innego człowieka. Człowieka, który nie zwariuje, kiedy poczuje, że umiera. - Zajrzał pytająco do wnętrza maszyny.

- Na świecie są różni ludzie - dodał. - Może znajdziemy człowieka, który nie boi się śmierci, człowieka, który myśli o niej z sympatią.

- Jakiegoś wariata - powiedział Latourette z goryczą.

- Może i wariata. Ale myślę, że taki jest nam potrzebny. -

W laboratorium zapadł mrok. - Rzecz w tym, że potrzebujemy człowieka, którego pociąga to, co innych doprowadza do szaleństwa. Im bardziej, tym lepiej. Człowieka, którego podnieca śmierć. - Hawks zapatrzył się przed siebie niewidzącym spojrzeniem. - Teraz wiadomo, kim ja jestem. Jestem alfonsem śmierci.

2. Vincent Connington był dyrektorem personalnym Continental Electronics. Energicznie wkroczył do gabinetu Hawksa i z entuzjazmem potrząsnął jego dłonią. Miał na sobie jasnogranatowy garnitur z szantungu i czerwone, kowbojskie buty. Usiadł w gościnnym fotelu mrużąc oczy od popołudniowego słońca, przenikającego przez żaluzje i rozejrzał się po pokoju.

- Mam taki sam gabinet piętro wyżej - powiedział. - Ale z dywanem i paroma dobrymi obrazami na ścianach wygląda to całkiem inaczej. Z przyjemnością przychodzę tu do pana, doktorze - zwrócił się z uśmiechem do Hawksa. - Zawsze byłem pełen podziwu dla pana. Jest pan kierownikiem działu i nadal pracuje pan na dole ze swoimi ludźmi. Ja cały dzień siedzę za biurkiem i tylko pilnuję, żeby moi czegoś nie sknócili.

- Wychodzi to panu całkiem dobrze - powiedział Hawks bez wyrazu. Podświadomie podciągnął się w fotelu i ułożył twarz w pozbawioną emocji maskę. Zerknął raz na buty Conningtona i zaraz odwrócił wzrok. - W każdym razie pański dział przysyła mi znakomitych techników.

Connington uśmiechnął się.

- Nikt nie ma lepszych, ale to nic wielkiego. - Pochylił się i wyjął z kieszeni marynarki notatkę służbową Hawksa. - Ale to zamówienie załatwię osobiście.

- Mam nadzieję, że to się okaże możliwe - powiedział Hawks ostrożnie. - Podejrzewam, że znalezienie człowieka spełniającego te warunki będzie wymagało pewnego czasu. Jednocześnie, jak pan zapewne rozumie, czasu niestety nie mamy. Ja...



Connington przerwał mu gestem.

- Ja go już mam. Miałem go na uwadze od dawna.

- Naprawdę? - Uniósł brwi Hawks.

Connington uśmiechnął się chytrze po drugiej stronie metalowego biurka.

- Trudno w to uwierzyć, co? - Odchylił się na oparcie fotela. - Przypuśćmy, że ktoś przychodzi do pana i zamawia u pana... powiedzmy elektroniczny podzespół do określonych zadań. A pan otwiera szufladę, wyjmuje z niej arkusz papieru i mówi „Proszę bardzo”. A potem, kiedy ten gość przestałby już kręcić z podziwu głową i powtarzać, jakie to nieprawdopodobne, pan by mu wytłumaczył, że elektronika to jest coś, o czym pan myśli bez przerwy. I że jak pan nie myśli o jakimś określonym zadaniu, to myśli pan o elektronice w ogóle. I że interesując się elektroniką i śledząc jej rozwój, wie pan mniej więcej, w jakim kierunku ona zmierza. I że rozmyślając o niektórych przyszłych problemach czasami znajduje pan odpowiedzi z taką łatwością, że właściwie trudno to nazwać pracą. I że odkłada pan te pomysły do szuflady, gdzie czekają, aż przyjdzie na nie czas. Proste, prawda? Żadnych cudów, po prostu utalentowany człowiek, który wykonuje swoją pracę.

Connington znowu wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Tak więc mam człowieka jakby stworzonego do pracy z tą pańską maszyną. Znam go na wylot. I wiem też trochę o panu. Dużo jeszcze muszę się o panu dowiedzieć, ale nie sądzę, żeby czekały mnie jakieś niespodzianki. Ważne, że mam dla pana tego człowieka. Jest zdrowy, jest wolny i sprawdzałem go pod względem bezpieczeństwa co pół roku przez ostatnie dwa lata. Jest do pańskiej dyspozycji, doktorze, to nie żarty.

- Widzi pan, doktorze... - Connington splótł dłonie i odwrócił je na drugą stronę, aż trzasnęło mu w stawach - nie jest pan jedynym manipulantem na tym świecie.

- Manipulantem? - Hawks uniósł nieco brwi.

Connington zaśmiał się cicho z jakiegoś sobie tylko znanego dowcipu.

- Na świecie żyją różni ludzie, ale z grubsza można ich podzielić na dwie nierówne grupy. Są ludzie, których się usuwa z drogi albo ustawia w szeregu i są tacy, którzy tamtych przesuwają. Znacznie bezpieczniej i wygodniej jest iść tam, gdzie cię popchną. Nie ponosi się żadnej odpowiedzialności i jeżeli się wykonuje polecenia, co jakiś czas dostaje się rybę.

Być tym, który porusza innych, nie jest ani bezpiecznie, bo można się wpakować w kłopoty, ani wygodnie, bo człowiek musi się nabiegać i, co więcej, musi sam sobie złapać rybę. Ale za to jest to tysiąc razy ciekawsze. - Spojrzał Hawksowi w oczy. - Czy nie tak?

- Panie Connington - powiedział Hawks odwzajemniając spojrzenie. - Nie jestem przekonany. Człowiek, którego poszukuję, musiałby mieć bardzo rzadkie cechy. Czy jest pan pewien, że może mi go pan dostarczyć natychmiast? Czy mówiąc, że ma go pan w pogotowiu, aby nie przesadza

pan trochę? Podejrzewam, że może pan mieć jakieś swoje cele i korzysta pan ze szczęśliwego zbiegu okoliczności.

Connington odchylił się na oparcie, znów zaśmiał się do siebie i ze skórzanego pudełka ręcznej roboty wyjął zielone cygaro. Odciął koniec złotymi szczypczykami przymocowanymi do pudełka złotym łańcuszkiem i skorzystał ze złotej zapalniczki z rubinem. Zaciągnął się i pozwolił dymowi przesączać się między dużymi, zdrowymi zębami. Oczy błyszczały mu zza kłębu dymu utrzymującego się przed jego twarzą.

- Zachowujmy maniery, doktorze Hawks - powiedział. - Spójrzmy na to logicznie. Continental Electronics płaci panu za kierowanie badaniami, bo jest pan najlepszy w swojej specjalności. - Connington nieco się pochylił, zmienił nieco układ cygara w palcach i nieco inaczej się uśmiechnął. - Mnie Continental Electronics płaci za prowadzenie spraw personalnych.

Hawks zastanowił się przez chwilę.

- Dobrze. Kiedy będę mógł zobaczyć tego człowieka?

Connington odchylił się i z satysfakcją wciągnął porcję dymu.

- Choćby zaraz. Mieszka tu blisko, nad urwiskiem nad brzegiem oceanu.

- Mniej więcej wiem, gdzie to jest.

- To dobrze. Jeżeli ma pan czas na godzinę, to może byśmy się tam wybrali?

- Jeżeli się okaże, że on się nie nadaje, to w ogóle nie będę miał nic do roboty.

Connington wstał i przeciągnął się. Spodnie zsunęły mu się przy tym z wydatnego brzucha i musiał je poprawić.

- Skorzystam z pańskiego telefonu - mruknął niedbale z cygarem w zębach i sięgnął przez biurko Hawksa. Zadzwoił do miasta i rozmawiał z kimś krótko, a przez chwilę kwaśno, informując, że przyjadą. Potem połączył się z garażem firmy i kazał postawić swój samochód pod główne wejście. Odłożywszy słuchawkę znów zaśmiał się pod nosem. - No, to idziemy, samochód będzie czekać - powiedział.

Hawks kiwnął głową i wstał.

Connington wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Lubię, kiedy mi się daje wolną rękę. Lubię też ludzi, którzy pozostają nieufni, kiedy im daję to, czego chcą. - Nadal śmiał się sam do siebie. - Im więcej swobody, tym więcej możliwości działania. Pan tak nie rozumuje. Widząc, że ktoś może panu narobić kłopotów, zamyka się pan w sobie. Chowa się pan w skorupie i siedzi tam, bojąc się konfrontacji. Większość ludzi tak robi. Dlatego pewnego dnia ja zostanę prezesem tej korporacji, a pan wciąż będzie kierować Wydziałem Badań.

Hawks odpowiedział uśmiechem.

- Jak będzie się pan czuł informując zarząd, że moja pensja musi być wyższa od pańskiej?

- Tak - powiedział w zadumie Connington - to możliwe. - Zerknął na Hawksa. - Widzę, że pan nie żartuje. - Strząsnął popiół z cygara na środek biurka. - Czasem musi się pan dusić w tej skorupie.

Hawks z kamiennym wyrazem twarzy spojrział na kupkę popiołu, a potem na Conningtona. Sięgnął do szuflady i wyjął z niej kopertę, którą włożył do kieszeni marynarki.

- Myślę, że samochód czeka - powiedział, zatraskując szufladę.

\*

Jechali nowym cadillakiem Conningtona nadbrzeżną autostradą aż do miejsca, gdzie oddalała się od urwistego brzegu w głąb lądu. Przy małej stacji benzynowej Connington skręcił w wąską polną drogę, wijącą się między kępami karłowatych palm i sosnowymi zagajnikami. Stąd samochód zjechał na żwirową alejkę biegnącą nad urwiskiem, tuż ponad poziomem wody w czasie przyptywu.

Stromy brzeg składał się z szorstkiej, kruchej skały, która pękała pionowo, gromadząc w dole ten sam żwir, który stanowił nawierzchnię alejki. Posuwali się wolno, z jednym błotnikiem wystającym za skraj drogi i drugim prawie ocierającym się o skały. Jechali w ten sposób przez kilka minut, Connington nucił coś pod nosem, Hawks siedział wyprostowany z rękami na kolanach.

Alejka przeszła w pochyłość wyżłobioną wybuchem w pełnym niebezpiecznych nawisów urwisku i prowadziła przez wąski, drewniany mostek nad szerszą od innych szczeliną. Ocean sięgał bezpośrednio do niej i nawet teraz, w porze odpływu, fale wpadały w szczeliny rozbryzgując się wysoko. Woda zalała przednią szybę.

Droga prowadziła dalej, ale Connington zatrzymał wóz, skręcając koła w stronę umocowanej na słupie metalowej skrzynki na listy. Stała ona u wylotu jeszcze węższej dróżki, która wspinała się stromo po ścianie urwiska i znikła za ostrym występem skały.

- To on - burknął Connington, wskazując cygarem w stronę skrzynki pocztowej. - Barker. Al Barker - powiedział, zerkając w bok. - Słyszał pan kiedyś to nazwisko?

- Nie - przyznał Hawks, zmarszczywszy czoło.

- Nie czyta pan wiadomości sportowych? Nie, chyba nie. -

Connington cofnął nieco wóz, żeby móc skierować koła na dróżkę, wrzucił pierwszy bieg i pochylił się nad kierownicą, ostrożnie dodając gazu. Samochód zaczął powoli wspinać się po dróżce z lewym błotnikiem tuż przy skale i prawym zalewanym bryzgami wody.

- Barker to ciekawy gość - mruzczał pod nosem Connington, obracając w zębach mokry koniec cygara. - Spadochroniarz w drugiej wojnie światowej. Przeniesiony do służby specjalnej w 1944. Specjalizował się w zabójstwach. Olimpijski skoczek narciarski. Członek załogi bobslejowej. Mistrz kraju w strzelectwie w roku 1950. Rekordzista w płetwonurkowaniu. Uprawiał wspinaczkę wysokogórską. Kilka lat temu rozbił się hydroplanem nad jeziorem Mead i wtedy go poznałem podczas wakacji. Teraz zbudował wóz wyścigowy i wystawił go do zawodów o Grand Prix. Chce sam startować.

Hawks ściągnął brwi i znów przybrał obojętny wyraz twarzy.

Connington uśmiechnął się krzywo, nie spuszczać wzroku z drogi.

- Czy już teraz mi pan wierzy, że wiedziałem, co mówię?

3. Na szczycie pochyłości ścieżka skręcała i przechodziła w asfaltową alejkę, biegnącą wzdłuż zadbanego, ciemnozielonego trawnika. Automatyczne spryskiwacze nieustannie skrapiały trawę wodą. Na nienaganych rabatach rosły kaktusy i karłowate palmy, o cienione wyższymi cyprysami. Niski dom z cedrowych desek zwrócony był frontem do szerokiego trawnika, a tylna, przeszklona ściana tuż nad skrajem urwiska wychodziła na bezmiar błękitnego oceanu. Lekka bryza poruszała cyprysami.

Pośrodku trawnika mieścił się basen pływacki. Na plażowym ręczniku, twarzą w dół, w żółtym, dwuczęściowym kostiumie leżała opalona, szczupła blondynka z niezwykle długimi nogami i słuchała przenośnego radia. Obok stał termos i szklanka z topniejącą kostką lodu na dnie. Kobieta uniosła głowę, spojrzała na samochód i wróciła do poprzedniej pozy.

Connington opuścił rękę na wpół uniesioną w geście powitania.

- To Claire Pack - powiedział do Hawksa kierując auto ku bocznej ścianie i zatrzymując się na betonowym placu przed drzwiami podziemnego garażu.

- Mieszka tutaj? - spytał Hawks.

Z oblicza Conningtona zniknął wszelki ślad zadowolenia.

- Tak. Chodźmy.

Ścieżką z płaskich kamieni doszli do trawnika i przez trawnik do basenu. W błękitnozielonej wodzie pływał mężczyzna, który z rzadka wychylał głowę, żeby wziąć szybki oddech i natychmiast znów się zanurzał. Pod rozfalowaną, cętkowaną rozbłyskami słońca powierzchnią był nieco tylko przypominającym człowieka, przemykającym z jednego końca basenu na drugi, stworem. Między Claire Pack a brzegiem, obok chromowanej drabinki, leżała zawinięta w przezroczysty plastik proteza nogi. Z radia rozlegała się muzyka Glenna Millera.

- Claire? - odezwał się Connington.

Nie zareagowała na odgłos zbliżających się kroków. Nuciała melodię i wybijała rytm na ręczniku polakierowanymi końcami dwóch długich palców. Przekręciła się powoli na plecy i spojrzała z dołu na Conningtona.

- O - powiedziała bez wyrazu. Jej spojrzenie przeniosło się na twarz Hawksa. Oczy miała jasnozielone z żółtobrązowymi plamkami, źrenice zwężone od słońca.

- Claire, to jest doktor Hawks - powiedział Connington cierpliwie. - Jest wiceprezesem do spraw naukowych w głównych zakładach. Telefonowałem i zapowiedziałem nas. Po co te sztuczki? Chcemy porozmawiać z Alem.

Zrobiła gest ręką.

- Siadajcie. Zaraz wyjdzie z wody.

Connington niezgrabnie opuścił się na trawę. Hawks po chwili precyzyjnie usiadł po turecku na skraju ręcznika. Claire też usiadła, podciągnęła kolana pod brodę i przyjrzała się Hawksowi.

- Jaką pracę chce pan zaproponować Alowi? - spytała.

- Taką, jaką lubi - wtrącił Connington. Kiedy Claire się uśmiechnęła, spojrzął na Hawksa i powiedział:

- Wie pan, stale zapominam. Przyjeżdżam tu z radością, a potem widzę ją i przypominam sobie, jaka ona jest.

Claire Pack nie zwracała na niego uwagi. Patrzyła na Hawksa z rozchyłonymi wargami, wyraźnie zaintrygowana.

- Taką, jaką Al lubi? Nie wygląda pan na człowieka związanego z awanturnictwem. Jak pan ma na imię? - Spojrzała przez ramię na Conningtona. - Daj mi papierosa.

- Edward - odpowiedział cicho Hawks. Patrzył, jak Connington sięga do wewnętrznej kieszeni marynarki, wyjmując nie napoczętą paczkę papierosów, otwiera ją, wytrząsa jednego papierosa i częstuje Claire.

- Zapal - powiedziała, nie patrząc na Conningtona. - Będę do pana mówić Ed - uśmiechnęła się do Hawksa. Jej oczy pozostały spokojne, nieruchome.

Connington za jej plecami otarł usta wierzchem dłoni, zacisnął je na filtrze papierosa i zapalił swoją wysadzaną rubinami zapalniczką. Filtr był w czerwonym papierze, żeby maskować ślady szminki. Pociągnął raz, wsunął papierosa w uniesione palce Claire i schował paczkę do kieszeni.

- Bardzo proszę - powiedział Hawks z lekkim uśmiechem. - A ja będę do pani mówił Claire.

Uniosła jedną brew, zaciągając się papierosem.

- Zgoda.

Connington wychylił się zza ramienia Claire. Jego oczy wyrażały bolesną urazę, ale było w nich coś jeszcze. Coś jakby rozbawienie, kiedy powiedział: - Dziś sami manipulanci, doktorze. I każdy ciągnie w swoją stronę. Ostre towarzystwo. Radzę uważać.

- Postaram się - powiedział Hawks.

- Nie wydaje mi się, żeby Ed był łatwym kąskiem - powiedziała Claire, mierząc Hawksa spojrzeniem.

Hawks nie odezwał się. Mężczyzna w basenie przestał pływać i szedł, rozgarniając wodę rękami. Krótkie, płowe włosy spływały mu z czubka małej, okrągłej głowy. Miał wydatne kości policzkowe, wąski nos i przystrzyżone wąsy. Jego oczy były nieczytelne z tej odległości, przy odbłaskach słońca igrających na mokrej twarzy.

- Takie jest życie - mówił Connington ze złośliwą satysfakcją do Claire Pack, nie zauważając wzroku Barkera. - Piękne i naukowe. Wszystko się równoważy. Nic się nie marnuje. Nikt nie wygrywa z doktorem Hawksem.

- Poznaliśmy się z panem Conningtonem dziś po południu - powiedział Hawks.

Claire Pack roześmiała się z metalicznym podźwiękiem.

- Czy jest pan człowiekiem, któremu można zaproponować drinka?

- Myślę, że to też nie pomoże - warknął Connington.

- Zamknij się - powiedziała Claire. - Więc jak? - Uniosła nieco termos, który sprawiał wrażenie prawie pustego. - Szkocka z wodą?

- Dziękuję, chętnie. Czy pan Barker wolałby, żebym się odwrócił, kiedy będzie wychodził z basenu i zakładał protezę?

- Niech pan na nią uważa - powiedział Connington. - Kiedy już zrobi pierwsze wrażenie, potem się tak nie narzuca.

Claire roześmiała się, odrzucając głowę do tyłu.

- Jak będzie chciał wyjść, to wyjdzie. Może nawet chciałby, żebym sprzedawała bilety na to przedstawienie. Niech się pan o niego nie martwi, Ed. - Odkręciła przykrywkę termosu, wyjęła korek i nalała whisky do plastikowej nakrętki. - Nie mam tu drugiej szklanki ani lodu, Ed, ale jest jeszcze zimna. Może być?

- Ależ tak, Claire. - Hawks wziął kubeczek i pociągnął mały łyk. - Bardzo dobra. - Trzymając naczynie czekał, aż Claire naleje sobie.

- A ja? - odezwał się Connington.

Patrzył, jak falują włosy na karku Claire, jego oczy były ukryte w cieniu.

- Przynieś sobie szklankę z domu - powiedziała i pochyliwszy się trąciła swoją szklanką kubek Hawksa. - Za dobrze zrównoważone życie.

Hawks lekko się uśmiechnął i wypił. Claire położyła mu rękę na kostce.

- Czy mieszka pan gdzieś w pobliżu, Ed?

- Ona będzie się z panem drażnić, zaczepiać pana, a potem pana przeżuje i wypluje. Wystarczy dać jej najmniejszą szansę. To największa diablina obu Ameryk. Ale, oczywiście, Barker musi mieć kogoś takiego koło siebie.

Claire odwróciła głowę i ramiona, po raz pierwszy patrząc wprost na Conningtona.

- Czyżbyś chciał mnie do czegoś zachęcić, Connie? - spytała słodkim głosem.

Jakiś cień przebiegł przez twarz Conningtona.

- Doktor Hawks przyszedł tutaj w interesach - powiedział.

- Każdy zawsze załatwia jakiś interes - odcięła się Claire.

- Każdy, kto jest coś wart. Każdy czegoś chce. Czegoś, co jest ważniejsze od wszystkiego innego. Czyż nie tak, Connie? A teraz ty pilnuj swoich interesów, a ja zajmę się swoimi. - Wróciła wzrokiem do Hawksa w chwili, gdy się tego nie spodziewał. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. - Jestem pewna, że Ed da sobie radę sam - powiedziała.

Connington zaczerwienił się, poruszył ustami, jakby chciał coś powiedzieć, odwrócił się na pięcie i odszedł. Claire Pack uśmiechnęła się zagadkowo do siebie.

Hawks pociągnął whisky.

- On już nie patrzy. Może pani zdjąć rękę z mojej nogi.

Uśmiechnęła się leniwie.

- Connie? Pastwię się nad nim, żeby mu sprawić przyjemność.

Przyjeżdża tu stale, odkąd poznał Ala i mnie. Rzecz w tym, że nie może tu przyjeżdżać sam. Z powodu zakrętu na ścieżce. Mógłby, gdyby zrezygnował z tego wielkiego samochodu, albo gdyby przyjechał z kobietą, która by mu pomogła. Ale on nigdy nie zabiera kobiety i nie chce zrezygnować ani z tego samochodu, ani z butów. Dlatego za każdym

razem przyjeżdża z innym mężczyzną. - Uśmiechnęła się. - Sam się o to prosi, rozumie pan? On to lubi.

- A ci mężczyźni, z którymi przyjeżdża? Czy rzeczywiście przeżuwa ich pani i wypluwa?

Claire odrzuciła głowę do tyłu i wybuchnęła śmiechem.

- Są różni mężczyźni. Jedyni, którzy są warci, żeby się nimi zajmować, to ci, którzy nie dają się załatwić za pierwszym razem.

- Ale po pierwszym razie są następne, prawda? Poza tym, nie chodziło mi o to, że to Connington na nas patrzy. Miałem na myśli Barkera. Właśnie wychodzi z basenu. Czy specjalnie położyła pani jego protezę w takim miejscu, żeby nie mógł po nią sięgnąć? Czy tylko dlatego, żeby wykazać się przed kolejnym nowym mężczyzną swoim okrucieństwem? Czy żeby sprowokować Barkera?

Przez chwilę skóra wokół jej ust jakby zwiotczała.

- Czy chce pan sprawdzić, ile w tym jest prawdy, a ile poży? - Znów całkowicie panowała nad sobą.

- Nie podejrzewam, że to poza. Ale za mało panią znam, żeby mieć pewność - odpowiedział spokojnie Hawks.

- Ja też za mało pana znam, Ed.

Hawks milczał przez chwilę.

- Czy jest pani przyjaciółką Barkera od dawna? - spytał wreszcie.

Claire Pack uśmiechnęła się wyzywająco i skinęła głową.

Hawks też kiwnął głową, jakby uzyskał potwierdzenie jakiejś teorii.

- Connington miał rację - powiedział.

\*

Barker miał długie ręce, płaski owłosiony brzuch i ubrany był w granatowe kąpielówki. Był szczupłym, żylastym mężczyzną.

- Dzień dobry - powiedział krótko, szybkim krokiem przemierzając trawnik. Podniósł termos i napił się prosto z niego odrzucając głowę do tyłu. Sapnął z zadowolenia, postawił termos obok Claire, otarł usta i usiadł. - O co więc chodzi? - spytał.

- Al, to jest doktor Hawks - wyjaśniła Claire obojętnym tonem. - Nie lekarz, tylko ktoś z Continental Electronics. Chce z tobą porozmawiać. Przywiózł go Connie.

- Miło mi pana poznać - powiedział Barker serdecznie wyciągając rękę. Na skórze miał blizny po oparzeniach. Połowa jego twarzy zdradzała subtelne ślady operacji plastycznej. - Znam pańską pozycję naukową. Jestem pełen podziwu.

Hawks uściśnął mu dłoń.

- Nigdy nie spotkałem Anglika imieniem Al - powiedział.

Barker roześmiał się.

- Prawdę mówiąc, taki ze mnie Anglik, jak z koziej nogi telefon. Jestem Indianinem.

- Dziadkowie Ala byli Apaczami Mimbrenio - wtrąciła Claire z jakąś szczególną intonacją. - Jego dziadek był najbardziej niebezpiecznym

człowiekiem na całym kontynencie. A jego ojciec znalazł złoża srebra uznawane za największe na świecie. Czy nadal tak jest, kochanie? - I nie czekając na odpowiedź dodała: - A sam Al studiował na najlepszych uniwersytetach.

Twarz Barkera stężała, wyraźnie zaznaczone kości policzkowe zbieleły. Sięgnął gwałtownie po termos. Claire uśmiechnęła się do Hawksa.

- Al ma szczęście, że nie mieszka w rezerwacie. Prawo federalne zabrania sprzedaży alkoholu Indianom.

Barker spojrział na nią z rozbawieniem i wsunął dłoń w jej włosy.

- Niech się pan nie da zwieść, doktorze. Ona tylko tak żartuje. - Jakby przez nieuwagę jego palce zacisnęły się na kosmykach włosów. - Claire lubi sprawdzać ludzi. Czasem w ten sposób, że się na nich rzuca. To nic nie znaczy.

- Wiem - powiedział Hawks. - Ale ja tu przyjechałem do pana.

Barker jakby nie usłyszał i zmierzył Hawksa zimnym spojrzeniem.

- To ciekawe, jak się poznaliśmy z Claire. Siedem lat temu byłem na wspinaczce w Alpach. Trawersowałem pionową ścianę, wymagało to asekuracji lin i haków, i za występem spotkałem się z Claire. - Teraz jego dłoń pieściła jej włosy. - Siedziała z jedną nogą nad przepaścią, zapatrzona w dolinę i pogrążona w marzeniach. Ot, tak. Bez żadnego ostrzeżenia. Zupełnie jakby siedziała tam od początku świata.

Claire roześmiała się cicho, oparła o Barkera i dopiero wtedy spojrzała na Hawksa.

- Prawdę mówiąc - powiedziała - weszłam tam łatwiejszą drogą w towarzystwie dwóch francuskich oficerów. Chciałam zejść drogą, którą Al podchodził, ale oni twierdzili, że to zbyt niebezpieczne i nie poszli. - Wzruszyła ramionami. - Wróciłam więc z Alem. W gruncie rzeczy nie jestem wcale skomplikowana.

- Zanim to się stało, musiałem trochę poturbować tych Francuzów. Jednego z nich zabrał helikopter. I odtąd zawsze pamiętam, jak jej należy pilnować.

- Jestem kobietą wojownika - uśmiechnęła się Claire. Poruszyła się nagle i Barker opuścił rękę. - W każdym razie oboje chcemy w to wierzyć. Minęło siedem lat i nikt mnie jeszcze nie porwał. - Uśmiechnęła się czule do Barkera, żeby zaraz znów przybrać wyzywający wyraz twarzy. - Może pan coś powie Alowi na temat tej proponowanej pracy?

- Pracy? - uśmiechnął się Barker. - Chcesz powiedzieć, że Connie rzeczywiście przyjechał tu służbowo?

Hawks przyglądał się przez chwilę badawczo Claire i Barkerowi, potem podjął decyzję.

- Dobrze. Rozumiem, panie Barker, że jest pan człowiekiem sprawdzonym przez odpowiednie władze.

Barker skinął głową.

- Tak. Czasem wykonuję jakieś zadania dla władz - uśmiechnął się do jakichś swoich wspomnień.

- W takim razie chciałbym z panem porozmawiać w cztery oczy.

Claire podniosła się leniwie, obciągając kostium kąpielowy na biodrach.



- Pójdę poleżeć trochę na trampolinie. Naturalnie, gdybym była wytrawnym, sowieckim szpiegiem, miałabym ukryte w trawie mikrofony.

Hawks potrząsnął głową.

- Wcale nie. Gdyby pani była wytrawnym szpiegiem, miałyby pani jeden mikrofon kierunkowy, na przykład na trampolinie. To by całkowicie wystarczyło. Jeśli to panią ciekawi, chętnie kiedyś pokażę, jak się tym posługiwać.

Claire roześmiała się.

- Doktor Hawks zawsze wie lepiej. Będę musiała się tego nauczyć. - Odeszła leniwie kołysząc biodrami.

Barker odprowadzał ją wzrokiem, póki nie doszła na drugi koniec basenu i nie ułożyła się na trampolinie. Dopiero wtedy odwrócił się do Hawksa.

- Idzie piękna jak noc, nawet w blasku dnia - powiedział.

- Zdaje się, że pan to lubi.

- O, tak. Mówiłem poważnie. Cokolwiek ona robi lub mówi, musi pan pamiętać jedno. Ona jest moja. Nie dlatego, że jestem bogaty, dobrze wychowany czy uroczy. Jestem bogaty, ale ona jest moja prawem zdobywcy.

Hawks westchnął.

- Panie Barker, jest mi pan potrzebny, żeby dokonać czegoś, czego może dokonać bardzo niewielu ludzi na świecie. A może pan jest jedyny. Tak czy owak, nie mam czasu, żeby szukać tych innych. Czy zechciałby pan spojrzeć na te fotografie?

Hawks sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął kopertę. W środku było kilka fotografii. Przejrzał je z uwagą w taki sposób, że tylko on widział, co przedstawiają, wybrał jedną i podał Barkerowi.

Ten obejrzał ją z zainteresowaniem marszcząc czoło i po chwili oddał Hawksowi, który dołączył fotografię do pozostałych. Zdjęcie przedstawiało krajobraz na pierwszy rzut oka składający się z czarnych, bazaltowych bloków i srebrzystych obłoków. W tle widniały dalsze chmury pyłu i asymetryczne cienie. Stopniowo ujawniały się dalsze szczegóły, w których oko gubiło się i musiało zaczynać od początku.

- To piękne - powiedział Barker. - Co to jest?

- To jest miejsce - odparł Hawks. - A może nie. Może to budowla albo coś żywego. Ale znajduje się to w określonym miejscu, do którego mamy łatwy dostęp. Co do piękności, to proszę zauważyć, że jest to zdjęcie zrobione w jedną pięćsetną sekundy i to osiem dni temu. - Podał Barkerowi kilka następnych fotografii. - Chciałbym, żeby pan obejrzał i te zdjęcia. To ludzie, którzy tam byli.

Barker przyglądał mu się z dziwnym wyrazem twarzy. Hawks ciągnął dalej.

- To pierwszy człowiek, który tam poszedł. Wówczas nie przedsięwzięliśmy większych środków ostrożności niż przy każdej innej ryzykownej wyprawie. To znaczy, daliśmy mu najlepsze wyposażenie specjalne, jakim rozporządzaliśmy.

Barker wpatrywał się teraz w zdjęcie zafascynowany. Palce mu drgnęły i omal nie wypuścił fotografii. W kurczowym uścisku wygiął brzeg papieru i kiedy oddawał zdjęcie, widoczny był na jego skraju wilgotny odcisk palców.

Hawks podał mu następne.

- Tu są dwaj ludzie. Sądziliśmy, że zespół będzie miał większe szanse. - Zabrał zdjęcie i pokazał następne. - Tu jest czwórka. - Schował fotografię i milczał przez chwilę. - Potem zmieniliśmy całkowicie metodę. Skonstruowaliśmy specjalne urządzenie i odtąd nikt już nie zginął. To jest ostatni. - Podał Barkerowi zdjęcie. - Nazywa się Rogan.

Barker uniósł wzrok znad fotografii.

- Czy ktoś go pilnuje, żeby nie popełnił samobójstwa?

Hawks zaprzeczył ruchem głowy, wpatrując się w Barkera.

- Zrobi wszystko, żeby nie umierać po raz drugi. - Zebrał fotografie i schował je do kieszeni. - Przyszedłem tu, żeby zaproponować panu tę samą pracę.

Barker skinął głową.

- Jasne. - Zmarszczył czoło. - Nie wiem. A raczej wiem za mało. Gdzie to jest?

Hawks namyślał się.

- To mogę panu powiedzieć, zanim się pan zdecyduje. Ale nic więcej. To jest na Księżycu.

- Księżyc? Mamy więc pojazdy kosmiczne i cała ta panika wokół sputników to zasłona dymna?

Hawks milczał i Barker po chwili wzruszył ramionami.

- Ile mam czasu do namysłu?

- Ile pan chce. Ale jutro poproszę Conningtona, żeby skontaktował mnie z innym kandydatem.

- Zatem do jutra.

Hawks potrząsnął głową.

- Nie sądzę, żeby znalazł kogoś tak szybko. On chce, żeby to był pan. Nie wiem, dlaczego.

Barker uśmiechnął się.

- Connie zawsze planuje innym życie.

- Widzę, że nie traktuje go pan zbyt poważnie.

- A pan? Są na tym świecie ludzie, którzy działają i

ludzie, którzy kombinują. Ci pierwsi wykonują robotę, ci drudzy usiłują zbierać laury. Zapewne wie pan o tym równie dobrze, jak ja. Nie zdobywa się pańskiego stanowiska, jeżeli nie uzyskuje się rezultatów. - Spojrzał na Hawksa ze zrozumieniem i przez chwilę z sympatią. - Nieprawda?

- Connington jest wiceprezesem Continental Electronics.

Barker splunął na trawę.

- Od spraw personalnych. Specjalista od podkupowania inżynierów z konkurencyjnych firm. Zajęcie w sam raz dla obiboka.

Hawks wzruszył ramionami.

- A kimże on jest? - nalegał Barker. - Ktoś w rodzaju

legalnego naciągacza. Specjalista od wciskania ludziom kitu z plikiem testów psychologicznych w zanadrzu. Różni eksperci próbowali mi wciskać kit i powiem panu, doktorze, że wszyscy są tacy sami. Nazywają nienormalnym wszystko, czego sami nie potrafią zrobić. Potępiają ludzi, którzy robią to, o czym oni nie mają odwagi pomyśleć. Wymachując swoimi ozdobnymi dyplomami z nauk społecznych i syjąc okrągłymi frazesami udają, że robią coś pożytecznego. Ja też jestem wykształcony, a do tego znam świat. Wygram z Conningtonem w każdej sytuacji. Gdzie on był? Co on widział? Co on zrobił? On jest zerem, panie Hawks, w porównaniu z prawdziwym mężczyzną on jest zerem.

Barker obnażył w grymasie lśniące zęby. Napięte mięśnie szczęk naciągnęły skórę na jego twarzy.

- On myśli, że ma prawo robić za mnie plany. Myśli sobie, że to jeszcze jeden palant, którego może wykorzystać, kiedy mu będzie potrzebny i pozbyć się go, kiedy zrobi swoje. Ale to nie jest tak. Czy chciałby pan porozmawiać ze mną o sztuce? Zachodniej albo wschodniej. Albo o muzyce? Może pan wybrać dowolną dziedzinę kultury. Znam wszystkie. Jestem pełnym człowiekiem, panie Hawks... - Barker niezgrabnie wstał. - Jestem lepszym człowiekiem, niż wszyscy, których znam. A teraz chodźmy, dama czeka.

Ruszył przez trawnik. Hawks powoli wstał i ruszył w jego ślady.

Claire, która leżała na wznak na trampolinie, spojrzała na nich i leniwym ruchem usiadła.

- Jak wam poszło? - spytała.

- Nie martw się - odpowiedział Barker. - Będziesz pierwszą, która się dowie.

Claire uśmiechnęła się.

- Jeszcze się nie zdecydowałaś? Czy praca jest za mało atrakcyjna?

Hawks patrzył, jak Barker krzywi się zniecierpliwiony.

Sapnął amortyzator drzwi od kuchni i za ich plecami rozległ

się śmiech Conningtona. Żadne z nich nie słyszało, jak podszedł. Potrząsał opróżnioną szklanką w jednej ręce, w drugiej zachęcająco trzymał napoczętą butelkę. Twarz miał obrzmiałą, oczy czerwone na skutek dużej ilości alkoholu wypitego w krótkim czasie.

- No i jak? Zrobisz to, Al?

Barker natychmiast błysnął zębami w grymasie walki.

- Jasne! - krzyknął desperackim tonem. - Czyż mógłbym przepuścić taką okazję? Za nic w świecie!

Claire uśmiechnęła się słabo.

Hawks obserwował całą trójkę.

- A co innego mógłbyś odpowiedzieć? - roześmiał się

Connington i wyciągnął rękę z ironiczną przesadą. - Oto człowiek słynny z błyskawicznych decyzji. Zawsze takich samych. - Tajemnica się wydała. Pointa dowcipu została wypowiedziana. - Nie rozumiecie, prawda? - zwrócił się do trójki stojącej na brzegu basenu. - To dlatego, że nie patrzycie na świat moimi oczami. Pozwólcie, że wam wytłumaczę.

Technik, taki, jak pan, panie Hawks, widzi świat jako łańcuch przyczyn i skutków. Taki świat jest logiczny, po co więc szukać dalej? Ktoś taki jak Barker widzi świat poruszany czynami silnych ludzi. I twój sposób widzenia też znajduje potwierdzenie.

Ale świat jest wielki i skomplikowany. Częściowa odpowiedź może wyglądać na odpowiedź całkowitą i przez długi czas może się sprawdzać. Hawks, na przykład, może sobie wyobrażać, że manipuluje przyczynami i uzyskuje pożądane skutki. Ty, Barker, możesz myśleć o sobie i o Hawksie jak o nadludziach. Hawks może myśleć o tobie jak o specyficznym czynniku, który on wprowadza do równania, żeby on mógł je rozwiązać. Ty możesz myśleć o sobie jak o niepokonanej postaci, biorącej się za bary z niewiadomym. I tak dalej, i tak dalej, ale kto ma rację? Wy obaj? Może. Może. Tylko czy wy dwaj jesteście w stanie ze sobą współpracować?

Connington znów się roześmiał, wysokie obcasy jego butów wbijały się w trawnik.

- Co do mnie, to jestem personalnym. Nie myślę w kategoriach przyczyn i skutków. Nie szukam bohaterów. Nie wyjaśniam świata. Ja znam się na ludziach. To wystarczy. Ja czuję ludzi. Tak jak chemik zna się na wartościach. Jak fizyk zna się na ładunkach cząstek. Pozytywny, negatywny. Ciężar atomowy, liczba atomowa. Przyciąga, odpycha. Ja je mieszam, ja je komponuję. Biorę ludzi i znajduję im pracę. Dobieram im współpracowników. Biorę grupę surowych ludzi i robię z nich rozpuszczalniki, izotopy, odczynniki, mogę z nich zrobić mieszanek wybuchową, jeżeli zechcę. To jest mój świat!

Czasami zachowuję ludzi, zachowuję ich do właściwej pracy, dla odpowiednich ludzi, z którymi zareagują tak, jak trzeba.

Barker i Hawks, wy będziecie moim majstersztykiem. Bo tak, jak Bóg stworzył jabłka, żeby je jeść, tak was stworzył, żebyście się spotkali... A ja, ja was znalazłem i zderzyłem... I teraz już się stało i nic już nie rozdzieli tej masy krytycznej, jaką tworzycie. Prędzej czy później ona wybuchnie i dokąd wtedy pójdziesz, Claire?

4. Pierwszy odezwał się Hawks. Wyjął z ręki Conningtona butelkę i cisnął ją w stronę urwiska. Butelka zatoczyła łuk i znikła za krawędzią.

- Jest jeszcze parę spraw, które muszę panu wyjaśnić, zanim przyjmie pan tę pracę - powiedział cicho do Barkera.

Na twarzy Barkera widać było napięcie. Wpatrywał się w Conningtona. Teraz rzucił głową w stronę Hawksa.

- Powiedziałem już, że biorę tę cholerną robotę! - warknął.

Claire wzięła go za rękę i zmusiła, żeby usiadł przy niej.

Uniosła się, żeby go pocałować w szyję.

- Oto prawdziwy wojownik. - Przejechała wargami po skórze z zaczątkami zarostu, zostawiając ślady szminki. - On to robi, Ed - mruzczała. - Albo przynajmniej zrobi wszystko, co w ludzkiej mocy.

- Czy nic was nie obchodzi? - wtrącił się Connington, potrząsając głową. - Czy nie słyszeliście, co mówiłem?

- Słyszeliśmy - powiedział Hawks.

- No i co? - pytał z niedowierzaniem Connington.

- O co panu chodzi, panie Connington? - spytał Hawks. - Czy wygłosił pan swą mowę, żeby nas powstrzymać? Czy coś może nas zatrzymać, skoro sprawy potoczyły się zgodnie z pana życzeniami?

- Nie z życzeniami - sprzeciwił się Connington. - Z moim planem. Hawks skinął głową.

- Niech tak będzie - powiedział znudzonym tonem. - Tak myślałem. Chodziło panu tylko o to, żeby wygłosić swoją przemowę. Wolałbym, żeby wybrał pan sobie inną chwilę.

Claire zachichotała srebrzystą kaskadą.

- Biedny Connie. Byłeś taki pewien, że wszyscy padniemy na kolana, a tymczasem jest tak, jak zawsze. Nadal nie wiesz, gdzie nacisnąć.

Connington cofnął się, z niedowierzaniem rozkładając ramiona, jakby chciał ich zderzyć głowami.

- Czy wy wszyscy troje macie źle w głowie? Sądzicie, że ja to wszystko wymyśliłem? Posłuchajcie sami siebie, nawet wtedy, kiedy mówicie mi, że bredzę, każde z was mówi to po swojemu. Nie możecie się od siebie uwolnić ani na chwilę. Pójdziecie i tak tam, dokąd was zaprowadzą nogi, i to wy śmiejecie się ze mnie? Wy śmiejecie się ze mnie?

Nagle obrócił się na pięcie.

**- Idźcie wszyscy do diabła! - krzyknął i pobiegł**

niezgrabnie w stronę auta.

- On nie może w takim stanie prowadzić - powiedział Hawks.

- Nie ma obawy - skrzywił się Barker. - Popłacze sobie w samochodzie i uśnie. Jak się obudzi, przyjdzie szukać pocieszenia u Claire. - Spojrzał na Claire i ruchem głowy przerwał serię pocałunków. - Czy nie tak? Zawsze tak robi, prawda?

Claire zacisnęła wargi.

- Nie mam wpływu na to, co on robi.

- Nie? - spytał Barker. - Może on się zaleca do mnie?

- Może miał ciebie, mnie nigdy - gniewnie, gardłowo warknęła Claire.

Dłoń Barkera strzeliła i Claire opadła na wznak, trzymając się za policzek. Po chwili uśmiechnęła się wyzywająco.

- Robiłeś to już lepiej. Dużo lepiej. Ale to też było niezłe.

- Panie Barker - powiedział Hawks. - Chcę panu powiedzieć, co pana czeka.

- Powie mi pan, kiedy już tam będę - uciał Barker. - I tak się nie wycofam.

- Może on chce to właśnie od ciebie usłyszeć - odezwała się Claire. - Kto powiedział, że tylko Connington jest tu manipulatorem - uśmiechnęła się do Hawksa.

- Jak mogę się stąd dostać do miasta? - spytał Hawks.

- Odwiozę pana - powiedział Barker chłodno, patrząc Hawksowi w oczy. - Jeżeli chce pan spróbować.

Claire zaśmiała się pod nosem i niespodziewanie otarła się policzkiem o udo Barkera. Zrobiła to całym ciałem, jakimś zupełnie wężowym ruchem.

Spojrzała na Hawksa szerokimi, wilgotnymi oczami, obejmując Barkera w pasie.

- Czy on nie jest wspaniały? - powiedziała pełnym czułości głosem. - Prawdziwy mężczyzna.

5. Barker sztywno pośpieszył do garażu i z trzaskiem otworzył drzwi, podczas gdy Hawks czekał na niego na kamiennej ścieżce.

- Niech pan spojrzy, jak on się rusza - mówiła cicho Claire za jego plecami. - On jest jak wspaniała maszyna, zrobiona z najtwardszego drewna i odwagi. Nie ma na świecie drugiego takiego mężczyzny.

Z garażu dobiegł odgłos rozgrzewanego silnika i wkrótce wyłonił się stamtąd z rykiem krótki, szeroki, prawie kwadratowy sportowy wóz.

- Mój nowy wóz! - krzyknął Barker zza kierownicy.

Hawks podszedł, przekroczył pozbawioną drzwi ściankę i wcisnął się na miejsce obok kierowcy. Twarde, metalowe siedzenie było nieco skręcone, żeby dać więcej miejsca kierowcy. Cała maszyna miała nie więcej niż trzydzieści cali w najwyższym miejscu ostro wygiętej przedniej szyby.

- Nie jest jeszcze całkiem dotarty! - krzyknął Barker do ucha Hawksowi.

Claire przyglądała się im z błyszczącymi oczami. Connington, który leżał na kierownicy swojego cadillaka, uniósł nabrzmiałą twarz i wykrzywił wargi w smutnym grymasie.

- Gotów? - krzyknął Barker, dodając gazu i cofając stopę z pedału hamulca tak, że przytrzymał go tylko skrajem gumowego pantofla kąpielowego. - Nie boi się pan, prawda? - spytał, mierząc wzrokiem Hawksa.

- Rozumiem - powiedział cicho Hawks i wyjął kluczyki ze stacyjki.

Barker chwycił go błyskawicznie za przegub.

- Ja nie jestem Connington, a to nie jest butelka, proszę mi oddać te kluczyki.

Hawks rozluźnił palce, ledwo trzymając kluczyki. Drugą ręką zablokował niezręczną próbę przechwycenia ich przez Barkera.

- Niech pan je weźmie tą ręką, którą mnie pan trzyma - powiedział.

Barker powoli wziął kluczyki, Hawks wysiadł z samochodu.

- Jak chce się pan dostać do miasta? - spytała Claire, kiedy ją mijał.

- W młodości dużo chodziłem - powiedział Hawks. - Ale nie po to, żeby udowodnić swoją wytrzymałość.

- Nikomu nie pozwala pan sobą rządzić, prawda?

Hawks odwrócił się i równym krokiem zaczął schodzić w dół.

Prawie jednocześnie Barker krzyknął coś niezrozumiałego, samochód znów zapalił i przemknął obok Hawksa. Barker, wpatrując się przed siebie znad krótkiej maski, rzucił wóz w poślizg. Wznosząc kłęby pyłu, z rykiem silnika ślizgał się przodem zwrócony do skalnej ściany. Z chwilą, gdy lewy przedni błotnik minął róg skały, Barker dodał gazu. Prawa strona wozu przez moment wisiała nad skrajem przepaści. Potem

tylne koła załapały i samochód znikł za zakrętem pierwszego odcinka drogi. Zaraz rozległ się pisk hamulców i odgłos torturowanych opon.

Hawks równym krokiem szedł po kolana w kłębach pyłu, który stopniowo osiadał w dwóch dymiących koleinach znaczących drogę. Barker z rękami zaciśniętymi na kierownicy wpatrywał się w ocean, jego spoconą twarz pokrywał żółty pył. Wóz też był zakurzony i wciąż jeszcze drżał lekko na amortyzatorach, stojąc przy skrzynce na listy, oddzielonej od wody tylko szerokością drogi.

- To był mój rekord - powiedział Barker nie poruszając głową, kiedy Hawks się z nim zrównał.

Hawks skręcił i wszedł na drewniany mostek.

- Chce pan iść na piechotę całą drogę do miasta? - krzyknął za nim ochryple Barker. - Czy jest pan aż tak tchórzliwym śmierdzielem?

Hawks zawrócił. Podeszedł i stanął, opierając ręce na burcie samochodu od strony pasażera. Patrzył na Barkera z góry.

- Oczekuję pana jutro o dziewiątej rano przy głównej bramie. Punktualnie - powiedział.

- Skąd panu przyszło do głowy, że tam przyjdę? Skąd panu przyszło do głowy, że będę wykonywał polecenia faceta, który boi się wsiąść ze mną do samochodu?

- Pan i ja jesteśmy różnymi ludźmi.

- Co to ma znaczyć? - Barker zaczął uderzać dłonią w kierownicę. Zachęcający początkowo gest zmienił się w mechaniczne tłuczenie. - Nie rozumiem pana!

- Pan jest samobójcą - powiedział Hawks. - A ja mordercą. - Hawks zaczął się odwracać. - Będę zmuszony zabijać pana raz po raz na różne niewiarygodne sposoby. Mam nadzieję, że pan rzeczywiście tak to lubi, jak się panu wydaje. Punktualnie o dziewiątej rano, Barker. Proszę się powołać na moje nazwisko, puszczą pana.

Odszedł.

- Dobra - mruknął Barker. Wstał z siedzenia i krzyknął za odchodzącym: - On miał rację, wie pan? On miał rację!

Tworzymy doskonałą parę!

Na jego twarzy igrały refleksy światła odbitego w stłuczonej butelce po whisky na skraju drogi. Wyraz jego twarzy zmienił się gwałtownie, wrzucił wsteczny bieg i z wyciem silnika pomknął z powrotem, znikając za zakrętem jak język w paszczy kameleona.

### **Rozdział II**

Hawks dotarł wreszcie do sklepu z artykułami przemysłowo-spożywczymi w miejscu, gdzie polna droga dochodziła do szosy. Niósł marynarkę przerzuconą przez ramię, a rozpięta pod szyją koszula oblepiała jego wychudzone ciało.

Zatrzymał się i popatrzył na sklep, mały, wyblakły barak z fałszywym frontonem, obok którego stały od Bóg wie jak dawna puste skrzynki po butelkach.

Otarł dłonią czoło, zdjął buty i stojąc jak bocian kolejno wysypał z nich piasek. Potem podszedł do sklepu.

Rozejrzał się w jedną i drugą stronę na szosę, która niknęła w oddali za rozedrganymi mirażami. Przemykały po niej jedynie prywatne samochody, a miráže pozbawiały je kół i rozmywały im dolną część błotników.

Hawks odwrócił się i rozsunał matę z zabrudzoną od częstych dotknięć reklamą pieczywa i wszedł do środka.

Sklep wypełniony był półkami i szafkami, między którymi pozostały tylko wąskie przejścia. W środku nie było nikogo. Wąskie drzwi prowadziły na zaplecze, z którego nie dochodził żaden dźwięk. Hawks zapiął kołnierzyk i poprawił krawat. Zmarszczył czoło i obejrzał się na drzwi. Na futrynie przymocowany był dzwonek, który powinien dzwonić potrącony przy otwieraniu drzwi, ale teraz został zablokowany matą. Hawks przygiął nieco pręt dzwonka. Precyzyjny ruch nie spowodował żadnego dźwięku. Hawks powtórnie wyciągnął rękę do dzwonka, ale się rozmyślił i odwrócił w stronę sklepu. Szosą przejechało jeden za drugim kilka samochodów.

Rozległ się skrzyp żwiru i jakiś samochód podjechał pod dystrybutory. Hawks wyrzwał na zewnątrz i napotkał wzrok młodej kobiety siedzącej za kierownicą starej limuzyny.

Hawks odwrócił się w stronę drzwi na zaplecze, skąd nadal nie dobiegał żaden odgłos. Zrobił krok w tym kierunku i otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć.

Trzasnęły drzwiczki samochodu, kobieta podeszła i zajrzała do sklepu. Była niską, ciemnowłosą dziewczyną o pulchnych wargach, zdradzających teraz niezdecydowanie. Weszła, osłaniając oczy dłonią i spojrzała na Hawksa, który lekko wzruszył ramionami.

Pchnęła drzwi i dzwonek zadźwięczał. Weszła do środka i powiedziała do Hawksa:

- Chcę kupić trochę benzyny.

Na zapleczu nagle coś się poruszyło, rozległ się skrzyp łóżka i człapiące kroki. Hawks wskazał w tamtym kierunku.

- Och, przepraszam - powiedziała dziewczyna. Oceniała garnitur Hawksa i uśmiechnęła się z zażenowaniem. - Myślałam, że pan tu pracuje. - Hawks potrząsnął głową.

Z zaplecza wyłonił się gruby, łysawy mężczyzna w podkoszulce i wojskowych spodniach. Kosmyki siwych, wilgotnych włosów otaczały jego głowę, na spuchniętych stopach miał plażowe sandały.

- Zdrzemnąłem się trochę - powiedział ochrypłym głosem, rozcierając na twarzy ślady od poduszki. Przeniósł wzrok z lady na ich dłonie, upewnił się, że są puste. - Można by mnie obrabować - mruknął, pocierając kark. - Co ma być? - zwrócił się do obojga.

- Ten pan był tu pierwszy - powiedziała kobieta.

Mężczyzna obrzucił spojrzeniem Hawksa.



.N:39

- Pan tu czekał? Nie słyszałem, żeby ktoś wołał. - Spojrzał podejrzliwie na marynarkę, przewieszoną przez ramię Hawksa i omiół wzrokiem półki.

- Długo pan tu był?

- Chcę się tylko dowiedzieć, czy przejeżdża tędy jakiś autobus.

- Ale postanowił pan czekać, póki ja nie wyjdę? A gdyby tymczasem autobus panu uciekł? Byłoby głupio, nie?

Hawks westchnął.

- Czy przejeżdża tędy autobus?

- Dużo autobusów tędy przejeżdża, przyjacielu. Ale żaden z nich nie staje. Wysadzą cię wszędzie, gdzie chcesz, ale zabierają tylko z oficjalnych przystanków. Takie są przepisy. Jest pan bez samochodu?

- Bez. Jak daleko stąd do najbliższego przystanku?

- Jakieś półtorej mili szosą, w tę stronę. - Machnął ręką.

- Stacja benzynowa Henry'ego.

Hawks otarł twarz.

- Może niech pan sprzeda tej młodej damie benzynę, a ja się zastanowię. - Uśmiechnął się krzywo. - Jak pan wróci, może mnie pan zrewidować.

Mężczyzna zaczerwienił się. Jego spojrzenie przebiegło z Hawksa na framugę drzwi.

- Coś pan tu pier... majstrował przy dzwonku? Przepraszam panią za łacinę.

- Tak, poprawiłem go. Tak, żeby nikt już nie mógł pana zaskoczyć.

- Mam tam na zapleczu obrzyna, który wymiótłby na ulicę każdego - mruknął sprzedawca, patrząc ze złością na Hawksa, po czym zwrócił się do kobiety.

- Chce pani benzyny? Już pani służę. - Przepchnął się obok Hawksa do wyjścia, niezgrabnie przytrzymał drzwi, przepuszczając dziewczynę i przez ramię zwrócił się do Hawksa. - A pan niech się lepiej zastanowi, co pan chce robić: iść piechotą, jechać autostopem czy coś kupić, bo mnie się śpieszy. - Wyszczrzył zęby do dziewczyny. - Muszę się zająć tą młodą damą.

Dziewczyna uśmiechnęła się przepaszająco do Hawksa i przecisnęła się przez drzwi, unikając kontaktu z cielskim sklepikarza.

Ten, już za jej plecami, wyciągnął wargi i obiegnął jej ciało obleśnym spojrzeniem.

Hawks patrzył przez okno, jak dziewczyna wsiada do samochodu i prosi o dziesięć galonów zwyczajnej. Mężczyzna wprawnym ruchem zerwał

wąż z uchwytu i nalewał benzynę, gapiąc się na przód samochodu. Kiedy na liczniku pokazało się dziewięć i pół natychmiast wyrwał kapiącego węża z otworu wlewu i odwiesił go na pompę. Potem zmiął pięciodolarowy banknot, który dziewczyna wręczyła mu przez okno.

- Niech pani przyjdzie do sklepu po resztę - mruknął, odchodząc.

Hawks odczekał, aż sklepikarz pochylił się nad ladą, otwierając szufladę z pieniędzmi.

- Ja zaniósę pani resztę - powiedział.

Mężczyzna odwrócił się z pieniędzmi w garści. Hawks spojrzął na dziewczynę, która stała w drzwiach.

- Pozwoli pani? - spytał.

- Proszę - odpowiedziała dziewczyna nerwowo.

Sklepikarz wcisnął resztę w dłoń Hawksa, który spojrzął na nią z góry.

- Co, nie zgadza się za dziesięć galonów? - spytał sprzedawca zaczepnie. - Chce pan iść i sprawdzić cenę na pompie?

- Nie zgadza się za dziewięć i pół galona. Nie muszę sprawdzać, widziałem. - Hawks patrzył w oczy sprzedawcy, który nagle odwrócił się i jeszcze raz zapuścił rękę do szuflady. Podał Hawksowi należność za pół galona.

- Przychodzą tutaj i poniewierają człowiekiem w jego własnym sklepie - mrucał pod nosem. - Niech pan się stąd wynosi, jak pan nic kupuje. - Odwrócił się i znikł na zapleczu.

Hawks wyszedł na zewnątrz i oddał dziewczynie resztę. Kiedy zamknęły się za nim drzwi, dzwonek zadzwonił. Hawks pokręcił głową.

- To ja go tak zdenerwowałem. Przykro mi, że był tak niemiły dla pani.

- To nie pana wina, że on jest taki, jaki jest. - Nie unosząc twarzy, z pewnym wysiłkiem dodała. - Trzeba pana podwieźć do miasta, prawda?

- Wystarczy do przystanku autobusowego. - Uśmiechnął się, kiedy podniosła wzrok. - Zapomniałem, że nie jestem już młodzieńcem. Spacer okazał się dłuższy, niż myślałem.

- Nie musi się pan przede mną tłumaczyć. Ani okazywać paszportu.

Hawks wzruszył ramionami.

- Większość ludzi tego oczekuje. - Pokręcił głową, lekko zdziwiony. - A pani nie?

- Muszę i tak jechać do samego miasta - powiedziała. - Nie ma sensu wysadzać pana na przystanku.

Hawks założył i zapiął marynarkę.

- Dobrze. - Cień pionowej zmarszczki pojawił się między jego brwiami i pozostał tam. - Dziękuję pani.

- Jedźmy zatem - powiedziała dziewczyna. Wsiedli do samochodu i ruszyli, włączając się w ruch.

Przez dłuższą chwilę siedzieli sztywno, podczas gdy samochód mknął po szosie, rytmicznie wydając głuchoe odgłosy na złączach betonowych płyt.

- Nie wyglądam na kogoś, kogo się podrywa - powiedziała dziewczyna.

Hawks spojrzął na nią, nadal nieco zmarszczony.

- Jest pani bardzo ładna.
- Ale nie jestem łatwa! zaproponowałam panu podwiezienie.  
Dlatego, że pan tego potrzebował, jak sądzę.
- Wiem - powiedział cicho Hawks. - I nie sądzę, żeby robiła to pani z wdzięczności. Z tym jegomościem mogła sobie pani doskonale poradzić sama. Ja tylko zaoszczędziłam pani nieco trudu. Nie jestem pani wybawicielem i nie zdobyłem pani ręki w walce na śmierć i życie.
- No cóż - powiedziała.
- Znowu zastawiamy na siebie pułapki. Żadne z nas nie bardzo wie, jak się zachować. Mówimy nie to, co chcemy. Gdyby tamten gość nie wyszedł, do tej pory siedzielibyśmy w tym sklepie, wykonując rytualny taniec wokół siebie.  
Dziewczyna niecierpliwie tupnęła lewą stopą.
- **Dokładnie tak. A teraz robimy to samo, tylko w samochodzie!** Czy może pan coś na to poradzić?
- Hawks wziął głęboki oddech.
- Nazywam się Edward Hawks. Czterdzieści dwa lata, kawaler, wyższe studia. Pracuję dla Continental Electronics.
- Ja nazywam się Elizabeth Cummings. Początkująca projektantka mody. Panna. Mam dwadzieścia pięć lat. - Spojrzała przez chwilę na niego.
- Dlaczego pan szedł pieszo?
- Jako chłopak dużo chodziłem. Miałem dużo do przemyślenia. Nie mogłem zrozumieć świata, a chciałem odkryć tajemnicę udanego życia w tym świecie. Kiedy siedziałem i myślałem w domu, rodzice się martwili. Raz myśleli, że to lenistwo, a kiedy indziej, że ze mną coś nie w porządku. Ja sam nie wiedziałem, co to jest. Gdybym poszedł gdzie indziej, musiałbym się liczyć z innymi ludźmi. Chodziłem więc, żeby być sam na sam ze sobą. Chodziłem tak i chodziłem, ale nadal nie potrafiłem odkryć tajemnicy świata ani swojej. Czułem jednak, że jestem coraz bliżej. Potem, wraz z upływem czasu, stopniowo rozumiałem, jak powinienem zachowywać się w świecie takim, jakim go widziałem. - Uśmiechnął się. - I dlatego szedłem dzisiaj.
- A dokąd zmierza pan teraz?
- Z powrotem do pracy. Muszę poczynić przygotowania do eksperymentu, który jutro uruchamiamy. A pani dokąd jedzie?
- Mam studio w śródmieściu. Ja też muszę dziś popracować do późna.
- Czy da mi pani swój adres i telefon, żebym mógł do pani zadzwonić?
- Tak. Jutro wieczorem?
- Jeżeli mogę.
- Niech mnie pan nie pyta, jeżeli pan zna odpowiedź. Nie mówmy o rzeczach nieważnych tylko dla zabicia czasu.
- W takim razie będę miał pani dużo więcej do powiedzenia.  
Zatrzymała samochód przed główną bramą Continental Electronics.
- Pan jest tym Edwardem Hawksem - powiedziała.
- A pani jest tą Elizabeth Cummings.
- Wie pan, co mam na myśli - zrobiła gest w stronę

kompleksu białych budynków.

Hawks spojrzał na nią z powagą.

- Jestem tym Edwardem Hawksem, który jest ważny dla drugiej istoty ludzkiej. A pani jest tą Elizabeth Cummings.

Kiedy otwierał drzwiczki samochodu, dotknęła rękawa jego marynarki.

- To jest za ciepłe na taki dzień, jak dzisiaj.

Zatrzymał się przy wozie, rozpiął marynarkę, zdjął ją i przewiesił sobie przez ramię. Potem uśmiechnął się, uniósł dłoń na pożegnanie, odwrócił się i przeszedł przez bramę, którą wartownik trzymał już jakiś czas otwartą.

### **Rozdział III**

1. Rano, za piętnaście dziewiąta, w laboratorium zadzwonił telefon. Sam Latourette przejął słuchawkę od technika, który go odebrał.

- Jeżeli jest taki, jak mówisz, to nie wdawaj się z nim w żadne dyskusje, Tom. Powiedz mu, żeby zaczekał, a ja zawiadomię Hawksa - powiedział i odłożył słuchawkę. Potem poczłapał w swoich starych butach do miejsca, gdzie Hawks z zespołem specjalistów z marynarki przygotowywał wyposażenie dla Barkera.

Otwarty skafander leżał na długim stole jak rozkrojony homar. Z jego boków zwisały przewody powietrzne, harmonijkowe stawy nabrzmiewały artretycznie elektrycznymi silniczkami i hydraulicznymi tłokami, które miały nimi poruszać. Hawks podłączył przewody aparatury do stawów i teraz skafander prężył się i podrygiwał, jego nogi przesuwwały się po plastikowej powierzchni stołu, wieloczynnościowe końcówki rąk zaciskały się i otwierały. Jeden z wojskowych techników przywiózł na wózku butlę ze sprężonym powietrzem i podłączył do niej przewody skafandra. Na znak Hawksa hełm, wzmocniony stalowymi grzebieniami, z szybą przesłoniętą krzyżującymi się, stalowymi prętami, zaczął ze świstem wciągać powietrze.

- Zostaw to, Ed - powiedział Sam Latourette. - Ci ludzie poradzą sobie sami.

- Wiem o tym, Sam - Hawks spojrzał przepaszająco na techników, którzy z kolei zwrócili wzrok na Latourette'a.

- Nie ty w tym będziesz chodzić, zostaw to w spokoju! - wybuchnął Sam. - Sprzęt jeszcze nigdy nie zawiódł!

- Ale ja chcę to robić - wyjaśnił cierpliwie Hawks. - Ci chłopcy pozwalają mi bawić się ich klockami.

- Na wartowni czeka ten twój Barker. Daj mi jego przepustkę, to go przyprowadzę. Podobno wygląda obiecująco.

- Nie, sam to zrobię. - Hawks odszedł od stołu i kiwnął głową technikom. - Działa bez zarzutu. Dziękuję wam - powiedział i z wyrazem zafrasowania wyszedł z laboratorium.

\*

Wyszedłszy z budynku ruszył czarną od wilgoci, asfaltową alejką w stronę bramy, początkowo ledwo widocznej w gryzącej mgle. Spojrzał na zegarek i uśmiechnął się sam do siebie.

Barker zostawił samochód na zewnętrznym parkingu i stał za furtką dla pieszych, patrząc nieprzyjaźnie na wartownika, który go ostentacyjnie ignorował. Policzki Barkera były zaczerwienione, a popelinową wiatrówkę przerzucił przez lewe przedramię, jakby szykował się do walki na noże.

- Dzień dobry panu - odezwał się wartownik, kiedy Hawks podszedł bliżej. - Ten człowiek chciał, żebym go wpuścił bez przepustki. Próbował mnie też wypytywać, co pan robi.

- To mnie specjalnie nie dziwi - powiedział Hawks i sięgnąwszy pod kitem do kieszeni marynarki podał wartownikowi przepustkę zakładów i karteluszek z FBI. Wartownik zabrał je do budki, żeby wpisać numery do swojej książki.

Barker spojrzał wyzywająco na Hawksa.

- Co to za miejsce? Jakies bomby atomowe, czy co?

- Nie musi się pan wypytywać. Zwłaszcza ludzi, którzy nic nie wiedzą - powiedział Hawks spokojnie. - Szkoda pańskiego wysiłku. Zachował się pan tutaj tak, jak niestety przewidywałem. - Dziękuję, Tom - zwrócił się do wartownika, kiedy ten wyszedł i otworzył furtkę. Potem znów skierował wzrok na Barkera. - Zawsze otrzyma pan wszystkie niezbędne informacje.

- Czasem okazuje się, że lepiej, kiedy sam mogę zdecydować, co dla mnie niezbędne - powiedział Barker. - Ale - skłonił się w pas, wyprostował i spojrzał w górę, na stalowe obramowanie furtki. - No, cóż, morituri te salutant, doktorze - powiedział z krzywym uśmiechem i wszedł do środka.

Twarz Hawksa drgnęła.

- Proszę założyć identyfikator i iść za mną - powiedział.

Barker wziął identyfikator od czekającego cierpliwie wartownika i przypiął go sobie do kieszonki koszuli.

- Dziękuję ci, Tom - rzucił przez ramię, ruszając za Hawksem.

- Claire nie chciała mnie puścić - powiedział, spoglądając znacząco na Hawksa. - Boi się.

- Tego, co mogę zrobić z panem, czy tego, co może się stać z nią z tego powodu? - spytał Hawks, patrząc przed siebie.

- Nie wiem, doktorze. - Pod napięciem Barkera wyczuwało się zmęczenie. - Ale - powiedział wolno - jestem jedynym człowiekiem poza nią samą, którego się czasem boi.

Hawks w milczeniu zmierzał w stronę laboratorium. Po chwili Barker uśmiechnął się krzywo i też szedł, patrząc pod nogi.

Schody prowadzące z parteru, gdzie zatrzymywały się windy, do znajdującego się niżej laboratorium, wyłożone były stalowymi, przeciwpoślizgowymi płytami. Zielona farba zachowała się nietknięta po bokach, ale w środku została wydeptana, ujawniając tłoczone romby. Kroki Hawksa i Barkera dźwięczały w szarej, jak na okręcie wojennym, klatce schodowej.

- Po tych schodach prowadzi pan rzędy swoich skutych kajdanami i powiązanych łańcuchem ofiar, czy tak? - odezwał się Barker.

- Cieszę się, że znalazł pan inny temat do rozmowy - zauważył Hawks.

- Zapewne niejedynemu okrzyk bólu odbijał się echem w tej wieży. Co jest za tymi drzwiami? Izba tortur?

- Laboratorium. - Hawks otworzył drzwi. - Proszę wejść.

- Z przyjemnością. - Barker wyprostował ramiona, przerzucił zwiniętą wiatrówkę przez plecy i wyminął Hawksa. Zrobił kilka kroków głównym przejściem między skrzynkami, zawierającymi regulatory napięcia, stanął, włożywszy ręce do kieszeni i rozejrzał się dokoła. Hawks też się zatrzymał.

Wszystkie podzespoły były włączone. Barker powoli obracał górną część ciała, przyglądając się rzędom urządzeń modulujących, przy których uwijali się technicy.

- Ale ruch - powiedział, patrząc na ludzi w białych kitlach, sprawdzających odczyty przyborów z zapisami w swoich dokumentach, włączających, wyłączających, regulujących i sprawdzających. Jego spojrzenie zatrzymało się na najbliższym systemie połączonych wzmacniaczy różnicowych. - Kupa przewodów. Podoba mi się. Cuda nauki. Te rzeczy.

- To jest część człowieka - powiedział Hawks.

- Ach, tak? - Barker uniósł jedną brew. - Wtyczki, druty i różne porcelanowe fidrygałki - prowokował.

- Już panu mówiłem - odezwał się Hawks spokojnie - że nie musi się pan wysilać, żeby dostać od nas podwyżkę. Sami panu powiemy. To jest część człowieka. Ten wzmacniacz obok po dostrojeniu stanie się inną jego częścią. Ten cały zestaw wzmacniaczy ma zawierać dokładny elektroniczny zapis człowieka - jego fizyczną strukturę do ostatniej cząstki ostatniego atomu w ostatniej cząsteczce w ostatniej komórce na końcu paznokcia jego małego palca u nogi. Dlatego zna czas i siłę jego reakcji, zakres i istotę jego reflexów, ładunek elektryczny każdej komórki w jego mózgu. Wie wszystko, co musi wiedzieć, żeby poinformować inną maszynę, jak tego człowieka odtworzyć.

Tak się składa, że jest to ktoś o nazwisku Sam Latourette, ale mógłby to być każdy. Jest to nasz człowiek standardowy. Kiedy czytnik (urządzenie wybierające) przekaźnika materii przekształca pana w serię impulsów elektronicznych, informacja zostaje zarejestrowana na taśmie. Jest przekazywana również tutaj, żebyśmy mogli odczytać różnice między panem a standardem. To daje nam dodatkowe odniesienie, kiedy chcemy uzyskać dokładną modulację sygnału. To właśnie będziemy robić dzisiaj. Zapiszemy pana, żeby mieć taśmę kontrolną i różnicowy odczyt, który będzie nam potrzebny jutro, kiedy będziemy przekazywać.

- Co przekazywać?

- Pana.

- Dokąd?

- Mówiłem już panu. Na Księżyc.

- Tak zwyczajnie? Żadnych rakiet, żadnego odliczania?

Zaskwierczy parę lamp i - fiuut! Jestem na Księżycu, niczym trójwymiarowy obraz telewizyjny. - Barker uśmiechnął się. - Czyż nauka nie jest wielka?

Hawks zmierzył go zimnym spojrzeniem.

- Nie przeprowadzamy tu testów na męskość, Barker. My tu pracujemy. Nie musi pan grać przez cały czas.

- Czy pan w ogóle wie, co to jest taki test?

- Niech się pan zamknie, Barker - warknął Sam Latourette, który podszedł do nich niepostrzeżenie.

Barker odwrócił się nonszalancko.

- O rany, człowieku, co to, czy zjadłem ci dziecko?

- Nie denerwuj się, Sam - powiedział Hawks cierpliwie. -

Poznajcie się, panowie. Al Barker, Sam Latourette. Doktor Samuel Latourette.

Barker omiół wzrokiem rząd amplifikatorów.

- Już miałem przyjemność - powiedział do Sama, wyciągając dłoń.

- Nie jest pan zbyt zabawny, panie Barker.

Barker opuścił rękę.

- Nie jestem zawodowym komikiem. A kim pan tu jest, ochmistrzynią?

- Przeglądałem informacje na pański temat - powiedział Latourette, nie zwracając uwagi na zaczepkę. - Chciałem się dowiedzieć, czy może się pan nam tu przydać i chcę, żeby pan zapamiętał jedną rzecz. - Latourette opuścił głowę, wciągając szyję między potężne ramiona. - Kiedy pan rozmawia z doktorem Hawksem, rozmawia pan z jedynym człowiekiem na świecie, który mógł coś takiego zbudować - szerokim ruchem wskazał galerię przyrządów, rusztowania, ścianę amplifikatorów i masyw przekaźnika na końcu sali. - Rozmawia pan z człowiekiem, którego od normalnego, ludzkiego, niechlujnego myślenia - jak pańskie i moje - dzieli taka odległość jak pana od szympansa. Nie jest pan w stanie ocenić jego pracy, ani robić dowcipnych uwag na jej temat. Pańskie problemy psychologiczne nie zasługują na jego uwagę. Został pan tu wynajęty do wykonania określonego zadania, jak my wszyscy. Jeżeli nie jest pan w stanie wykonać je nie robiąc więcej zamieszania, niż jest pan wart, to niech się pan stąd wynosi i nie dodaje mu kłopotów. Ma już i tak dosyć spraw na głowie. - Latourette spojrzał z troską na Hawksa. - Więcej niż dość. - Rozluźnił ramiona i opuścił ręce. - Czy teraz pan rozumie?

Barker słuchał tego uważnie i beznamiętnie. Prawie cały ciężar ciała przeniósł na swoją dobrą nogę, ale poza tym niczym nie zdradzał napięcia. Był śmiertelnie spokojny.

- Sam - odezwał się Hawks. - Chcę, żebyś nadzorował testowanie odbiornika laboratoryjnego. To pilne. Potem będę chciał zobaczyć dane telemetryczne z wieży przekaźnikowej i z odbiornika na Księżycu. Daj mi znać natychmiast, jak skończysz.

Barker patrzył, jak Latourette odwraca się i odchodzi bezgłośnie wzdłuż szeregu wzmacniaczy w stronę sekcji odbiorczej. Grupa techników dokonywała tam fluoroskopii przedmiotów przekazywanych przez inny zespół z nadajnika.

- Proszę ze mną - powiedział Hawks do Barkera i wolno podszedł do stołu, na którym leżał skafander.

- Więc tutaj tak o panu mówią - powiedział Barker. - Nic dziwnego, że traci pan cierpliwość, kiedy ma pan do czynienia z wielkim światem na zewnątrz.

- Panie Barker, to bardzo ważne, żeby pan zajmował się tylko tym, co ma pan tu do zrobienia. Nie ma to związku z żadnym ludzkim doświadczeniem i jeżeli ma się to panu powieść, to jest parę rzeczy, których musi się pan nauczyć. Starajmy się nie mieszać do tego spraw osobistych.

- Tak, jak ten pański chłopak, jak mu tam, Latourette?

- Sam to bardzo dobry pracownik.

- I dlatego sobie tak pozwala?

- Dlatego tutaj jest. Normalnie byłby w szpitalu na środkach przeciwbólowych. Ma nieuleczalny nowotwór. Za rok nie będzie żył.

Mijali niską ścianę połączonych stalowych skrzynek. Barker obejrzał się za siebie.

- Ach, tak - powiedział. - To dlatego on służy tutaj za standard. Żadnych udręk ciała. Życie wieczne.

- Żaden normalny człowiek nie chce umierać - powiedział Hawks, dotykając ramienia Barkera i kierując go lekko w stronę skafandra. Obsługujący go ludzie z marynarki rzucali na Barkera ukradkowe spojrzenia, upewniwszy się najpierw, że nie widzą tego ich koledzy. - W przeciwnym razie na świecie mielibyśmy samobójstwo za samobójstwem.

2. Hawks nie przedstawił Barkera obsłudze. Kiedy doszli do stołu, wskazał ręką skafander.

- To jest maksimum tego, co możemy zrobić, żeby pana ochronić. Wejdzie pan do środka skafandra tutaj, na stole i zostanie pan dowieziony do przekaźnika. W skafandrze zostanie pan przekazany do odbiornika na Księżycu. Już na miejscu przekona się pan, że strój jest lekki i nie krępuje ruchów. Ma pan wspomaganie siłowe, uruchamiane w zależności od nacisku pańskiego ciała. Skafander podporządkuje się wszystkim pana ruchom. Mówiono mi, że człowiek czuje się w nim, jakby pływał. Ma pan zestaw wszystkich narzędzi, o których wiemy, że będą panu potrzebne i kilka innych, które - jak podejrzewamy - mogą się przydać. Jest to coś, czego bardzo chcemy się od pana dowiedzieć. Ważne jest, żeby się pan dobrze oswoił z działaniem skafandra. Większość funkcji jest zautomatyzowana, ale zawsze lepiej się upewnić. A teraz chciałbym, żeby pan w to wszedł, tak, żeby pan porucznik i jego ludzie upewnili się, że wszystko jest w porządku.

Oficer marynarki, kierujący grupą techniczną, wystąpił do przodu.

- Przepraszam, panie doktorze - powiedział - ale, o ile wiem, nasz ochotnik ma protezę. - Tu zwrócił się do Barkera. - Czy mógłby pan uprzejmie zdjąć spodnie?

Hawks uśmiechnął się, zażenowany.

- Potrzymam panu wiatrówkę - powiedział do Barkera.



Barker rozejrzał się, krople zimnego potu wystąpiły mu na czoło. Nie patrząc na Hawksa oddał mu wiatrówkę, odpiął pasek i zsunął spodnie. Stał trzymając je w dłoniach, spojrzął na Hawksa, potem szybko je zwinął i położył na skraju stołu.

- Teraz proszę się położyć w skafandrze i zobaczymy, co trzeba dostroić. - Porucznik dał znak swoim ludziom, którzy otoczyli Barkera, podnieśli go i położyli na wznak w otwartym skafandrze. Barker leżał sztywny, ze wzrokiem wbitym w sufit. - Niech się pan porusza, proszę - powiedział porucznik. - Chcemy się upewnić, że pańskie mięśnie dobrze kontaktują z płytkami uruchamiającymi serwomotory.

Barker sztywno wykonał kilka ruchów.

- Tak, jak myślałem. Protezę należy podbudować w okolicy kolana. Fidanzato... - przywołał gestem jednego ze swoich ludzi. - Zmierz te luzy i zejdź do warsztatu. Potrzebne będą podkładowe regulacyjne. Przepraszam pana - zwrócił się do Barkera - ale musimy zabrać panu protezę. To nie potrwa długo. Sampson, pomóż panu zdjąć koszulę, żebyś mógł założyć uprząż naramienną.

Barker wyrzucił ramiona ze skafandra, chwycił za brzegi pancerza i podciągnął się do pozycji siedzącej.

- Sam zdejmę koszulę, synu - zachrypiał i ściągnął ją przez głowę. Podczas gdy Sampson odpinał mu protezę, Barker, bębniąc palcami po skraju skafandra, przyglądał się spod oka Hawksowi. - Co to, nowe sztuczki Wielkiego Maga?

Wyglądało, jakby czekał na jakąś szczególną odpowiedź. Hawks zmarszczył brwi. Uśmiezek Barkera nabrał jeszcze bardziej ironicznego charakteru. Rozejrzał się wokół siebie. - Cóż, ten też nic nie wart. - pomyślał. - Czy ktoś jeszcze chce spróbować? Może mam sobie przywiązać jedną rękę za plecami?

- To cytat ze sztuki, panie doktorze - powiedział niepewnie porucznik. Spojrzął na Barkera, który poślinił palec i uroczyście napisał w powietrzu X.

- Punkt dla absolwenta oficerskiej marynarki wojennej.

Pozostali członkowie zespołu pracowali, nie podnosząc głów.

- Z jakiej sztuki, poruczniku? - spytał spokojnie Hawks.

- Była w naszej lekturze z literatury angielskiej -

powiedział porucznik, zaczerwieniwszy się, kiedy Barker puścił do niego oko. - Czarownik Merlin zrobił niezwykłą zbroję. Miała być dla sir Galahada, ale kiedy ją robił, wymogi formuły magicznej zmusiły go do wybrania proporcji Lancelota. I mimo że Lancelot zdradzał króla Artura i mieli tego dnia potykać się w turnieju, zbroja nie może być nieużywana. Merlin wzywa więc Lancelota do swojej pracowni i pierwsze jego słowa, kiedy wchodzi i widzi czarodziejską zbroję, są właśnie takie: Co to, nowe sztuczki Wielkiego Maga?

Barker uśmiechnął się do porucznika, a potem do Hawksa.

- Miałem nadzieję, że dostrzeże pan analogię, doktorze.

Ostatecznie, podobno przeczytał pan parę książek.

- Rozumiem - powiedział Hawks. Spojrzał zamyślony na Barkera, a potem zwrócił się do porucznika. - Co odpowiada Merlin?

- Tak, zbroja.

Usta Barkera rozciągnęły się w uśmiechu zadowolenia.

- Zbroja? Czyżbyś, filozofie, w zgrzybiałym wieku miał się rzemiosła? W sękate palce ująłeś młot i wykuteś damasceński pancerz, niczym jakiś płatnerski czeladnik?

Porucznik, przenosząc w niepewności wzrok z Hawksa na Barkera, cytował dalej:

- Jak to zrobiłem, to nie twoja sprawa. Niech ci wystarczy, że kiedy orzeł buduje gniazdo, to tylko orzeł może w nim zamieszkać. Lub ktoś, kto ma na to orła przyzwolenie.

Barker uniósł jedną brew.

- A ja mam przyzwolenie starego ptaszydła?

- Przyzwolenie i modlitwę, łamigłowo - odpowiedział porucznik.

- Ty mnie nie lubisz - ciągnął Barker, spojrzawszy na Hawksa. - I Artur na pewno nie kazałby ci chronić tego ciała przed wszelkim niebezpieczeństwem. O, nie, on przede wszystkim nie troszczy się o moje zdrowie. Powiadasz, że ta zbroja pochodzi od ciebie? Jest więc bezpieczna, po trzykroć mocna twymi zaklęciami? Dlaczego dla mnie? Jak już wspomniałem, ty mnie nie lubisz, dlaczego zatem? Kto ci rozkazuje?

Porucznik oblizał wargi i spojrzał pytająco na Hawksa.

- Czy mam mówić dalej, doktorze?

Hawks uśmiechnął się słabo do Barkera.

- Bardzo proszę, zobaczymy, co będzie dalej. Jeżeli zacieka mi streszczenie, to może kupię całą książkę.

- Tak jest. - Ludzie porucznika nawet nie podnosili głów.

Zaferowany Sampson manipulował przy zatraskach upręży.

- Moje rzemiosło, rycerzu. Tak, jak twoje tobie, bowiem rzemiosło kocha człowieka nie mniej niż kobieta. Weź ją. Żaden koń jeszcze podobnej zbroi nie nosił na grzbiecie. Nigdy takiego mistrza oko nie mierzyło połączeń. Nigdy jeszcze oczy artysty nie połączyły się tak całkowicie z rękami rzemieślnika, żeby od twoich ścięgien zapożyczyć tę siłę sprawczą, której udziałem będzie cała sława. Weź ją i niech cię lichy! Weź ją, ty, któryś zdobył więcej, niż ci się należało i chcesz zdobyć więcej!

- Przemawia przez ciebie zazdrość, starcze - powiedział Barker.

- Nie wiesz o co!

- Nie bądź taki dumny, Magu. Jak sam mówisz, ja też wiem, co to znaczy być sługą swego rzemiosła. I ja mam swoją dumę, tak, jak ty swoją. Czy sądzisz, że moja sława wzrośnie od tego, że za pomocą twego podarunku zdobędę to, co miałbym i bez niego?

- Musisz!

- W przeciwnym razie po cóż twoje sztuczki? Wezmę twój dar, choć mam wątpliwości. Czy ręczysz słowem jego niezawodność? Że nie zawiedzie gdzieś na placu boju, spotkawszy kopię z nieznanym ci czarem?

- Jeżeli zawiedzie, to i ja zawiodę. Padniemy razem w tym boju, mój panie.

Barker niecierpliwie odtrącił Sampsona i poprawił cisnącą go szelkę uprzęży.

- Zatem nie zawieź, mój płatnerzu - szepnął. - Proszę cię, nie zawieź.

Hawks przez chwilę patrzył na Barkera w milczeniu. Potem poślinił palec i nakreślił w powietrzu krzyżyk.

- Punkt dla pełnego człowieka - powiedział. Kiedy to mówił, jego twarz przebiegł skurcz bólu.

3. Fidanzato odszedł z protezą Barkera. Do Hawksa zbliżył się jeden z techników.

- Dzwoni pańska sekretarka. Mówi, że to pilne - powiedział.

Hawks pokręcił głową.

- Dziękuję - powiedział. Poszedł do boksu z telefonem po przeciwnej stronie laboratorium i podniósł słuchawkę.

- Vivian? Tu Hawks. O co chodzi, czy to od Toma Phillipsa? Nie, w porządku, czekałem na wiadomość od niego. Przyjmę tutaj. - Cekał z twarzą bez wyrazu, aż przełączą zamiejscową do laboratorium. Potem dzwonek rozległ się ponownie. - Tak, Tom. U mnie wszystko w porządku. Tak. W Waszyngtonie upał? U nas nie. Tylko smog. - Przez chwilę słuchał wpatrując się w gładką ścianę przed sobą.

- Tak - powiedział wolno.- Raczej spodziewałem się, że raport na temat Rogana będzie miał ten skutek. Nie, posłuchaj, znaleźliśmy nowe podejście. Znaleźliśmy nowego człowieka. Myślę, że on to może zrobić. Nie, nie, nowy rodzaj człowieka, sądzę, że mamy z nim duże szanse. Nie, słuchaj, zapoznaj się z jego historią. Al Barker. Tak. Barker. W archiwum Biura Służb Strategicznych numer 201. I zaświadczenie z FBI. Chodzi o to, że jest zupełnie odmiennym okazem człowieka niż przyzwoity i sympatyczny chłopak jak Rogan. Tak, z dokumentów powinno to wynikać. Może osobista rozmowa przekonałaby komisję? Wiem, że są poruszeni sprawą Rogana i pozostałych, ale może gdybyś...

Wolną lewą ręką szarpał bezwiednie guzik kitla.

- Nie, Tom. Pomyśl tylko. Gdyby to był kolejny ochotnik, ale on jest inny. Posłuchaj... No, dobrze. Jak nie ma czasu, to nie ma czasu. Kiedy mają następne posiedzenie? A mnie się wydaje, że do pojutra jest masa czasu. Mógłbyś tu przyjechać i sam...

Potrząsnął głową i płaską dłonią oparł się o ścianę.

- No, dobrze. Wiem, że jesteś bardzo zajęty. Jeżeli jesteś po mojej stronie i nie musisz tu lecieć, bo masz do mnie zaufanie, to dlaczego nie masz do mnie zaufania? Jeżeli myślę, że następnym razem uda się, to dlaczego mi nie wierzysz?

Słuchał przez chwilę w milczeniu.

- Do diabła - powiedział z gniewem. - Jeżeli komisja podejmie oficjalną decyzję dopiero pojutrze, to dlaczego nie mogę kontynuować doświadczeń do tego czasu? Moglibyśmy się wykazać

pozytywnym wynikiem... Posłuchaj, czy myślisz, że marnowałbym swój czas, gdyby nie pewność, że temu człowiekowi się uda?

Westchnął i mówił dalej przez ściśnięte gardło:

- Posłuchaj, gdybym mógł zagwarantować wynik, nie potrzebowałbym eksperymentów! Próbujmy działać krok po kroku, jeżeli w ogóle mamy coś zrobić! - Hawks przejechał dłonią po twarzy. - W porządku, wracamy do początku, po co się kłócić? Dajesz mi pieniądze, stanowisko, wyposażenie i wszystko inne ze względu na moje nazwisko, ale kiedy pierwszy raz trzeba zawierzyć mojemu słowu, nikt tam nie potrafi na chwilę opanować swojej paniki ignoranta i zastanowić się, z czym mamy do czynienia. Czy myślisz, że ja tu działałam na oślep?

Obliznął wargi i słuchał z uwagą. Po chwili rozluźnił się.

- Zgoda - powiedział z lodowatym uśmiechem. - Zadzwoń do ciebie pojutrze przed południem i zawiadomię cię o wynikach. Tak, uwzględnię różnicę czasu! W porządku. I... nie martw się. Zrobię wszystko, co możliwe. Dobrze. Ty też. Do zobaczenia.

Odłożył słuchawkę i odwrócił się od aparatu ze ściągniętą twarzą. Spojrzał na swoje ręce i schował je do kieszeni kitla.

Sam Latourette czekał na niego i teraz podszedł zaniepokojony.

- Kłopoty, Ed?  
- Pewne. Jutrzejsza próba musi się udać.  
- Bo jak nie, to koniec? - Spytał Sam z niedowierzaniem.  
- Lata pracy i miliony dolarów psu pod ogon? Czy oni poszaleli?  
- Nie, są po prostu ludźmi, Sam. Dla nich wygląda to na pakowanie forsy w beznadziejną sprawę. Poza tym giną ludzie. Czego od nich oczekujesz? Żeby czuli się współwinni bezsensownego zabójstwa? Poza tym koniec z przerzutami na Księżyc nie musi oznaczać końca prac nad przekaźnikiem.

Latourette'owi krew napłynęła do twarzy.

- A, daj spokój, Ed! Wystarczy jedno niepowodzenie i nawet firma daje za wygraną. Wezmą się za to znów, ale nie zaraz i nie z tobą. Sam wiesz. Zwolnią cię i odczekają, aż się trochę uspokoi.

- Wiem - powiedział Hawks. - Za mną się ciągnie odór śmierci. Ale nie robią tego, jeżeli jutro Barker dla nas wygra. Sukces oślepią wszystkich. Chausser. - Uśmiechnął się krzywo. - Poziom kultury bardzo się tu ostatnio podniósł. - Wzruszył ramionami i bardzo cicho powiedział: - Sam, jak skomplikowaną i okropną rzeczą jest umysł człowieka! - I z opuszczoną głową ruszył przed siebie.

Latourette zrobił ruch, jakby go chciał zatrzymać.

- Nie możesz wysłać Barkera! Nie wolno ci uzależniać się od kogoś tak szalonego i nieobliczalnego! Ed, to się nie uda!

Hawks zatrzymał się z rękami w kieszeniach, z zamkniętymi oczami.

- Myślisz, że on sobie nie poradzi?

- Słuchaj, jeśli trzeba będzie z nim wytrzymać dzień po dniu, to będzie coraz gorzej.

- Więc myślisz, że on sobie da radę. - Hawks odwrócił się i spojrzał na Latourette'a. - Ty się boisz, że on sobie da radę.

- Ed, on jest za głupi, żeby nie wiercić ci palcem w każdej ranie, jaką znajdziesz. A ty nie potrafisz go ignorować. Będzie między wami coraz gorzej, a ty...

- Już to mówiłeś, Sam - powiedział Hawks łagodnie. Po chwili odesłał Latourette'a do przekaźnika.

Wrócił do Barkera i patrzył, jak mu przypinają protezę. W kilku miejscach na plastyku w kolorze ciała widać było błyszczące nowością aluminiowe guzy.

- Barker - powiedział wreszcie, przenosząc wzrok na twarz leżącego.

- Słucham, doktorze.

- Musimy się śpieszyć. Byłbym wdzięczny, gdyby pan teraz poszedł na badanie lekarskie, a wszyscy inni, którzy nie są tutaj niezbędni, niech idą teraz na lunch.

- Dobrze pan wie, że w zeszłym tygodniu przeszedłem badanie do ubezpieczenia.

- W zeszłym tygodniu - powiedział Hawks patrząc w podłogę - to nie to samo co dzisiaj. I proszę przekazać doktorowi Holidayowi moją prośbę, żeby się możliwie pośpieszył, nie tracąc nic z dokładności. Zaraz po badaniu proszę tu wrócić. Ja będę za pół godziny.

\*

Przez dwadzieścia minut Hawks czekał samotnie w sekretariacie Bentona Cobeya, cierpliwie wpatrując się w czubki własnych butów. Wreszcie sekretarka powiedziała mu, że może wejść.

Prezes Continentalu siedział za czarnym jak antracyt, tłusto połyskującym tekowym stołem. Sam Cobey był niskim, agresywnym mężczyzną z cofniętą szczęką i wąską, łysą jak kolano głową. Jego mocna opalenizna zalatywała lampą kwarcową, a wargi zdradzały początki sinicy.

- O co chodzi, Ed? - spytał bez wstępów.

Hawks odsunął jeden z foteli dalej od biurka i usiadł poprawiając kanty spodni.

- Znowu jakieś kłopoty w laboratorium? - dopytywał się Cobey.

- To sprawa personalna - powiedział Hawks nie patrząc na prezesa. - A o pierwszej muszę być z powrotem w laboratorium.

- Załatw to z Conningtonem.

- Nie wiem, czy on dziś jest. Zresztą to i tak przekracza jego kompetencje. Chcę, żeby Ted Gersten został moim pierwszym zastępcą. Ma wszelkie kwalifikacje i może zmienić Sama Latourette'a. Potrzebna mi jest twoja zgoda, żeby to zrobić jutro. Jesteśmy przygotowani do nowej próby, a warunki astronomiczne już zaczynają się pogarszać. Chcę dokonać w tym miesiącu jak najwięcej prób i chcę, żeby Sam był już od tego zwolniony. - Prawa ręka Hawksa zaczęła miętosić koniec krawata.

Cobey odchylił się w fotelu i złożył dłonie. Na kostkach wystąpiły mu czerwone plamy.

- Pół roku temu - powiedział cichym głosem - kiedy chciałem odesłać Sama Latourette'a do domu, wyciągnąłeś ten fałszywy pretekst, że jest ci niezbędny do ustawienia wzmacniaczy czy czegoś tam.

Hawks wziął głęboki oddech.

- Firma Hughes Aircraft potrzebuje inżyniera projektanta na krótki kontrakt dla armii. Frank Waxted chce, żeby to był koniecznie Sam.

Cobey pochylił się.

- Waxted nie dzwoniłby do ciebie w sprawie Sama, gdyby nie wiedział, że on jest do wzięcia. Posłuchaj, Hawks, jestem gotów znieść od ciebie wiele, więcej nawet niż muszę znieść od marynarki wojennej. Gdyby nie szacunek dla twoich niezwykłych zdolności, już dawno bym się ciebie stąd pozbył. Ja będę pracować w tej firmie i ta firma będzie istnieć długo po tym, jak ta księżycowa historia pójdzie w niepamięć.

Ale nie próbuj sztuczek za moimi plecami! Nie opowiadaj mi o telefonach od Waxteda, bo stawiam dolary przeciwko centom, że Waxted o niczym jeszcze nie wie!

- Przyszedłem tutaj - powiedział Hawks - żeby załatwić sprawę. Wszystko przygotowałem w taki sposób, żebyś mógł podjąć decyzję na tak lub nie.

- Wiem, że zawsze wszystko robisz porządnie. Ale o co tu chodzi, Hawks? Dlaczego chcesz się nagle pozbyć Latourette'a? - Cobey zmrużył oczy. - Odkąd tu nastaleś, Latourette był twoim cieniem. Kiedy chcę usłyszeć dziesięciminutowy wykład na temat postępów światowej elektroniki, pytam Latourette'a jak się czujesz. Wytlumacz mi w czym rzecz, Hawks. Pokłóciliście się?

Hawks jeszcze ani razu nie spojrzał Cobeyowi w oczy.

- Stosunki międzyludzkie to skomplikowana sprawa. - Hawks mówił powoli i wyraźnie, jakby słowa z trudem przechodziły mu przez gardło. - Ludzie tracą kontrolę nad swoimi emocjami. Im są inteligentniejsi, tym bardziej niepostrzeżenie się to odbywa, bo ludzie inteligentni chlubią się swoim opanowaniem. Zadają więc sobie wiele trudu, żeby zamaskować swoje popędy - nie przed światem, nie są przecież hipokrytami - ale przed sobą. Wynajdują racjonalne uzasadnienia dla nieracjonalnych działań i przedstawiają logiczne wytłumaczenia klęsk. Taki człowiek może zapoczątkować całą serię błędów i doprowadzić do srkaju przepaści, nie zdając sobie z tego ani przez chwilę sprawy.

- Chcesz powiedzieć, że miałeś jakieś starcie z Samem i on chce czegoś innego niż ty.

- Ludzie pod wpływem emocji zawsze uciekają się do gwałtu. Gwałt to nie zawsze strzał z rewolweru, może to być pociągnięcie ołówka na wykresie lub drobna decyzja, która rozwali cały program. Żaden kierownik nie może bez przerwy pilnować swoich pomocników. Gdyby mógł, to nie byliby mu potrzebni. Dopóki Latourette tu pracuje, nie będę miał poczucia pełnej kontroli nad całością.

- A musisz to mieć? Pełną kontrolę?

- Muszę to mieć.

- Zatem Latourette musi odejść. Pół roku temu musiał zostać, czy tak?

- Jest na tym stanowisku najlepszy. Znam go lepiej niż Gerstena. I dlatego wolę teraz Gerstena. Nie jest moim przyjacielem od dziesięciu lat jak Sam.

Cobey przygryzł dolną wargę i powoli uwalniał ją spomiędzy zębów. Potem pochylił się i końcem pióra postukał po notatniku.

- Wiesz co, Hawks? - powiedział. - Tak dalej być nie może. To się zaczęło jako zwykły kontrakt dla marynarki wojennej. My byliśmy tylko dostawcami sprzętu. Potem rząd znalazł to coś na Księżycu i zaczęły się te wszystkie kłopoty i nagle okazuje się, że nie prowadzimy badań nad przesyłaniem ludzi, ale faktycznie ich przesyłamy, bawimy się w telepatię, ludzie nam umierają albo wariują, a ty siedzisz w tym wszystkim po uszy.

Wszedłem tu któregoś dnia rano i znalazłem na biurku list informujący, że jesteś komandorem i że podlega ci działanie i utrzymanie urzędu. Co znaczy, że jako oficer marynarki możesz żądać od nas każdego sprzętu, który - jako jeden z naszych pracowników - uznasz za potrzebny. Rada Nadzorcza nie informuje mnie, na jakiej podstawie przyznaje fundusze. Marynarka nie informuje mnie o niczym. Jesteś podobno naszym pracownikiem, a ja nie wiem, jak daleko sięgają twoje kompetencje, wiem tylko, że pieniądze ConEl są wydawane w nadziei, że któregoś dnia marynarka je zwróci, jeżeli, oczywiście, Kongres nie obetnie w budżecie wydatków na obronę, bo wtedy nie muszą zwracać zgodnie z jakimś mętnym paragrafem w ustawie o obronie narodowej. I wiem, że jeżeli wpędzę Continental w takie długi, że nigdy z nich nie wybrnie, to wyleją mnie stąd na pysk, żeby dać satysfakcję akcjonariuszom.

Hawks milczał.

- Nie ty wymyśliłeś system, w którym muszę pracować -

kontynuował Cobey - ale trzeba przyznać, że wykorzystasteś go do maksimum. Nie ośmielałem się wydać ci polecenia. Jestem pewien, że gdybym chciał cię zwolnić, to okazałoby się, że nie mogę. Ale moja praca polega na kierowaniu tą firmą. Jeżeli uznam, że z twojego powodu nie mogę nią skutecznie kierować i że nie mogę cię zwolnić, to użyję każdej brudnej sztuczki, żeby się od ciebie uwolnić. Może nawet wygłoszę małe przemówienie na temat okrucieństwa emocjonalnego. - Odwrócił się gwałtownie do Hawksa. - Spójrz na mnie, do cholery! To ty robisz tu bałagan, nie ja!

Hawks wstał i odwrócił się do drzwi.

- Mogę, czy nie mogę zwolnić Sama i awansować Gerstena?

Cobey kilkoma skrobnięciami pióra napisał w leżącym przed nim notatniku „Tak!”

Hawks opuścił ramiona.

- To dobrze - powiedział i zamknął za sobą drzwi.

4. Kiedy wrócił do laboratorium, kończono ubieranie Barkera w pierwszy z jego kombinezonów. Barker siedział na skraju stołu przyglądając na sobie jedwabną tkaninę; na szyi i przy przegubach widać było białe smugi talku, sam kombinezon był jaskrawopomarańczowy.

- Wyglądam jak cyrkowiec - powiedział Barker do Hawksa, kiedy ten podszedł.

Hawks spojrział na zegarek.

- Za dwadzieścia minut będziemy gotowi do odczytu. Pan powinien być w zespole testującym przekaźnik za pięć minut. Proszę słuchać uważnie tego, co teraz powiem.

- Czy jest pan przeciwnikiem lunchu?

- Skoncentrujmy się lepiej na pracy. Chcę, żeby pan wiedział, co się będzie z panem działo. Przed samym startem wrócę, żeby spytać, czy pan się na to godzi.

- To bardzo uprzejmie z pana strony.

- To konieczne. A teraz proszę słuchać: przekaźnik

materii analizuje strukturę tego, co przedstawiamy jego czytnikom. Potem transponuje to na sygnał, który jest dokładnym opisem struktury atomowej analizowanego przedmiotu. Ten sygnał zostaje przekazany do odbiornika, gdzie identyczna struktura atomowa zostaje odtworzona z miejscowego zapasu atomów - pół tony skały wystarczy aż nadto. Innymi słowy przekaźnik materii pana rozłoży, a potem prześle do odbiornika informację, jak pana odbudować.

Proces jest bezbolesny i z pańskiego punktu widzenia natychmiastowy. Zachodzi z prędkością światła, podczas gdy ani impulsy elektrochemiczne, które przekazują informacje w pańskim układzie nerwowym, ani poszczególne atomy pańskiego ciała nie poruszają się z taką prędkością.

Zanim zdążyłby pan doznać uczucia bólu lub rozpadu i zanim pańska struktura atomowa miałaby czas na jakieś przesunięcia, poczuje pan jakby to pan stał w miejscu, a wszechświat się przesunął. Nagle znajdzie się pan w odbiorniku, jakby ktoś wszechmocny zrobił ruch ręką, a impuls elektryczny przebiegający między komórkami pańskiego mózgu dokończy biegu tak gładko, że trudno będzie przez chwilę uwierzyć, że został pan przeniesiony w inne miejsce. To nie przesada i chcę, żeby pan o tym pamiętał. To będzie bardzo ważne.

Należy też pamiętać, że faktycznie nie odbył pan żadnej podróży. Ten Barker wychodzący z odbiornika nie ma w ciele ani jednego atomu z pańskiego obecnego ciała. Ułamek sekundy wcześniej były one częścią masy nieorganicznego materiału leżącego w pobliżu odbiornika. Barker, który się tam pojawia, powstał z manipulacji tymi atomami, przez odejmowanie cząstek jednym i dodawanie drugim.

Z punktu widzenia działania nie ma żadnego znaczenia (pamiętajmy, że mówimy o teorii), że Barker, który wychodzi z odbiornika, jest tylko dokładną kopią oryginału. Z ciałem Barkera, z odwzorowaniem komórek mózgu i ich elektrycznymi potencjałami. Ten nowy Barker przejmuje wszystkie pana wspomnienia, łącznie z pamięcią przerwanej w połowie myśli, którą dokończy wychodząc. Ale oryginalny Barker znika na zawsze, a jego atomy zostają przekształcone w energię przekaźnika.

- Innymi słowy - powiedział Barker - jestem nieboszczykiem. Tak, jak mi pan zresztą obiecywał.

- Nie - zaprzeczył Hawks. - Nie - powtórzył wolno - to nie jest to, co obiecywałem. Teoretycznie Barker pojawiający się w odbiorniku jest nie do odróżnienia od oryginału. Jak już mówiłem, będzie miał uczucie, że nic się



nie stało. Będzie pan miał poczucie, że to pan tam stoi. Myśl, że gdzieś tam kiedyś istniał Barker, którego już nie ma, będzie czysto akademicka. Będzie pan o tym wiedział, bo będzie pan pamiętał, jak ja to panu mówiłem. Ale nie będzie pan tego czuł.

Będzie pan wyraźnie pamiętał, jak pana wkładamy do skafandra, jak pana wieziemy do przekaźnika, jak pole magnetyczne w komorze unosi pana w górę, jak gasną światła i jak opuszcza się pan na dno komory. Wtedy uświadomi pan sobie, że jest w odbiorniku. - Hawks skończył dając znak swojemu zespołowi, żeby podszedł z bawełnianą bielizną i gumowanym skafandrem ciśnieniowym, które Barker miał włożyć pod zewnętrzną zbroję. - Nie, kiedy pana zabiję, zrobię to w inny sposób i wtedy będzie pan czuł - dodał.

Podszedł do miejsca, gdzie Sam Latourette sprawdzał przekaźnik, wyciągnął rękę, ale cofnął ją nie dotykając jego ramienia.

- Jak tam, Sam? - spytał.

Latourette obejrzał się.

- W porządku - powiedział wolno - przekazuje przedmioty idealnie. - Kiwnął głową w stronę pracownika trzymającego w ramionach uśpioną małpkę. - Przesyłaliśmy dziś Jocko pięć razy. Odczyt zgadza się idealnie z taśmą zrobioną za pierwszym razem i mieści się w granicach statystycznego błędu w stosunku do zapisu z dnia wczorajszego. Za każdym razem jest to ta sama poczciwa Jocko.

- To maksimum tego, co możemy oczekiwać, prawda?

- Prawda - powiedział Latourette niewzruszenie. - Tak

samo będzie z nim - wskazał głową w stronę Barkera. - Nie martw się.

- Dobrze, Sam. - Hawks westchnął. - Ja też za nim nie przepadam. - Rozejrzał się. - Czy Ted Gersten jest z załogą odbiornika?

- Pracuje na górze przy modulatorach sygnału. Jeden z nich nawalał i Ted rozłożył go na czynniki pierwsze. Mówi, że ma aż nadto czasu, żeby zdążyć na jutro.

Hawks zachmurzył się.

- Pójdę tam i pogadam z nim. Myślę też, że powinien być

tu z nami, kiedy Barker będzie zapisywany. - Odwracając się powiedział: - Lepiej przepuść Jocko jeszcze raz przez przekaźnik. Na wszelki wypadek.

Latourette zacisnął wargi i ruchem ręki przywołał laboranta z małpką.

\*

Gersten był szczupłym człowiekiem z twarzą jak z garbowanej skóry i głęboko osadzonymi oczami. Jego cienkie wargi nie różniły się prawie barwą od reszty twarzy, a kiedy mówił, miało się wrażenie, że z trudem odrywają się od zębów. Kontrastował z tym jego aksamitny bas. Drapiąc się w stalowosiwą czuprynę przyglądał się dwóm technikom, którzy pracowali przy urządzeniu wymontowanym z całej baterii podobnych i rozłożonym na podłodze galerii.

Z góry zwieszały się końcówki przewodów, każdy z trzech pracowników miał wokół siebie część podzespołów. Kiedy Hawks pojawił się na szczycie drabiny prowadzącej na galerię, Gersten odwrócił się w jego stronę.

- Cześć, Ed - powiedział.
- Cześć. - Hawks kiwnął głową i spojrzał na rozłożoną robotę. - O co chodzi?
- Dzielnik napięcia. Przez jakiś czas działa w porządku, potem przerywa i znów się włącza.
- Sam mówi, że poza tym wszystko gra.
- To prawda.
- Dobrze. Słuchaj, będę cię potrzebował przy przekaźniku, kiedy będziemy kodowali tego nowego ochotnika. Możesz zejść ze mną już teraz?

Gersten spojrzał na swoich techników.

- W porządku. Chłopcy świetnie sobie radzą. - Minął tablicę kontrolną i wraz z Hawksem ruszył w stronę zejścia.
- Jutro możesz mieć kupę roboty, Ted - rzucił lekkim tonem Hawks, kiedy oddalili się od techników. Nie ma sensu, żebyś tracił czas na przewijanie tego paskudztwa, lepiej się prześpij. Załadaj nowego dzielnika z magazynu w trybie błyskawicznym, a stary im odeślij. Niech się oni tym martwią. Tak czy owak musiałyby jutro przeprowadzić pełne próby.
- Masz rację, sam powinienem o tym pomyśleć. - Gersten spojrzał na Hawksa. - Tak, oczywiście. - Zatrzymał się. - Zaraz cię dogonię - powiedział i zawrócił do swoich ludzi.

Hawks zszedł po żelaznej drabinie i podszedł do miejsca, gdzie Sam Latourette siedział wpatrzony w przybory i co jakiś czas żądał danych od technika przy komputerze. Małpka wróciła w ramiona laboranta i budziła się leniwie z uśpienia.

Hawks obserwował w milczeniu, jak Latourette porównuje zapisane na taśmie dane z liczbami podawanymi przez technika z obsługi odbiornika pracującego przy drugim komputerze.

- W porządku, Bill - powiedział Latourette. - Ale porównajmy jeszcze oba zapisy na komputerze. Daj mi znać, gdyby coś się nie zgadzało.

Technik kiwnął głową.

- No, cóż - powiedział Latourette do Hawksa - z tego, co widzę, na podstawie wstępnego porównania, twój przyjaciel Barker ma stuprocentowe zabezpieczenie, jeśli chodzi o sprzęt. I Jocko - tu spojrzał na małpkę - wygląda całkiem zdrowo. A gdzie jest Gersten?

- Zaraz tu będzie - Hawks spojrzał w górę, na galerię. - Żałuję, że nie znam go lepiej. Trudno go zrozumieć. Nigdy nie pokazuje po sobie więcej niż musi. Niełatwo jest współżyć z takim człowiekiem.

Latourette spojrzał na niego jakoś dziwnie.

5. Barker leżał na stole zakuty w swoją zbroję, z otwartą szybką hełmu. Spojrzał spokojnie na Hawksa, który się nad nim pochylił.

- Wszystko w porządku? - spytał Hawks.
- W porządku. - Głos Barkera odbił się echem w hełmie i zniekształcony wydobył się z wąskiego otworu. Na skafandrze leżały zwinięte przewody powietrzne.

- Wygląda na to, że czuje się całkiem dobrze - powiedział stojący obok Hawksa chorąży. - Nie ma żadnych oznak klaustrofobii. Oczywiście, nie

mamy pewności, póki nie zamkniemy hełmu i nie pooddycha przez chwilę powietrzem ze zbiornika.

- Synu - powiedział Barker - przepłynąłem pod wodą więcej mil niż ty przeszedłeś po lądzie.

- To się trochę różni od stroju płetwonurka, proszę pana.

Hawks pochylił się, zasłaniając Barkerowi chorążego.

- Barker, obiecałem, że dam panu szansę wycofania się w ostatniej chwili.

- Podoba mi się pańskie sformułowanie, doktorze.

- Przyczyna wszystkich tych rozbudowanych układów

kontrolnych powinna być oczywista - kontynuował Hawks. - Wierność rekonstrukcji zależy od czytelności sygnału przychodzącego do odbiornika. Tymczasem nawet najbardziej zwarta wiązka promieniowania po drodze na Księżyc złapie pewną ilość szumu. Dlatego przesyłamy sygnał z przekaźnika przez wzmacniacze, porównując go z zapisem pierwszego odczytu.

Zawsze są pewne różnice między zapisem kontrolnym a sygnałem. Robimy nową taśmę kontrolną po każdej transmisji, ale jest przerwa w czasie między sporządzeniem najnowszego zapisu a następną transmisją tego samego przedmiotu. Od tego mamy standardowego człowieka i statystyczną tabelę prawdopodobnych wariacji w danym okresie czasu. Ustalając przybliżone analogie we wzmacniaczach i wprowadzając odpowiedni czynnik statystyczny, możemy uzyskać pewien stopień kontroli.

- Mam nadzieję, Hawks, że pan myśli, że ja coś z tego rozumiem.

- Mam nadzieję, że pan się stara. Dobrze. Kiedy wykonamy to wszystko, mamy największą możliwą dokładność. W tym momencie sygnał zostaje wysłany na Księżyc, nie raz, ale wielokrotnie. Tam inny zespół różnicowych wzmacniaczy porównuje każdy bit informacji w każdym sygnale z innymi sygnałami i odrzuca każdy bit różniący się od większości jego odpowiedników. Daje to prawie pewność, że każdy błąd powstały na skutek szumu w transmisji zostaje wyeliminowany.

Dzisiaj zapiszemy pana po raz pierwszy. Tak więc po raz pierwszy zawiera się pan całkowicie naszym umiejętnościom jako elektronikom i mojej zdolności jako projektanta. Nie mogę gwarantować, że Al Barker, który wyjdzie z laboratoryjnego odbiornika będzie tym samym człowiekiem, jakim jest pan teraz. Można testować element elektroniczny do upadłego, a on i tak nawali w krytycznym momencie. Same próby techniczne mogą go osłabić. A konstrukcja czytnika też stanowi odejście od normalnych technik elektronicznych dobrze ugruntowanych w teorii. Ja wiem jak to działa, ale są miejsca, w których nie wiem dlaczego to działa. Musi pan sobie zdawać sprawę, że z chwilą rozpoczęcia procesu odczytywania, nie możemy naprawić żadnych błędów urządzenia. Pracujemy na ślepo. Nie wiemy, który fragment sygnału opisuje który fragment człowieka. Może nigdy się nie dowiemy.

Kiedy Thomas Edison przemówił do tuby swojego fonografu, wibracja jego głosu wprawiała w drżenie membranę, a przymocowana do niej igła

wydrapywała linię krzywą na obracającym się cylindrze pokrytym woskiem. Kiedy to potem odtworzył, usłyszał dziecinny wierszyk. Ale jeżeli igła się obluźowała, wosk był zabrudzony albo zmieniła się szybkość obrotu cylindra, to wychodził tylko niezrozumiały szum.

Edison nic tu nie mógł poradzić. Nie wiedział, która część zapisu niesie wierszyk, a która szum. Nie rozporządzał techniką, pozwalającą mu ręcznie wyryć linię, która przy odtworzeniu dałaby wierszyk. Mógł tylko sprawdzić swój aparat, wykryć błąd i zaczął od początku z głosem, tubą i membraną. Nie miał innej drogi i nie bardzo jej potrzebował. Ostatecznie kilkakrotne powtórzenie wierszyka, żeby uzyskać dobre nagranie nie stanowiło wielkiego wysiłku.

Również Daguerre eksperymentujący z początkami fotografii mógł zazwyczaj powtórzyć zdjęcie, jeżeli płytką z jakiegoś powodu uległa uszkodzeniu. Zresztą jedynym sposobem jej uratowania byłaby znajomość metod, które eksperci od fotografii odkrywają dopiero teraz.

Ale z nami jest inna sprawa, panie Barker. Nie jest pan ani wierszykiem, ani obrazem ze światła i cienia, który może zostać zachowany lub zniknąć bez straty dla jego źródła - Hawks uśmiechnął się z zażenowaniem. - Człowiek jest feniksem, który musi się odrodzić z popiołów, bo nie ma nikogo takiego jak on w całym Wszechświecie. Jeżeli wiatr rozwieje popiół, feniks jest stracony na zawsze. Cała nasza wiedza nie pozwoli pana odtworzyć.

Proszę mnie zrozumieć, Al Barker, którego odbudujemy, to prawie na pewno będzie pan. Statystycznie wszystkie szanse są po pana stronie. Ale czytnik nie robi rozróżnień. To tylko maszyna. Fonograf nie wie co gra. Aparat fotograficzny rejestruje wszystko, co ma przed sobą. Nie dołoży nic od siebie i nie przepuści śladu szminki na pańskim kołnierzyku. Jeżeli jednak z jakiegoś powodu film straci czułość na barwę czerwoną, to, co wyjdzie na zdjęciu, nie będzie wyglądać jak szminka, może być w ogóle do niczego nie podobne. Czy rozumie pan, co usiłuję panu powiedzieć? Urządzenia są przygotowane najlepiej jak to jest możliwe. Z chwilą, kiedy mamy negatyw, możemy uzyskiwać doskonałe odbitki. Najpierw jednak musimy uzyskać negatyw.

- Bywały z tym jakieś kłopoty? - spytał Barker lekkim tonem.

- Jeżeli tak, to nic o tym nie wiemy. Jak dotychczas wszystkie nasze wstępne zapisy były bezbłędne. W każdym razie przedmioty i żywe organizmy działały dokładnie tak jak przedtem. Ale człowiek jest czymś bardzo złożonym. Człowiek jest czymś o wiele ważniejszym niż jego konstrukcja fizyczna. On spędził całe życie myśląc, wypełniając swój mózg szczegółami, które pamięta i przywołuje, kiedy myśli. Ciało jest tylko skorupą, w której żyje. Jego mózg jest tylko wielkim składem myśli. Jego umysł... jego umysł jest sposobem wykorzystywania tych myśli. Nie ma drugiego takiego umysłu. W pewnym sensie człowiek jest swoim własnym dziełem.

Jeżeli zmienimy go na poziomie materialnym, w czymś, co możemy porównać z jego udokumentowanym istnieniem, to potrafiemy tę zmianę wykryć. Ale to nam nie grozi. Znacznie groźniejsza jest możliwość błędu

wywołującego subtelną zmianę, której nie potrafimy wykryć. Ani my, ani tym bardziej pan sam, bo pan nie ma danych porównawczych. Czy pański elementarz miał czerwoną czy niebieską okładkę? Jeżeli pamięta pan ją jako czerwoną, to kto to dziś może sprawdzić?

- Czy to ważne? - Barker wzruszył ramionami i skafander zatrzeszczał na stole. - Bardziej bym się przejmował duplikatem, który nie zechce pogodzić się ze swoją śmiercią albo okaże się potworem, którego trzeba zabić.

- Cóż - powiedział Hawks przesuwając dłonią po twarzy - taka obawa w zasadzie nie zachodzi. Ale może się pan tym przejmować, bo to, czym się pan przejmuje, zależy wyłącznie od tego, gdzie pan przeprowadzi linię i które elementy samego siebie są dla pana ważne. To pan sam decyduje, ile zmian może w panu nastąpić, zanim uzna się pan za zmarłego.

Barker uśmiechnął się chłodno i powiódł wzrokiem po ograniczającym jego pole widzenia skraju hełmu.

- Jestem już w tym po uszy, doktorze i dobrze pan wie, że nie stchórzę. I nigdy bym tego nie zrobił. Ale nie mogę powiedzieć, że mi pan pomógł.

- To prawda - przyznał Hawks. - A to tylko jeden ze sposobów na zabicie pana. Są inne, pewniejsze. Ale muszę to teraz zrobić, bo potrzebuję człowieka takiego jak pan do tego, co będzie się działo dalej.

- Powodzenia, doktorze - powiedział Barker.

\*

Technicy zamknęli hełm Barkera i podłączyli przewody powietrzne do zbiorników wmontowanych w skafander na plecach. Inny pracownik sprawdził radio i przełączył je na głośnik umieszczony nad portalem przekaźnika. W całym laboratorium słychać było cichy, regularny oddech Barkera.

- Zawieziemy pana teraz do przekaźnika - powiedział Hawks do swojego mikrofonu.

- Zrozumiałem, doktorze.

- Kiedy będzie pan w komorze, włączymy elektromagnesy.

Zawiśnie pan w powietrzu i stół spod pana wyjedzie. Nie będzie pan mógł się ruszyć i proszę nie próbować, bo spali pan silniki skafandra. Potem poczuje pan mały podskok w górę i skafander sztywno rozłoży kończyny. To będzie działanie bocznego pola magnetycznego. Poczuje pan następne szarpnięcie, kiedy zamkniemy drzwi komory i włączą się magnesy przód-tył.

- Słyszę bardzo dobrze.

- Symulujemy warunki przerzutu na Księżyc. Chcę, żeby się pan z nimi zapoznał. Dlatego wyłączymy światła w komorze i w pańskim powietrzu będzie nieco formaliny przytępiającej wrażenia węchowe.

- W porządku.

- Potem uruchomimy proces zapisu. Ten włącznik działa z

trzydziestosekundowym opóźnieniem: ten sam impuls najpierw uruchamia pewne automatyczne funkcje skafandra. Jak pan widzi, robimy wszystko, żeby wyeliminować możliwość pomyłki.

- Rozumiem.

- W pańskim powietrzu znajdzie się środek usypiający. Nie straci pan przytomności, ale pańskie odczucia będą przytępione. Receptory dotyku i temperatury w skórze przestaną reagować. Objawy te znikną, kiedy znajdzie się pan w odbiorniku. Wszelkie ślady środka usypiającego ustąpią po pięciu minutach.

.N:77

- Jasne.

- Dobrze. I wreszcie, wyłączę swój mikrofon. Jeżeli wszystko będzie szło normalnie, to już go nie włączę. Od tej chwili mój włącznik mikrofonu uruchamia zatyczki w pańskim hełmie. Czuje je pan teraz przy uszach. Proszę poruszać głową aż będą dobrze przylegać. Cofną się automatycznie, jeżeli będę musiał udzielić panu jakichś nadzwyczajnych instrukcji. Pański mikrofon pozostanie włączony i my będziemy pana słyszeć, a pan siebie nie. Wszystko to jest niezbędne w przypadku transferu na Księżyc.

Stwierdzi pan, że po przytępieniu niektórych zmysłów i wyłączeniu innych zaczyna pan wątpić, czy jeszcze żyje. Nie będzie pan miał żadnego dowodu na to, że jest pan poddany jakimkolwiek bodźcom zewnętrznym. Zacznie pan powątpiewać, czy pański umysł w ogóle działa. Jeżeli takie warunki utrzymują się odpowiednio długo, człowiek wpada w panikę. Czas, po którym to następuje zależy od osobnika. Jeżeli pan wytrzyma te kilka minut, które pan dziś spędzi w skafandrze, to wystarczy. Jeżeli nie, usłyszymy pana krzyk i odezwiemy się do pana.

- To będzie wielka pociecha.

- Przekona się pan, że tak.

- Coś jeszcze, doktorze?

- Nie. - Hawks dał znak obsłudze, która zaczęła wtaczać stół do komory.

- Mam jeszcze słówko do chorążego - powiedział Barker.

- Proszę.

Oficer zbliżył się, żeby jego twarz znalazła się w polu widzenia Barkera. „Słucham?” spytał bezgłośnie ruchem warg.

- Nazywam się Barker, synu. Al Barker. Nie jestem kolejną świnką morską, którą wpychacie do puszek. A ty masz jakieś nazwisko, synu?

Chorąży zaczerwienił się i kiwnął głową.

- Nie zapomnij powiedzieć mi, jak się nazywasz, kiedy z tego wyjdę, zgoda?

Fidanzato roześmiał się pod nosem i popchnął stół.

\*

Hawks rozejrzył się dokoła. Latourette siedział przy konsolocie przekaźnika.

- Obserwuj go - powiedział Hawks do stojącego obok niego Gerstena - i zapamiętaj wszystko co robi. Postaraj się niczego nie przeoczyć. - Hawks nie spojrział na Gerstena, jego spojrzenie wędrowało między Westonem, który z założonymi rękami stał oparty o baterię wzmacniaczy a brzuchatym lekarzem Holidayem odpowiedzialnym za zdalną pomoc medyczną.

- Dobrze - wydusił z siebie Gersten.

Nad przekaźnikiem wciąż jeszcze paliła się zielona lampka, ale drzwi komory były już zatrzaśnięte. Zwisły z nich kable doprowadzające energię do tej części urządzenia. Komora odbiornika też była hermetycznie zamknięta. Z głośnika rozlegał się świst oddechu Barkera, równy ale coraz szybszy.

- Sam, sprawdź zasilanie - odezwał się Hawks. Latourette wcisnął odpowiedni guzik i Hawks spojrział na techników skupionych przy urządzeniu wejściowym zespołu wzmacniaczy. Petwill, inżynier wypożyczony z Electronic Associates kiwnął Hawksowi głową.

- Sam, włącz zasilanie - powiedział Hawks. Światła nad portalami przekaźnika i odbiornika przeskoczyły z zielonych na czerwone. Oddech Barkera stał się prawie niesłyszalny.

Hawks wpatrywał się w zegar umieszczony nad przekaźnikiem. W trzydzieści sekund od włączenia zasilania wielościeżkowa taśma zaczęła się przewijać z rolki na rolkę. Na szpuli nawijającej z fascynującą szybkością narastał brązowy dysk. Nad portalem odbiornika zapłonęło zielone światło. Z głośnika dobiegał płytki oddech Barkera.

Hawks rozmasował napięty mięsień karku.

- Doktorze Holiday, gdyby zechciał pan zredukować znieczulenie...

Holiday kiwnął głową i dotknął gałki regulującej dopływ środka znieczulającego do powietrza, którym oddychał Barker.

Po chwili oddech Barkera nasilił się. Zbliżał się do granicy paniki, ale mikrofon Barkera milczał.

- Co pan o tym sądzi, Weston? - spytał Hawks.

Psycholog słuchał w skupieniu.

- Moim zdaniem, radzi sobie dobrze. Słyszę w oddechu panikę, nie słyszę bólu.

Hawks przeniósł wzrok na doktora Holidaya.

Doktor skinął głową i dotknął regulatora. Hawks włączył swój mikrofon.

- Barker - powiedział łagodnie.

Oddech w głośniku stał się silniejszy i spokojniejszy.

- Barker.

- Słucham, doktorze - odpowiedział poirytowany głos

Barkera. - Ma pan jakieś kłopoty?

- Znieczulenie wyłączone - odezwał się doktor Holiday od swojej konsoly.

Hawks kiwnął głową.

- Barker, jest pan teraz w odbiorniku. Za chwilę odzyska pan pełną przytomność. Czy odczuwa pan jakiś ból?

- Nie! - uciął Barker. - Czy skończył pan swoją zabawę?

- Włączam teraz światła w komorze odbiornika. Czy pan je widzi?

- Tak.

- Czy ma pan czucie w całym ciele?

- Tak. A pan w swoim?

- W porządku, Barker. Zaraz pana wyjmemy.

Pracownicy przeciągnęli do odbiornika stół na kółkach,

Latourette wyłączył podłużne pole magnetyczne, inni technicy otwierali drzwi komory. Weston i Holiday zbliżyli się, żeby przystąpić do badania Barkera, jak tylko zostanie uwolniony ze skafandra.

- Niech pan nie zapomni się przedstawić - szepnął Hawks do chorego. - W porządku, Sam - powiedział głośno, kiedy stół wtoczył się pod skafander Barkera i podniósł się na hydraulicznych nogach uzyskując z nim kontakt - możesz zwolnić główne magnesy.

- Myślisz, że z nim jest wszystko dobrze? - spytał Latourette.

- Mam od tego Westona i Holidaya. Sądząc z tego, co mówił, nic się nie zmienił.

- Nie ma się z czego cieszyć - mruknął Latourette.

- Jest... - Hawks wziął głęboki oddech i zaczął jeszcze

raz, łagodnie. - Jest taki, jakiego potrzebuję do wykonania tego zadania. - Objął Latourette'a ramieniem. - Chodź, Sam, przejdziemy się trochę - powiedział. - Za chwilę Weston i Holiday będą mieli wstępny raport. Ted może zacząć przygotowania do jutrzejszego transferu.

- Ja to zrobię.

- Nie, niech on się tym zajmie. A my możemy wyjść na powietrze. Mam ci coś do powiedzenia.

cdn.

.N:82

powieść  
Algis Budrys  
Ten cholerny Księżyc (2)  
(Rogue Moon)  
przełożył Lech Jęczmyk



### Rozdział IV

Hawks siedział wciśnięty w róg kanapy w studiu Elizabeth Cummings. W dłoniach trzymał lekko kieliszek brandy i patrzył na wieczorne niebo za oknem. Ona siedziała pod oknem zwrócona profilem do Hawksa i rękami obejmowała podciągnięte kolana.

- Zaraz w pierwszych dniach szkoły średniej - mówił Hawks - musiałem dokonać wyboru. Czy pani chodziła do szkoły podstawowej tu, w mieście?

- Tak.

- Ja w bardzo małym miasteczku. Szkoła była całkiem przywoita, cztery sale dla niespełna siedemdziesięciu uczniów. Ale mieliśmy tylko trzech nauczycieli łącznie z kierownikiem i każdy z nich uczył trzy klasy wliczając w to zerową. Co oznaczało, że przez dwie trzecie dnia nie widziałem swoich nauczycieli. Uczyli pozostałe dwie klasy tych rzeczy, które już przerabiałem, albo takich, których jeszcze nie miałem znać. Kiedy potem poszedłem do szkoły średniej, nagle okazało się, że mam nauczycieli do każdego przedmiotu! Pod koniec pierwszego tygodnia dyrektorka szkoły zobaczyła mnie w holu. Zapoznała się z moimi testami na inteligencję i spytała mnie, jak mi się podoba w szkole. Powiedziałem jej, że jestem zachwycony. - Hawks uśmiechnął się do swojego kieliszka. - Dyrektorka zeszywniała, a jej twarz przybrała kamienny wyraz. „Nie jesteś tutaj, żeby się bawić!” - powiedziała i odeszła.

Stałem więc przed wyborem. Mogłem uznać swoją naukę w szkole za karę i starać się jej unikać, albo mogłem udawać, że tak myślę i korzystać z okazji, jaką daje nieszczerłość. Miałem do wyboru: szczerłość lub nieszczerłość. Wybrałem to drugie. Z ponurą miną wchodziłem do klasy z teczką pełną zeszytów i książek. Zadawałem poważne pytania i ślęczałem nad pracami domowymi nawet z tych przedmiotów, które mnie nudziły. Zostałem wzorowym uczniem. Po krótkim czasie rzeczywiście zmieniło się to w karę. - Hawks odpił nieco brandy. - Czasami zastanawiam się, co by ze mnie wyszło, gdybym zachował swoje podejście do szkoły podstawowej: wyciągał z nauczycieli to, co mnie interesowało, resztę przepuszczał i znajdował radość w nauce.

Rozejrzył się.

- Ma pani bardzo przyjemne studio, Elizabeth. Cieszę się, że mogłem je zobaczyć. Chciałem wiedzieć, gdzie pani pracuje i co robi.

- Niech pan mi jeszcze opowie coś o sobie - poprosiła.

- W szkole musiałem dokonać jeszcze tylko jednego wyboru

- powiedział popatrzawszy na nią przez chwilę w milczeniu. - Było to w trzeciej klasie i mieliśmy zacząć pierwszy przedmiot z nauk ścisłych. Fizykę. Do tego czasu fizyki uczył znakomity nauczyciel Hazlet. Uczniowie go ubóstwiali. Pod jego wpływem zacząłem myśleć o karierze naukowej.

Przed dzwonkiem byłem pełen oczekiwania. Czytałem dużo powieści o supernauce, o wybitnych ludziach dokonujących niezwykłych rzeczy i spodziewałem się czegoś większego niż nawet Hazlet mógłby przekazać na swoich lekcjach.

Ale Hazleta już nie było. Nie wiem, co się z nim stało. Może przeszedł do jakiegoś instytutu rządowego, a może do innej szkoły, gdzie lepiej płacili. Tak czy inaczej, dyrekcja musiała znaleźć zastępstwo. Była tam nowa nauczycielka, po szkole pedagogicznej, ze wszystkimi wymaganymi dyplomami, która miała uczyć hiszpańskiego. Bardzo miła dama z Południa o delikatnych rysach i jasnej, prawie przezroczystej skórze, stale jakby zdyszana. Kiedy chodziłem do drugiej klasy, usiłowała uczyć gramatyki hiszpańskiej gromady chłopaków w połatanych dżinsach i roboczych buciorach.

Kiedy w następnej klasie wszedłem po raz pierwszy do laboratorium fizycznego, dowiedziałem się, że pani Cramer przeszła dwumiesięczny letni kurs fizyki i zastępuje Hazleta. Nie bardzo jej to wychodziło. Miała wszelkiego rodzaju poradniki nauczyciela i podręczniki fizyki, i pewnie co wieczór usiłowała wbić sobie do głowy odpowiedzi na dzień następny. Niestety, nic z tego nie wychodziło. Kiedy próbowała rozwiązywać równania na tablicy, wyniki nie zgadzały się z tym, co zapamiętała. Wycierała wtedy swoją odpowiedź, wpisywała tę z podręcznika i mówiła nam, że chociaż jej nie wyszło, to jest właściwe rozwiązanie, które mamy zapamiętać. Kiedy robiła nam klasówki, nigdy nie było w nich żadnych obliczeń - po prostu stawiała pytanie i zostawiała miejsce na odpowiedź.

Nie było to wcale śmieszne, tylko żałosne. Zdarzało się, że płakała w klasie. Mam nadzieję, że znalazła gdzieś inną pracę, bo w następnym roku już jej nie było.

Mnie postawiło to przed wyborem: czy będę gapił się przez okno i chichotał z miss Cramer tak jak reszta klasy, czy wezmę się do roboty i ślęcząc codziennie w bibliotece publicznej nauczę się fizyki sam. Oznaczało to pójście własną drogą, odmienną niż reszta klasy. Miałem do wyboru trzymanie się grupy albo samotność i świadomość, że ja pływam, podczas gdy oni toną.

Wybrałem ratowanie siebie. Próbowałem pomagać niektórym kolegom, póki nie zrozumiałem, że nie interesuje ich, dlaczego odpowiedzi są takie a nie inne. Powiedziałem wtedy sobie, że jeżeli ktoś chce żyć, to znajdzie energię, żeby pływać. Widocznie nie ma wśród nich materiału na uczonego. - Uśmiechnął się. - Kiedy byłem chłopcem, życie i nauka wydawały się równie ważne. Były prawie tym samym.

- A teraz? - spytała Elizabeth.

- Teraz nie jestem już chłopcem. I nie jest to rok 1932.

- Czy to jest pańska odpowiedź?

- Mogę powiedzieć to samo za pomocą większej liczby słów.

Mam pracę, którą muszę wykonać, bo sam ją sobie wymyśliłem.

Nie mogę wrócić i zmienić chłopca, z którego wyrosłem. Wyrosłem zarówno z jego błędów, jak i z decyzji, które będąc dorosłym aprobuję. Muszę pracować z tym, co mam. Nie mogę bez końca siedzieć i zastanawiać się nad sobą. Grudka węgla nie może zmienić swojej struktury; jest albo diamentem albo węglem na opał. Nie wie nawet, co to jest diament, ktoś inny musi to ocenić.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w milczeniu, Hawks z pustym kieliszkiem na skraju niskiego stolika, obok jego wyciągniętych nóg. Elizabeth przyglądała mu się z policzkiem opartym na podciągniętych kolanach.

- O czym pan teraz myślał? - spytała, kiedy się poruszył i spojrzał na zegarek. - O swojej pracy?

- Teraz? - Uśmiechnął się. - Nie, myślałem o czymś innym.

Myślałem o tym, jak powstaje zdjęcie rentgenowskie.

- I co?

Potrząsnął głową.

- To skomplikowane. Kiedy lekarz prześwietla chorego, uzyskuje zdjęcie pokazujące zacieki w płucach, zwapnienie w arteriach albo guz w mózgu. Ale żeby chorego wyleczyć, nie może wziąć nożyczek i wyciąć ze zdjęcia plamy. Musi zabrać się ze skalpelem do człowieka, a zanim to zrobi, musi rozważyć, czy jego skalpel dosięgnie chorego miejsca nie uszkadzając po drodze czegoś ważnego. Musi rozważyć, czy skalpel oddzieli chorą tkankę od zdrowej, czy też choroba odtworzy się z pozostawionych resztek. Cięcie zdjęcia nic tu nie pomoże, zostanie jedynie dziura w celulooidzie. A gdyby nawet znaleźć sposób, żeby później to zdjęcie ożywić, to nadal byłaby w nim dziura po chorym miejscu, tak samo jak po interwencji chirurga.

Potrzebna jest więc klisza, na której związki chemiczne nie tylko pokażą guza, ale odtworzą na jego miejscu zdrową tkankę. Potrzebny jest aparat potrafiący układać drobiny srebra pokrywające błonę. Kto potrafi skonstruować taki aparat? Jak mam to zrobić? Jak mam zbudować taką maszynę?

\*

Już w drzwiach dotknęła jego dłoni. Palce mu drżały.

- Proszę mnie znów odwiedzić, jak tylko będzie pan mógł - powiedziała.

- Nie wiem kiedy - odpowiedział. - Ten... ten projekt, nad którym pracuję, zajmie mi masę czasu, jeżeli się powiedzie.

- Kiedy pan będzie mógł. Jak nie tutaj, to w domu.

- Przyjdę - powiedział szeptem. - Dobranoc, Elizabeth.

Przycisnął dłoń do boku, żeby powstrzymać drżenie.

Odwrócił się, żeby nie zdążyła znów go dotknąć i pośpiesznie zszedł na dół, do samochodu.

### **Rozdział V**

1. Następnego dnia rano Hawks siedział w swoim gabinecie, kiedy zapukał i wszedł Barker.

- Wartownik przy bramie powiedział mi, że mam tu do pana przyjść - powiedział badając wzrokiem twarz Hawksa. - Postanowił pan wyrzucić mnie z pracy, czy co?

Hawks potrząsnął głową. Zamknął teczkę z dokumentami i wskazał gościowi krzesło.

- Proszę siadać. Ma pan sporo do przemyślenia, zanim pójdzie pan do laboratorium.

- Jasne. - Twarz Barkera rozjaśniła się. Podszedł stukając podwyższonymi obcasami butów po posadzce. - A przy okazji, dzień dobry, doktorze. - Usiadł i założył nogę na nogę. Pod naciągniętą na kolanie gabardyną widać było umocowanie protezy.

- Dzień dobry - odpowiedział Hawks sucho. Otworzył teczkę i wyjął duży złożony arkusz papieru. Patrząc na Barkera rozłożył papier na biurku.

- Claire chce wiedzieć, o co chodzi - powiedział Barker nie opuszczając wzroku.

- Powiedział jej pan?

- Czyżby FBI przedstawiło mnie jako głupka?

- Nie w sprawach, którymi oni się zajmują.

- Mam nadzieję. Ja tylko zrelacjonowałem fakt, który może pana zainteresować. - Uśmiechnął się ponuro. - Kosztowało mnie to bezsenność noc.

- Czy jest pan w stanie dać z siebie pięć minut maksymalnego wysiłku fizycznego?

- Powiedziałbym, gdyby było inaczej.

- Dobrze zatem. Pięć minut to będzie wszystko. A tutaj jest miejsce, do którego zostanie pan przeniesiony. - Dotknął mapy. - To jest zbadana część odwrotnej strony Księżyca.

Barker zmarszczył czoło i pochylił się patrząc na precyzyjnie naniesione elementy powierzchni w prostokącie otoczonym strefami z grubsza tylko naszkicowanymi z napisem „Brak dokładnych danych”.

- Wyboisty teren - powiedział i oderwał wzrok od mapy. - Co to znaczy „zbadana”?

- Plan topograficzny. Marynarka ma posterunek tutaj - wskazał palcem mały kwadracik. - Tuż za skrajem widocznej tarczy przy maksymalnej libracji. A to - wskazał nieco większy krążek w odległości ćwierci cala - jest pański punkt docelowy.

Barker uniósł jedną brew.

- A co na to Rosjanie?

- Cała ta mapa - wyjaśnił Hawks cierpliwie - obejmuje pięćdziesiąt mil kwadratowych. Urządzenia marynarki i miejscem, do którego pan się przeniesie, mieszczą się na powierzchni połowy mili kwadratowej. Są to prawie jedyne nienaturalne formacje widoczne z góry. Inne to odbiornik materii obok bazy marynarki i wieża przekaźnikowa w pobliżu skraju widocznej tarczy. Wszystkie są zamaskowane, poza miejsce, do jakiego pana przeniesiemy, a którego ukryć nie można. Tymczasem zdjęcia radiowe z rosyjskiego sputnika okrążającego Księżyc obejmują strefę siedmiu milionów trzystu tysięcy mil kwadratowych. Czy dostrzegłby pan muchę na fasadzie Empire State Building? W dodatku przez brudne okulary?

- Gdybym był blisko.

- Rosjanie są daleko. Uważamy, że mają telemetryczną stację automatyczną gdzieś na widzialnej stronie i spodziewamy się, że wyślą tam ludzi w przyszłym roku. Nie mamy jeszcze precyzyjnych informacji, ale dane statystyczne lokują ich bazę około sześciu tysięcy mil

od naszych urzędzeń. Nie sądzę, żebyśmy musieli prosić kogoś o zgodę na nasze badania. Tak czy inaczej jesteśmy tam i pan tam dzisiaj będzie... A teraz opowiem, jak do tego doszło.

Barker odchylił się do tyłu, założył ręce i uniósł brwi.

- Podoba mi się sposób, w jaki prowadzi pan wykłady. Czy nigdy pan nie myślał o zmianie zawodu?

Hawks spojrział mu w oczy.

- Nie mogę dopuścić, żeby umarł pan w nieświadomości -

powiedział po chwili. - Ma pan prawo w każdej chwili opuścić ten pokój i wypowiedzieć nam pracę. Connington dziś rano dostarczył podpisaną przez pana umowę. Jeżeli ją pan czytał, to pamięta pan zapewne punkt dopuszczający zerwanie kontraktu.

- Na razie nie skorzystam.

- Dziękuję.

- Nie ma za co.

- Barker, pan wie, że nie mam z panem łatwego życia.

- Pan też mnie nie oszczędza.

Hawks poruszył stos papierowych teczek.

**- To prawda. Litość jest stosunkowo świeżym**

wynalazkiem - powiedział starannie wymawiając słowa. - Wracajmy do pracy. Na początku roku siły powietrzne uzyskały drogą radiową jedno zdjęcie z rakiety, którą usiłowano wprowadzić na orbitę księżycową. Rakietę podeszła za blisko i spadła gdzieś za granicą strony oświetlonej. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności na zdjęciu było to. - Wyjął z teczki duże zdjęcie i podał je Barkerowi. - Jak pan widzi, obraz jest rozmazany i uszkodzony na skutek wad aparatury nadawczej rakiety. Ale tutaj w rogu widzimy coś, co wyraźnie nie jest formacją naturalną.

- Czy właśnie to pokazywał mi pan na zdjęciu z powierzchni? - spytał Barker.

- Tamtą fotografię zrobiono dużo później. Początkowo wiedzieliśmy tylko, że na Księżycu jest coś, czego rozległości i istoty nie sposób określić na podstawie zdjęcia i że to coś nie przypomina żadnej ziemskiej ani księżycowej formacji znanej człowiekowi. Od tego czasu dokonaliśmy pomiarów i wiemy, że ma około stu metrów średnicy i dwudziestu wysokości z nieregularnościami i trudnymi do opisanymi elementami. Nadal bardzo niewiele dowiedzieliśmy się o jego istocie, ale nie to jest teraz najważniejsze. Kiedy tę rzecz odkryto, rząd uznał jej zbadanie za sprawę wielkiej wagi. Wtedy jeszcze spodziewano się, że odwrotna strona Księżyca okaże się z grubsza podobna do strony widzialnej. Biorąc pod uwagę rosyjską przewagę w dziedzinie rakiet, stało się jasne, że jeżeli nie podejmiemy szybkich kroków, Rosjanie będą mieli wszelkie szanse dokonania epokowego odkrycia, którego istoty nie można przewidzieć, ale którego znaczenie mogło być decydujące w rywalizacji o Księżyc.

Hawks przetarł oczy.

- Tak się złożyło - podjął cichym głosem - że przed kilku

laty marynarka wojenna podpisała z Continental Electronics kontrakt na badania naukowe, obejmujący moją pracę nad przekaźnikiem materii.

W czasie, kiedy pojawiło się to księżycowe zdjęcie, eksperymentalne urządzenie, które pan oglądał w naszym laboratorium, zostało zbudowane i mimo krzyżujących niedoskonałości osiągnęło poziom pozwalający przekazywać ochotników z nadajnika do odbiornika bez widocznej szkody. I stało się tak, że kiedy planowaliśmy pierwszy eksperymentalny transfer do odbiornika ustawionego w górach Sierra, władze zażądały przyspieszonego przygotowania przerzutu ochotników na Księżyc.

Uruchomiono masę dodatkowych pieniędzy na sprzęt i ludzi, i po serii niepowodzeń rakiet wojsk lądowych zdołała umieścić wieżę przekaźnikową na oświetlonej stronie Księżyca, blisko skraju. Potem rzucono raczej na chybił trafił prymitywny odbiornik w pobliże tego - postukał palcem w mapę. - Później za pośrednictwem wieży przekaźnikowej przesłaliśmy ochotnika do odbiornika, który ledwo mógł go pomieścić. Z chwilą, gdy już się tam znalazł, był zaopatrywany przez odbiornik. Udało mu się dotrzeć do wieży przekaźnikowej, ustawić ją trwale na fundamencie i okryć plastikowym namiotem maskującym i chroniącym przed mikrometeoritami. Następnie z przesyłanych mu elementów zbudował nowy odbiornik i powrotny nadajnik. Zbudował również prosty schron mieszkalny i wtedy, jak się domyślamy, zaczął wbrew rozkazom badać nieznaną konstrukcję, nie czekając na przybycie specjalistów z marynarki, którzy teraz stanowią załogę bazy.

Znaleziono go dopiero kilka tygodni temu. To była druga fotografia, którą panu pokazałem. Ciało odkryte wewnątrz tego czegoś wyglądało, według prowadzących sekcję lekarzy tak, jakby spadło z wysokości kilku kilometrów w warunkach ziemskiej grawitacji.

Barker na chwilę wygiął usta w podkowę.

- Czy to się mogło zdarzyć?

- Nie.

- Rozumiem.

- A ja nie rozumiem i nikt inny też. Nie wiemy nawet, jak

to coś nazwać. Oko tego nie przyjmuje do wiadomości i zdjęcia też dają bardzo mętne wyobrażenie. Można podejrzewać, że to istnieje więcej niż w trzech wymiarach. Nikt nie wie, co to jest, dlaczego właśnie tam, do czego służy i kto je zbudował. Nie wiemy, czy to jest zwierzę, roślina czy minerał. Nie wiemy, czy to jest w jakiś sposób naturalne czy sztuczne. Na podstawie badań geologicznych kraterów meteorytowych przylegających do jego podstawy ustalono, że ma co najmniej milion lat. I wiemy, co to robi teraz. Zabija ludzi.

- Raz po raz i za każdym razem inaczej?

- Systematycznie, uporczywie i za każdym razem inaczej.

Musimy poznać wszystkie jego metody. Musimy ustalić, bez cienia błędu, co ta rzecz może zrobić człowiekowi. Musimy zdobyć pełny przewodnik po jej możliwościach i ograniczeniach. Rozporządzając nim zaryzykujemy wreszcie wpuszczenie do środka specjalistów, którzy będą mogli to zbadać i rozłożyć na części. Zespoły badawcze wycisną z tego całą informację, którą zdoła pojąć ludzki umysł i włączą ją do ogólnego zasobu naszej wiedzy. Ale to jest normalne zadanie uczonych. Najpierw

jednak potrzebny jest nam kartograf. Na mnie spoczywa bezpośrednia odpowiedzialność za to, że to coś zabije pana, mam nadzieję, po wielokroć.

- Cóż, to uczciwe ostrzeżenie, mimo że brzmi bez sensu.

Nie mogę powiedzieć, że nie zostałem uprzedzony.

- To nie było ostrzeżenie - powiedział Hawks. - To była obietnica.

Barker wzruszył ramionami.

- Może pan to nazywać, jak chce.

- Często dobieram słowa na tej zasadzie - zauważył Hawks.

Barker błysnął zębami w uśmiechu.

- Powinien pan występować w duecie z Samem Latourettem.

Hawks przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

- Dziękuję za jeszcze jeden powód do zmartwienia. -

Wybrał inną teczkę i podsunął ją Barkerowi.

- Niech pan to sobie obejrzy - powiedział wstając. - Jest tam tylko jedno wejście. Nasz pierwszy technik trafił na nie i prawdopodobnie obchodząc tę rzecz przypadkiem wszedł do środka. Nie jest to otwór w żadnym dającym się opisać sensie. Jest to miejsce, w którym charakter tej formacji pozwala na przepuszczenie istoty ludzkiej w sposób zaplanowany lub przypadkowo. Nie sposób tego wyjaśnić precyzyjniej, oko nie potrafi tego objąć, a - jak podejrzewamy - mózg również. Trzech ludzi zginęło, żeby sporządzić mapę, która obecnie pozwala innym wkroczyć na teren formacji pod warunkiem, że posługują się mapą według wyliczeń, jak nawigatorzy w nieprzeniknionej mgle. Inni ludzie zginęli, żeby przekazać nam następujące informacje o wnętrzu tej formacji:

Człowiek wewnątrz może być widoczny bardzo mgliście, jeżeli wiemy, gdzie go szukać. Nikt nie potrafi w sensowny sposób opowiedzieć, co widzi. Nikt nigdy nie wyszedł z tego żywy, nikt nie potrafi znaleźć wyjścia, wejście się do tego nie nadaje. Przedmioty nieżywe, takie jak fotografia albo trup, mogą być przekazane na zewnątrz, ale osoba, która je przekazuje, niezmiennie przyplaca to życiem. Ta fotografia ciała pierwszego ochotnika kosztowała życie innego człowieka. Formacja nie przepuszcza ze swego wnętrza sygnałów elektrycznych. Dotyczy to również człowieka w hełmie bełkocącego niezrozumiale do mikrofonu. Natomiast kaszel, stęki i inne nie niosące informacji dźwięki przechodzą. Próba kodowania w ten sposób informacji zawiodła.

Kontakt będzie niemożliwy ani drogą radiową ani za pomocą kabla. Będzie pan mógł dawać bardzo ograniczone sygnały rękami do obserwatorów z bazy i będzie pan mógł robić notatki na przywiązanej do sznura tabliczce, którą zespół obserwacyjny spróbuje wyciągnąć po pańskiej śmierci. Jeżeli to się nie uda, następny człowiek będzie musiał wejść tam i przekazać tabliczkę osobiście, jeżeli będzie czytelna. W przeciwnym razie spróbuje powtórzyć wszystkie pana ruchy i zapisywać je, aż znajdzie ten krok, który stał się przyczyną pańskiej śmierci. Mamy zapis bezpiecznych pozycji i ruchów, który powstał w ten właśnie sposób. Mamy też zapis pozycji i ruchów śmiertelnych. Śmiertelne jest na przykład przyklęknięcie na jedno kolano z twarzą zwróconą ku księżycowej północy.

Śmierć powoduje uniesienie lewej ręki powyżej ramienia w każdej pozycji. Po przekroczeniu pewnej linii śmierć następuje, jeżeli węże powietrzne przechodzą przez barki. Za kolejną linią śmiertelne jest noszenie zbroi, której części połączone są ze skafandrem bezpośrednio. Do kalectwa prowadzi użycie skafandrów o rozmiarach odbiegających od tych, których używamy obecnie. Śmiertelne jest pisanie w powietrzu słowa „tak” lewą lub prawą ręką.

Nie wiemy dlaczego. Wiemy tylko, co człowiek może zrobić, a czego nie może w tej części formacji, którą dotychczas zbadaliśmy. Na razie sporządziliśmy plan bezpiecznej drogi na długości około dwunastu metrów. Rekord przetrwania człowieka w obrębie formacji wynosi obecnie trzy minuty pięćdziesiąt dwie sekundy.

Niech pan zapozna się z tymi mapkami, Barker. Będzie pan je miał z sobą, kiedy pan tam wejdzie, ale nie wiemy, czy posiadanie ich nie okaże się od któregoś miejsca śmiertelne. Może pan tu siedzieć i nauczyć się ich na pamięć. Jeżeli będzie pan miał jakieś inne pytania, proszę przejrzeć te raporty. Kiedy zejdzie pan do laboratorium, przekażę panu inne niezbędne informacje. Oczekuję pana za godzinę. Proszę usiąść na moim miejscu - skończył Hawks ruszając do drzwi. - Jest tu dobre światło.

2. Hawks przeglądał dane astronomiczne z obserwatorium Mount Wilson przerzucając się uwagami z obsługą anteny, kiedy przez podwójne drzwi wkroczył wreszcie Barker trzymający pod pachą teczkę z planami formacji. Poruszał się szybko i precyzyjnie, twarz miał ściągniętą.

- W porządku, Will - powiedział Hawks odwracając się do inżyniera odpowiedzialnego za antenę. - Zaczynaj namierzać wieżę przekaźnikową za dwadzieścia minut. Jak tylko go ubierzemy, strzelamy.

Will Martin skinął głową i zdjawszy swoje okulary do czytania wskazał nimi Barkera.

- Myśli pan, że stchórzy?

Hawks potrząsnął głową.

- Nie, zwłaszcza gdy tak to nazwać. A ja to zrobiłem.

Martin uśmiechnął się pod nosem.

- Cholerny sposób zarabiania na życie.

- On może kupić i sprzedać nas obu sto razy i nawet by nie zauważył, że mu coś ubyło w portfelu.

Martin spojrział na Barkera z nowym zainteresowaniem.

- Więc po co on to robi?

- Bo taki już jest. - Ruszył w stronę Barkera. - Może też

dlatego, że ja jestem taki, jaki jestem. I dlatego, że ta kobieta jest taka - mruknął już do siebie. Pewnie należałoby też dodać Conningtona. Wszyscy szukamy czegoś, co nam jest potrzebne do szczęścia. Ciekawe, co znajdziemy?

\*

- Otóż - zaczął Barker uderzając dłonią w teczkę - z tego wynika, że jeżeli zrobić fałszywy krok, zostaną znalezione obok kałuży mojej krwi, ale bez żadnego śladu na ciele. Kiedy zrobię następny ruch, zostaną sparaliżowany do pasa w dół i będę musiał się czołgać. Ale czołganie się



powoduje, że człowiek zostaje cały wciśnięty do hełmu. I dalej w tym optymistycznym duchu. Jeżeli nie będę pilnował każdego swojego kroku jak linoskoczek i jeżeli nie będę przyjmował odpowiednich póz we właściwym czasie jak baletmistrz, nigdy nie dotrę nawet do końca tej znanej trasy. Można powiedzieć, że nie mam szansy wyjść z tego żywym.

- Nawet gdyby pan stał i nic nie robił - zgodził się Hawks - formacja zabiłaby pana po stu trzydziestu dwóch sekundach. To nie pozwoli człowiekowi żyć w swoim wnętrzu dłużej niż on wymusi. Granica będzie się przesuwawać w miarę pańskiego postępu. Dlaczego to coś ustępuje pod naciskiem woli człowieka, nie wiemy. Bardzo możliwe, że to tylko efekt uboczny prawdziwego celu formacji, jeżeli ona ma jakiś cel.

Możliwe też, że jest to pozaziemski odpowiednik wyrzuconej puszki od konserw. Czy żuk wie, dlaczego może wejść tylko z jednego końca do puszki leżącej w poprzek jego drogi? Czy rozumie, dlaczego wewnątrz puszki trudniej jest iść w lewo i w prawo niż prosto? Czy żuk jest głupi, jeżeli uzna, że ludzie zostawili puszkę, żeby się nad nim znęcać, albo czy jest maniakiem, jeżeli uważa, że puszka została stworzona, żeby go poddać próbie? Najlepsze dla żuka byłoby zbadanie puszki w kategoriach logiki samej puszki do granic zdolności intelektualnych żuka. W ten sposób żuk może przynajmniej zachować się inteligentnie. Może nawet wyrobić sobie jakieś pojęcie na temat twórcy puszki. Każde inne podejście jest albo głupotą albo szaleństwem.

Barker spojrział na Hawksa niecierpliwie.

- Pieprzenie. Czy żuk jest szczęśliwszy? Czy coś z tego ma? Czy unika jakiegoś niebezpieczeństwa? Czy inne żuki rozumieją, co on robi i prowadzą zbiórkę na jego rzecz? Mądry żuk obchodzi pańską puszkę szerokim łukiem, doktorze, i żyje sobie zadowolony.

- Jasne - powiedział Hawks. - Proszę bardzo. Może się pan wycofać.

- Nie mówiłem o sobie. Mówiłem o panu. - Barker rozejrzał się po laboratorium. - Dużo tu ludzi. Wszyscy do pańskiej dyspozycji. To musi dawać poczucie zadowolenia. - Wsunął teczkę pod pachę i stojąc z rękami w kieszeniach, z głową przechyloną na jedną stronę rzucał słowa Hawksowi prosto w twarz. - Ludzie, pieniądze, energia... wszystko dla wybitnego doktora Hawksa, dla zaspokojenia jego fantazji. Wygląda, że inne żuki jednak zrobiły zrzutkę.

- Takie spojrzenie ma tę zaletę - powiedział Hawks beznamiętnie - że upraszcza sprawę. A także wyjaśnia, dlaczego posyłam coraz to nowych ludzi do tej formacji. Sprawia mi przyjemność, kiedy ludzie umierają na mój rozkaz. Teraz przyszła pańska kolej. Dalejże, Lancelocie, zbroja czeka. Czy nie słyszy pan głosu trąb? Co to jest? - Hawks dotknął śladu szminki wokół siniaka na szyi Barkera. - Pamiątka od wybranki? Czyje serce będzie złamane, jeżeli dziś zostanie pan wysadzony z siodła?

- Serce żuka - powiedział Barker odtrącając rękę Hawksa. Przez jego napiętą twarz przebiegł uśmiech przypomnienia. - Zimne serce żuka.

\*

Barker leżał w swoim skafandrze z rękami rozrzuconymi na boki. Hawks poprosił ludzi z marynarki wojennej, żeby odeszli od stołu i wtedy powiedział cichym głosem:

- Pan umrze, Barker. Niech pan porzuci wszelką nadzieję.

Nie ma żadnej nadziei.

- Wiem, doktorze.

- Mówiłem, że będzie pan umierał wiele razy. Tak będzie.

Dzisiaj to tylko pierwszy raz. Jeżeli nie postrada pan zmysłów, wszystko będzie w porządku... tyle że zachowa pan pamięć umierania i świadomość, że jutro umrze pan znów.

- W jakiś inny nieprawdopodobny sposób. Już to słyszałem. - Barker westchnął. - No, dobrze, doktorze, jak pan to zrobi? Jaką magiczną sztuczkę pan zastosuje? - Był na pozór całkiem spokojny. W ten sam sposób rozmawiał z Samem Latourette. Wyraz twarzy miał prawie apatyczny. Tylko jego ciemne oczy z rozszerzonymi źrenicami zdradzały życie.

- Będzie was dwóch - powiedział Hawks. - Kiedy już pana zapiszą, opisujący sygnał zostanie wysłany nie tylko do odbiornika na Księżycu, ale także do tego w laboratorium. Sygnał do odbiornika laboratoryjnego będzie zatrzymany na taśmie do czasu, aż drugi sygnał dotrze na Księżyc. Wówczas zostanie pan zrekonstruowany z obu sygnałów jednocześnie. Wprowadziliśmy ten system, jak tylko przekonaliśmy się, że ochotnik na Księżycu nie ma szans. Oznacza to, że z ziemskiego punktu widzenia ochotnik nie ginie. Jak dotychczas działało to bezbłędnie.

Barker słuchał cierpliwie. Hawks mozolnie ciągnął dalej.

- Zostało to pomyślane jako sposób na ratowanie życia -

powiedział z trudem opanowując drżenie górnej wargi - i uratuje panu życie. Barker księżycowy zginie, ale Barker laboratoryjny zostanie uwolniony ze skafandra i jeżeli zachowa zdolność logicznego myślenia i pamięć, będzie mógł wieczorem wrócić do domu, jakby to był kolejny dzień w jego życiu. I tylko pan - powiedział koncentrując wzrok gdzieś w głębi czaszki Barkera - stojąc na Księżycu i wspominając naszą rozmowę będzie wiedział, że jest tym przegranym Barkerem księżycowym i że ktoś inny zajął pańskie miejsce na świecie.

Spojrzenie Hawksa wróciło do Barkera leżącego w skafandrze.

- Ktoś inny będzie dziś w nocy trzymał w ramionach Claire. Ktoś inny będzie prowadził pański samochód i pił pańską whisky. Pan już nie jest tym Barkerem, którego poznałem w pańskim domu. Tamtego człowieka już nie ma. Ale żaden Barker nie zaznał jeszcze śmierci, żaden Barker nie musiał pójść tam, skąd nie ma powrotu. Może pan w tym momencie wyjść ze skafandra i odjechać do domu. Ja bym tak zrobił. - Hawks przyglądał się Barkerowi z napięciem.

Po chwili wargi Barkera rozchyliły się w trupim uśmiechu.

- Niech pan da spokój, doktorze. Nie teraz, kiedy już słyszę głos trąb.

Hawks schował swoje dłonie za plecami.

- W porządku. Została zatem jeszcze jedna, ostatnia

sprawa. Kiedy zaczęliśmy stosować tę technikę, stwierdziliśmy, że ochotnik L wykazuje oznaki chwilowej dezorientacji. Chociaż jest bezpieczny w laboratorium, zachowuje się, jakby był ochotnikiem K na Księżycu. Ten okres zakłócenia świadomości trwa tylko chwilę i zaraz następuje powrót do normalności. Nie zwracaliśmy uwagi na to zjawisko traktując je jako jeden z wielu problemów, które musimy odłożyć na później, kiedy zostaną rozwiązane te najbardziej palące. Odłożyliśmy w ten sposób wiele spraw. Otrzymaliśmy jednak raporty od załogi na Księżycu, że ochotnik K z niewyjaśnionych przyczyn traci czas, że również przez kilka sekund po wyjściu z odbiornika jest wyraźnie zdezorientowany. Może przyczyną było uszkodzenie mózgu, a może co innego, wówczas tego nie wiedzieliśmy, ale było to coś nowego, co powodowało stratę czasu.

Stało się to więc problemem palącym. Rozwiązaliśmy go, kiedy uwzględniliśmy fakt, że po raz pierwszy w znanym nam wszechświecie istniały jednocześnie dwa identyczne mózgi. Stało się jasne (choć niektórzy bronili się przed przyjęciem tego wniosku), że dzieląca je odległość znaczy nie więcej niż dla idącego człowieka kreska narysowana na drodze. Może pan to sobie nazwać, jak chce, choćby telepatią, jeżeli nie ma pan oporów wobec tego nienaukowego terminu. - Przez jego twarz przebiegł wyraz zdegustowania. - Rzecz jasna, nie dawało to szans na prawdziwy kontakt. Prawie natychmiast dwa mózgi przestawały być identyczne, gdyż dwaj ochotnicy odbierali zasadniczo różne wrażenia zmysłowe i zapisywali je w komórkach swoich mózgów. Po paru sekundach różniły się już znacznie i osłabiona nie ulegała zerwaniu. M i L nie byli już tym samym człowiekiem. Co więcej nigdy, nawet w pierwszym momencie nie mogli ze sobą „rozmawiać” w sensie przesyłania telepatycznych komunikatów. Nie sądzę też, że ten rodzaj obiektywnego, wolnego od emocji porozumiewania się będzie kiedykolwiek możliwy. Móc czytać czyjś umysł, to znaczy móc być tym człowiekiem, być tam, gdzie on, żyć jego życiem. Nawet w naszym szczególnym przypadku dwaj ludzie mogli być jednomyślni tylko przez jedną, ulotną chwilę.

Hawks rozejrzał się po laboratorium. Gersten przyglądał mu się cierpliwie zakończywszy swoje przygotowania. Hawks kiwnął głową i wrócił spojrzeniem do Barkera.

- Dostrzeżliśmy w tym zjawisku - ciągnął - potencjalny sposób ścisłej obserwacji człowieka wewnątrz formacji księżycowej. Dlatego właśnie tak, a nie inaczej ustaliliśmy warunki transferu na Księżyc. Barker K zostanie odtworzony na Księżycu, gdzie urządzenia blokujące doznania zmysłowe w jego skafandrze przestaną działać, bo znajdą się poza zasięgiem naszej kontroli. K wyjdzie ze znieczulenia i będzie poruszał się i obserwował normalnie. Ale Barkera L musimy tu nadal utrzymywać pod pełną kontrolą. Leżąc zamknięty w skafandrze jest pozbawiony wszelkich doznań. Jego umysł nie ma świadomości tego, co dzieje się w laboratorium i może bez przeszkód odbierać wszystko, co do niego nadejdzie. A jedynym źródłem doznań jest umysł Barkera K.

Barker L będzie uważał, że jest na Księżycu wewnątrz formacji nie mając świadomości, że jest Barkerem L. Będzie żył za pośrednictwem mózgu Barkera K i jego komórki zarejestrują te wszystkie doznania, które przekażą mu ciało i mózg Barkera K. I chociaż, oczywiście, nie ma sposobu na zapobieżenie dopływu innych bodźców (na przykład coraz bardziej odmienne stają się stany wynikające z przemiany materii), to kontakt może zostać utrzymany przez dziesięć do piętnastu minut. Jak dotychczas nigdy się to nie udało.

Pozna pan, że dotarł do granicy naszych poprzednich prób kiedy natknie się pan na ciało Rogana. Nie wiemy, co go zabiło. Nie jest to w gruncie rzeczy istotne, tyle że trzeba tego uniknąć, cokolwiek to było. Może stan jego ciała będzie jakąś wskazówką. Jeżeli tak, byłaby to jedyna informacja, jaką uzyskamy dzięki Roganowi. Bo kiedy Rogan L tutaj czuł śmierć Rogana K tam, to nie czuł nic prócz śmierci. Tak samo będzie z panem.

Umysł Barkera K umrze wraz z jego ciałem niezależnie od tego, w jaki sposób ciało zostanie zniszczone. Miejmy nadzieję, że potrwa to dłużej niż dwieście trzydzieści dwie sekundy. Ale prędzej czy później się zdarzy. Umysł Barkera K w mózgu Barkera L będzie czuł, że umiera, ponieważ nie pozwalamy mu czuć tego, co dzieje się z jego własnym ciałem. Nagle stanie przed nim całe jego życie, wszystkie jego wspomnienia. Odczuje ból, wstrząs i zupełnie dotychczas nieznaną lęk przed końcem jego świata. Nikt dotąd nie był w stanie tego wytrzymać. Wybieraliśmy najlepsze, najbardziej zrównoważone umysły spośród spełniających warunki fizyczne ochotników i wszyscy bez wyjątku byli wyjmowani ze skafandrów w stanie szaleństwa. Jeżeli mieli nam do przekazania jakieś informacje, to zostały stracone na zawsze.

- Wielka szkoda - powiedział Barker patrząc na niego bez wyrazu.

- A jak pan chce, żebym o tym mówił? - odparł Hawks szybko. Na jego czole wystąpiła żyła. - Czy chce pan, żebym mówił o tym, co mamy do zrobienia, czy o czymś innym? Chce pan ze mną dyskutować o moralności? Chce pan powiedzieć, że kopia czy nie kopia, na Księżycu ginie człowiek i to wystarcza, żeby mnie nazwać mordercą? Czy chce pan postawić mnie przed sądem i posłać do komory gazowej? Czy chce pan przewertować kodeks karny i sprawdzić, jakiej karze podlega zbrodniarz wielokrotnie wpędzający ludzi w szaleństwo? Czy to nam rozwiąże jakiś problem?

Niech się pan przeniesie na Księżyc, panie Barker, i niech pan tam umrze. I jeżeli faktycznie kocha pan śmierć z takim przekonaniem, z jakim pan się do niej zalecał, to możliwe, że będzie pan pierwszym człowiekiem, który wróci i zażąda ode mnie satysfakcji! - Hawks ujął brzegi skafandra i zamknął je z trzaskiem. Oparł się dłońmi na piersi Barkera i pochylił się zbliżając twarz do jego twarzy. - Ale wcześniej musi mi pan powiedzieć, jak mam pana ponownie zabić, żeby był z tego jakiś pożytek.

3. Obsługa wtoczyła Barkera do komory nadajnika. Magnesy poprzeczne uniosły go nad stołem, który spod niego wyciągnięto. Zatrzaśnięto drzwi i włączono magnesy podłużne, unieruchamiając go dla

zapisu. Hawks skinął głową Gerstenowi, a ten wcisnął na swojej konsoli guzik gotowości.

Czasza radaru na dachu była zestrojona z anteną przekaźnika. W laboratorium na dole Will Martin wskazał palcem technika-łącznościowca. Sygnał radarowy został wysłany na Księżyc i wrócił. Czas z uwzględnieniem efektu Dopplera wszedł do danych komputera, ustalającego dokładnie opóźnienie rekonstrukcji w laboratorium. Antena przekaźnika materii wysłała za pośrednictwem wieży przekaźnikowej ultrakrótki puls do odbiornika wprowadzając go w stan gotowości do przyjęcia transmisji z Ziemi.

Gersten popatrzył na swoją konsolę i odwrócił się do Hawksa.

- Zielone światło - powiedział.

- Strzelamy.

Nad portalem nadajnika zapaliło się czerwone światło i

nowa taśma zaczęła się nawijać na szpule w aparaturze opóźniającej. W sekundę i dwadzieście pięć setnych później początek zapisu przeszedł przez głowicę urządzenia odczytującego w odbiorniku L. Jednocześnie pierwsze uderzenie sygnału K dotarło do odbiornika księżycowego.

\*

Koniec taśmy zatrzepotał na szpuli nawijającej. Nad portalem odbiornika laboratoryjnego zapaliło się zielone światło. W głośniku rozległ się przyspieszony oddech Barkera L i słowa:

- Jestem tutaj, doktorze.

Hawks stał z rękami w kieszeni, z głową przechyloną na bok, z pustym wzrokiem.

Po chwili Barker L odezwał się opryskliwie, głosem zniekształconym przez zdrętwiałe wargi.

- Dobrze, dobrze, pieprzone wilki morskie, już tam wchodzę! Nawet się do człowieka nie odezwą, ale popychają fachowo - mrucał.

- Zamknij się, Barker - szepnął Hawks zdenerwowany.

- Teraz wchodzę, doktorze - powiedział Barker wyraźnie.

Jego oddech się zmienił. Kilka razy stęknął i raz wyrwał mu się wysoki odgłos zdradzający wielkie napięcie.

Gersten dotknął ramienia Hawksa i wskazał głową trzymanym w ręku stoper. Pokazywał dwieście czterdzieści sekund od chwili wejścia Barkera do formacji. Hawks odpowiedział ledwie zauważalnym skinieniem głowy. Gersten zauważył, że Hawks nie odrywa wzroku od wskazówek i dalej trzymał stoper w tej samej pozycji.

Barker krzyknął. Hawks podskoczył wytrącając stoper z ręki Gerstena.

Holiday przy konsolce medycznej uderzył z siłą w przełącznik odcinając dopływ środka znieczulającego i wstrzykując do serca Barkera L adrenalinę.

- Wyciągnijcie go! - krzyczał Weston. - Wyciągnijcie go!

- Nie ma już pośpiechu - powiedział cicho Hawks. -

Cokolwiek miało mu się stać, już się stało.

Gersten przeniósł wzrok z rozbitego stopera na Hawksa.

- Tak myślałem - powiedział.

### **Hawks zmarszczył brwi i ruszył w stronę komory**

odbiornika, do której obsługa wtaczała już stół na kółkach.

\*

Barker siedział zgarbiony na skraju stołu i wycierał poszarzałą twarz, obok niego leżał otwarty skafander. Holiday stetoskopem osłuchiwał jego serce zerkając co jakiś czas w bok, żeby odczytać ciśnienie krwi na manometrze. Barker westchnął.

- Jeżeli są jakieś wątpliwości - powiedział - spytajcie mnie, czy żyję. Jeżeli usłyszycie odpowiedź, będziecie wiedzieć. - Spojrzał ponad ramieniem lekarza, który go nie słuchał i zwrócił się do Hawksa. - No i jak?

Hawks popatrzył na Westona, który kiwnął głową.

- Udało mu się, doktorze - powiedział. - Ostatecznie osobowości neurotyczne często okazują się użyteczne w planie funkcjonalnym.

- Panie Barker - odezwał się Hawks. - Jestem...

- Wiem, jest pan szczęśliwy, że wszystko się udało. -

Rozejrzał się. - Ja też. Czy ktoś tutaj ma papierosa?

- Jeszcze nie - powiedział ostrym tonem Holiday. - Dajmy pańskim naczyniom trochę czasu.

- Wszyscy są tacy twardzi, wszyscy wiedzą lepiej. - Barker rozejrzał się po pracownikach laboratorium tłoczących się wokół stołu. - Czy moglibyście się tak nie gapić? - Cofnęli się z ociąganiem, po chwili jednak wrócili do swoich zajęć.

- Panie Barker - spytał Hawks łagodnie. - Jak się pan czuje?

\*

Barker spojrział na niego bez wyrazu.

- Wszedłem tam z odbiornika i chciałem się rozejrzeć koło bazy. Wtedy kilku sztywnych facetów w skafandrach z oznakami marynarki potraktowało mnie jak natrętnego upiora. Rozmawiali ze mną tak, jakby za każde słowo musieli płacić z własnej kieszeni. Wskazali mi zamaskowane przejście, które zbudowali z kopuły bazy i prawie mnie tam wepchnęli. Jeden z nich odprowadził mnie do formacji i ani razu nie spojrział mi prosto w oczy.

- Oni też mają swoje problemy - powiedział Hawks.

- Na pewno tak. W każdym razie wszedłem do tego czegoś i posuwałem się zgodnie z planem... To jest... - Jego twarz nie wyrażała już oburzenia, tylko dobrze zapamiętane zakłopotanie. - To jest... trochę jak sen. Nie koszmar... wie pan, jakieś krzyki, twarze, nic takiego... Ma to swoje prawa i swoją pokrętną logikę. Taka Alicja w Krainie Czarów z zębami. - Zrobił gest, jakby ścierał wypowiedziane słowa z tablicy. - Będę musiał znaleźć jakiś sposób, żeby to ująć w słowa. To nie jest niemożliwe, dajcie mi tylko ochłonać.

Hawks kiwnął głową.

- Spokojnie. Mamy teraz dość czasu.

Barker nagle rozjaśnił się szelmowskim uśmiechem.

- Wie pan, przeszedłem spory kawałek za ciało Rogana. To,

co mnie w końcu załatwiło, to było... to było...

Wargi mu zaczęły drżeć, twarz spurpurowiała, oczy omal nie wyskoczyły z orbit.

- Nie mogę! - krzyknął. - Nie mogę, Hawks! - Próbował uwolnić się z objęć Hawksa i Westona, którzy przytrzymywali go za ramiona, potem zacisnął dłonie kurczowo na skraju stołu. - Hawks! - krzyknął jakby zza grubej szklanej ściany. - Hawks, to nie zwracało na mnie uwagi! Byłem dla tego czegoś niczym! - Siedział przez chwilę z uchyłonymi ustami. - Niczym. - Jego wzrok szukał rozpaczliwie odpowiedzi w twarzy Hawksa, oddychał tak, jakby już do końca życia miało mu brakować powietrza.

Weston aż postękiwał z wysiłku usiłując zmusić Barkera do położenia się na stole. Holiday klnąc precyzyjnie wciągał do strzykawki płyn z ampułki, którą błyskawicznie wyjął ze swojej torby.

Hawks przyciskał do ud ręce z zaciśniętymi pięściami.

- Barker! - powiedział. - Jaką okładkę miał pański elementarz?

Barker rozluźnił nieco ramiona, napięcie w karku też zelżało. Potrząsnął głową i ze zmarszczonym czołem wbił wzrok w podłogę.

- Nie pamiętam, doktorze - wyjąkał. - Zieloną... nie, chyba pomarańczową z niebieskimi napisami. Była tam historia o trzech złotych rybkach, które wypęzły z akwarium na półkę z książkami i wskoczyły z powrotem. Pamiętam stronicę z obrazkiem: trzy rybki w powietrzu jedna za drugą, a pod nimi akwarium. Tekst był złożony w trzech wierszach: „Plusk!”, niżej „Plusk!” i pod spodem „Plusk!”. Tak jak rybki.

- No widzi pan - powiedział Hawks łagodnie. - Pamięta pan całe swoje życie. Jest pan kimś, kto widział i zapamiętywał.

Weston zajrzał mu przez ramię.

- Na litość boską, Hawks! Niech się pan nie wtrąca!

Holiday przyglądał się Barkerowi uważnie ze strzykawką w ręku.

Hawks zrobił głęboki wydech i zwrócił się do Westona.

- Teraz przynajmniej ma pewność, że żyje - powiedział.

Z Barkera jakby uszło powietrze. Zgięty w pół kołysał się na skraju stołu, jego twarz stopniowo odzyskiwała normalną barwę.

- Dziękuję, doktorze Hawks - wyszeptał z uczuciem. - Dziękuję za wszystko, doktorze - dodał z goryczą. Nagle zeszywniał i przez ściśnięte gardło wymamrotał: - Niech mi tu ktoś poda wiadro.

\*

Gersten i Hawks stali obok odbiornika patrząc, jak Barker na uginających się nogach ubrany już w koszulę i spodnie wraca z łazienki.

- Jak sądzisz, Ed? - spytał Gersten. - Co on teraz robi?

Odejdzie od nas?

- Nie wiem - odpowiedział w zamyśleniu Hawks nie spuszczać oczu z Barkera. - Myślałem, że się otrząśnie, ale kto to może wiedzieć? Musimy po prostu poczekać. I zastanowić się, co robić dalej.

- Znaleźć innego?

Hawks potrząsnął głową.

- Nie ma szans. Mamy za mało informacji nawet na jego temat. Muszę mieć czas na zastanowienie się. Dlaczego czas ucieka, kiedy człowiek myśli?

Zbliżył się Barker. Głęboko zapadniętymi oczami spojrzął przenikliwie na Hawksa.

- Holiday mówi, że wszystko jest w zasadzie w porządku - powiedział zmienionym głosem - ale ktoś musi mnie odwieźć do domu. Podjąłby się pan tej roboty, doktorze?

- Zgoda. - Hawks zdjął kitel, złożył i rzucił na szafkę. - Możesz przygotować następny przerzut na jutro - powiedział do Gerstena.

- Na mnie nie liczcie! - rzucił Barker.

- Zawsze można zrezygnować. Zadzwoń jutro rano i powiem ci - zwrócił się do Gerstena.

Barker ruszył chwiejnie przed siebie. Hawks szedł obok niego. Ramię w ramię przemierzyli laboratorium i wyszli na schody.

\*

W holu na górze czekał na nich Connington, siedząc w jasnopomarańczowym plastikowym fotelu. Nogi wyciągnął przed siebie, w ręce trzymał zapalone cygaro i wydymając wargi wydmuchiwał dym długim przezroczystym stożkiem. Przebiegł wzrokiem z Barkera na Hawksa i z powrotem.

- Jakies kłopoty? - spytał, kiedy się zbliżyli. - Słyszałem, że mieliście jakieś problemy w laboratorium - powtórzył z błyskiem w oku. - Ciężka sprawa, co AI?

- Jak znajdę tego, który wynosi informacje z laboratorium, wyleję go na zbitą twarz - powiedział Hawks.

Connington przysunął sobie stojącą obok popielniczkę, pierścień brzęknął o metalową nogę.

- Spuszcza pan z tonu, Hawks. Jeszcze kilka dni temu nie zniżałby się pan do pogrózek. - Podniósł się ze stęknieniem. - Moja osoba byłaby niezauważalna. - Zakołysał się na piętach z rękami w kieszeniach. - Czy to ważne, o jakich szczegółach się dowiem, a o jakich nie? Czy myśli pan, że mi to potrzebne? Znam was dwóch. To wystarczy.

- Niech cię diabli, Connington... - zaczął Barker z histeryczną nutą w głosie.

Spojrzenie Conningtona uciszyło go.

- Miałem więc rację? - Uśmiechnął się. - Jedziecie teraz do Claire? We dwójkę? - spytał wypuszczając dym.

- Coś takiego - odpowiedział Hawks.

Connington potarł klapę marynarki.

- Chyba pojedę z wami i popatrzę sobie. - Uśmiechnął się czule do Barkera przechylając głowę na bok. - Dlaczego nie, AI? Możesz przecież spędzić wieczór w towarzystwie wszystkich ludzi, którzy usiłują cię zabić.

Hawks spojrzął na Barkera. Jego dłonie pracowały, jakby walczyły z czymś niewidocznym na wysokości żołądka. Patrzył jakby na wylot przez Conningtona, który na chwilę zmrużył oczy.



- W samochodzie nie ma miejsca - powiedział Barker niepewnie.

Connington roześmiał się radośnie.

- Ja poprowadzę, a ty możesz usiąść na kolanach doktora.

Hawks oderwał wzrok od twarzy Barkera i ostro powiedział:

- Ja poprowadzę.

Connington znów się roześmiał.

- Sam Latourette nie dostał pracy w firmie Hughesa. To, że Waxed chciał go wziąć, nic nie pomogło. Zjawił się na rozmowę wstępną kompletnie pijany. Ja poprowadzę. - Skierował się w stronę podwójnych szklanych drzwi i ruszył przodem. - Chodźmy, przyjaciele - powiedział odwracając głowę.

4. Claire Pack przyglądała im się ze szczytu schodków prowadzących na trawnik. Miała na sobie jednoczęściowy kostium kąpielowy wysoko podcięty nad udami, dłonie wsparła swobodnie na biodrach. Kiedy Connington zgasił silnik i wszyscy trzej wysiedli z samochodu, uniosła lekko brwi.

- No, proszę, doktorze - odezwała się niskim głosem wydymając wargi

- zastanawiałam się, czy jeszcze kiedyś wpadniesz.

Connington podchodzący z drugiej strony auta uśmiechnął się czujnie.

- Musiał odwieźć Ala - powiedział. - Zdaje się, że nie wszystko dziś poszło zgodnie z planem.

Claire spojrzała na Barkera, który gwałtownymi ruchami podnosił drzwi do garażu, całkowicie skupiony na tym, co robi. Przesunęła językiem po skraju zębów.

- Co się stało?

- Ja się na tym nie znam, zapytaj Hawksa. - Connington

wyjął nowe cygaro. - Podoba mi się ten kostium - dodał. Szybko wszedł po schodkach ocierając się o Claire. - Gorąco dziś. Chyba poszukam kąpielówek i też się wykapię. A ty porozmawiaj sobie przez chwilę z chłopcami. - Szybkim krokiem ruszył w stronę domu, zatrzymał się, zapalił cygaro i znikł we wnętrzu.

Barker wsiadł do samochodu, włączył silnik i ze zgrzytem biegów wjechał do garażu. Silnik zahuczał i ucichł.

- Myślę, że wszystko będzie dobrze - powiedział Hawks.

Claire spojrzała na niego z góry, przybierając wyraz naiwności.

- Chcesz powiedzieć, że będzie normalny?

Barker zamknął garaż i minął Hawksa z opuszczoną głową, pochłonięty chowaniem kluczyków do kieszeni. Na górze gwałtownie zwrócił twarz w stronę Claire.

- Idę na górę. Pewnie się położę. Nie budź mnie. - W półobrocie spojrzał na Hawksa. - Wygląda, że pan tu utknął, chyba że znów chce pan wracać na piechotę. Pomyślał pan o tym, doktorze?

- A pan? Zaczekam, aż pan wstanie. Chcę z panem porozmawiać.

- Zatem miłego pobytu, doktorze - powiedział Barker i odszedł. Claire patrzyła za nim, potem przeniosła wzrok na Hawksa. Przez cały ten czas nie zmieniała położenia dłoni ani stóp.

- Coś się stało - powiedział Hawks. - Nie wiem, czy to coś bardzo ważnego.

- Martwisz się, a tymczasem jesteś jedynym, który został na schodach.

- Już wchodzę - westchnął Hawks.

Claire błysnęła w uśmiechu zębami.

- Chodź i posiedź ze mną przy basenie. - Odwróciła się, zanim zdążył odpowiedzieć i poszła powoli przodem. Jej prawa ręka sięgnęła w tył i dotknęła dłoni Hawksa. Zwolniła kroku, tak że szli ramię w ramię. - Nie masz nic przeciw temu? - spytała.

Hawks spojrział na ich ręce, a wtedy ona wsunęła swoje palce w jego dłoń.

- Nie, chyba nie - powiedział powoli i zamknął jej dłoń w swojej.

- To dobrze - powiedziała głosem prawie po dziecięcemu miękkim.

Stanęli na skraju basenu patrząc w wodę.

- Czy Connington wtedy długo trzeźwiał? - spytał Hawks.

Roześmiała się.

- Powiedz od razu, że chcesz wiedzieć, dlaczego pozwalam mu się tu kręcić po jego pogroźkach? Odpowiedź brzmi: A dlaczego nie? Co on może tak naprawdę zrobić? - Spojrzała spod oka z pełnym wdziękiem obrotem głowy i ramion, jej włosy załśniły w promieniach słońca. - A może myślisz, że jestem pod urokiem jego nieodpartego wdzięku? - spytała z udanym przerażeniem, szeroko otwierając oczy.

Hawks patrzył przez cały czas na nią.

- Nie, nie sędzę.

Odpowiedziała cichym, głębokim śmiechem. Zwróciła się w stronę Hawksa i oparła mu drugą rękę na ramieniu.

- Czy mam to uznać za wyraz hołdu? Al mówi, że niełatwo cię wciągnąć w rozmowę towarzyską.

- Co jeszcze Al opowiedział ci na temat swojej pracy? - spytał Hawks, chwytając się prawą dłonią za lewy nadgarstek, jakby się osłaniał.

Claire spojrzała na jego rękę.

- Wiesz - powiedziała poważnym tonem - gdybym podeszła do ciebie za blisko, zawsze możesz wskoczyć do basenu. - Uśmiechnęła się jakby do siebie, z twarzą zwróconą w jego stronę i zabrawszy rękę z jego dłoni osunęła się na trawę zapatrzona w powierzchnię wody. - Przepraszam - powiedziała nie podnosząc wzroku. - Powiedziałam to tylko dlatego, żeby się przekonać, czy wskoczysz. Connie ma rację co do mnie.

Hawks niezręcznie przysiadł się patrząc na profil jej odwróconej twarzy.

- Pod jakim względem? - spytał.

Zanurzyła dłoń w błękitnej wodzie i przeciągnęła nią przepuszczając między palcami wstążki srebrnych baniek.

- Nie mogę wytrzymać, żeby po kilku minutach znajomości nie próbować zaleźć mężczyźnie za skórę - powiedziała w zadumie. - To jest silniejsze ode mnie. Można to chyba nazwać sprawdzaniem się. - Zwróciła twarz w jego stronę. - A to można uznać za freudowskie przejęzyczenie. - Odwróciła się znowu. - Taka właśnie jestem.

- Naprawdę? Czy też mówienie tego jest elementem gry? Przecież wszystko, co mówisz, obliczone jest na efekt, prawda?

Zwróciła ku niemu twarz, tym razem powoli, i spojrzała z uśmiechem, w którym kryło się coś cynicznego.

- Jesteś bardzo bystry, co? - wydeła wargi. - Czy jesteś pewien, że zasługuję na tyle uwagi? Co możesz z tego mieć? - Wygięła brwi pytająco, a jej uśmiech rozszerzał się powoli.

- Nie zastanawiam się nad tym, co mnie powinno interesować - powiedział Hawks. - Najpierw jakieś zjawisko mnie intryguje, a potem zaczynam je badać.

- Widocznie masz w sobie wiele ciekawości, prawda? - Czekwała na odpowiedź, ale Hawks milczał. - W każdym znaczeniu tego słowa - dodała. Hawks patrzył na nią z poważnym wyrazem twarzy i po chwili jej twarz przygasła. Nagle odwróciła się na plecy, skrzyżowała nogi i położyła dłonie płasko na udach. - Jestem kobietą Ala - powiedziała w niebo.

- Którego Ala? - spytał Hawks.

- Co się z nim dzieje? - spytała poruszając samymi wargami. - Co ty mu robisz?

- Sam nie bardzo wiem. Czekam, żeby się dowiedzieć.

Usiadła i spojrzała mu w oczy. Jej piersi poruszyły się pod kostiumem.

- Czy ty w ogóle masz sumienie? - spytała. - Czy jest choć jedna osoba, która nie jest wobec ciebie bezbronna?

Hawks potrząsnął głową.

- Takie pytanie nie ma najmniejszego sensu. Robię to, co muszę. To wszystko.

Sprawiła wrażenie prawie zahipnotyzowanej. Pochyliła się w jego stronę.

- Zobaczą co u Ala - powiedział Hawks wstając.

\*

Claire wyciągnęła szyję i nie spuszczała z niego wzroku.

- Hawks - szepnęła.

- Przepraszam, muszę iść. - Obszedł jej podciągnięte nogi i ruszył w stronę domu.

- Hawks - powtórzyła ochryple. Góra kostiumu obsunęła się, prawie odsłaniając piersi. - Musisz dziś w nocy do mnie przyjść.

Nie zwolnił kroku.

- Hawks, ostrzegam cię!

Hawks otworzył drzwi i znikł za odbijającymi słońce szybami.

5. - Jak poszło? - zaśmiał się Connington stojący w półmroku w drugim końcu saloniku. Podszedł ubrany we wzorzyste kąpielówki, z trudem mieszczące jego brzuch. W ręce, przez którą przewiesił plażową koszulkę w krzyżujących barwach, trzymał cynowy dzbanek i dwie szklanki. - Stąd wygląda to trochę jak niemy film - powiedział wskazując głową szklaną ścianę wychodzącą na trawnik i basen. - Dużo się dzieje, ale nic nie słysząc.

Hawks obejrzał się. Claire siedziała nad basenem zapatrzona w wodę błyskającą zapewne jej własnym zwielokrotnionym odbiciem.

- Potrafi znaleźć za skórę, co? - roześmiał się Connington. - Z nią nawet przezorny nie jest ubezpieczony. Ona jest jak żywioł, przypływ oceanu, zmiana pór roku, zaćmienie Słońca. - Zjrzał do dzbanka, w którym nagle zadźwięczały kostki lodu. - Takie istoty nie mieszczą się w kategoriach dobra i zła - powiedział zaciskając wargi. - Kierują się własnymi prawami i nie można z nimi dyskutować. - Hawks poczuł na twarzy jego oddech. - Rodzą się wśród nas, pracują na stacjach benzynowych, w kasynach i domach towarowych, ale zawsze osiągają to, co im się należy. I biada tym, którzy ścigają takie komety krążące po swobodnych orbitach. Biada nam, Hawks.

- Gdzie jest Barker?

Connington wskazał ręką z dzbankiem.

- Na górze. Wziął prysznic, zagroził, że mi wypruje flaki, jak nie zejdemu z drogi i poszedł się położyć.

Nastawił budzik na ósmą. Wypił szklanekę dzinu do poduszki. Gdzie jest Barker? - powtórzył Connington. - W krainie snów, Hawks, w tej, która na niego czekała.

Hawks spojrział na zegarek.

- Trzy godziny, Hawks - powiedział Connington. Przez trzy godziny pana nie ma w domu. - Wyminął Hawksa w drodze do drzwi na zewnątrz. - Ju-hu! - krzyknął przesadnie wznosząc dzbanek w stronę Claire. Niezgrabnie pchnął drzwi ramieniem, pozostawiając na szkle wilgotną plamę. - Do boju!

\*

Hawks wszedł w głąb pokoju, w kierunku baru. Poszukał pod blatem i znalazł butelkę whisky. Kiedy zrobił sobie drinka z wodą i lodem, podniósł wzrok i zobaczył, że Connington stoi nad Claire, która leży na brzuchu, zapatrzona w wodę z brodą opartą na rękach. Connington podniósł dzbanek i niezręcznie nalewał napój do szklanek trzymany w drugiej ręce.

Hawks podszedł powoli do skórzanej kanapy na wprost okien i usiadł, opierając łokcie na udach. Przyłożył do warg szklanekę trzymaną w obu dłoniach. Dolna połowa jego twarzy była skąpana w czerwonym świetle słonecznym, upstrzonym bursztynowymi plamkami. Górną część nosa, oczy i czoło kryła kurtyna cienia.

Claire przetoczyła się na bok i wyciągnęła rękę, żeby wziąć szklanekę od Conningtona. Zrobiła w powietrzu gest stuknięcia się z jego szklaneką i pociągnęła łyk płynu. Potem wróciła do poprzedniej pozycji i wsparta na łokciach patrzyła w wodę ściskając palcami szklanekę.

Connington usiadł obok niej na skraju basenu i spuścił nogi w dół. Claire otarła wodę z ramienia. Connington uniósł szklanekę i czekał, aż Claire przyłączy się do toastu. Zrobiła to przyciskając drugą ręką kostium do piersi.

W świetle zachodzącego słońca ich profile rysowały się na tle nieba i połyskującego oceanu.

Connington powtórnie napełnił szklanki.

Claire upiła nieco ze swojej. Connington dotknął jej ramienia i pochylił ku niej głowę. Roześmiała się bezgłośnie, po czym wyciągnęła rękę ku jego talii i ścisnęła palcami wałek tłuszczu na jego brzuchu. Widocznie ścisnęła mocno, bo Connington chwycił ją za nadgarstek, a potem odpychał jej ramię. Wreszcie wykręcił się jakoś, pośpiesznie odstawił szklankę na skraj basenu i z pluskiem wpadł do wody. Zaraz wysunęły się stamtąd jego ręce, które chwyciły Claire za ramiona i zaczęły wciągać ją do basenu.

Tarcza słoneczna stoczyła się poniżej okapu dachu i światło zalało całą twarz Hawksa. Opuścił powieki, aż patrzył tylko przez przesłonę rzęs.

Trzymając Claire za ręce Connington zaparł się stopami o brzeg basenu i wyprostował się. Claire wjechała do wody na jego ciało i oboje znikli pod powierzchnią. W chwilę później jej głowa i ramiona ukazały się znowu. Spokojnie dopłynęła do drabinki, wyszła i zatrzymała się nad brzegiem, żeby podciągnąć górę kostiumu na piersiach. Jednym ruchem ręki podniosła z trawy ręcznik, zarzuciła go na ramiona i szybko wyszła z kadru w lewo, do drugiego skrzydła domu.

Connington stał w wodzie odprowadzając ją spojrzeniem. Potem rzucił się i wzbijając fontanny dopłynął do drabinki w płytkim końcu. Wszedł ociekając wodą. Zrobił kilka kroków w ślad za Claire, ale nagle zwrócił twarz w stronę szklanej ściany, zawrócił i płasko wskoczył do wody. Popłynął w przeciwny koniec basenu do trampoliny. Przez jakiś czas potem, kiedy ukazało się całe słońce i Hawks siedział w pokoju wypełnionym czerwienią, w belkach domu odzywał się co jakiś czas wibrujący odgłos trampoliny.

Za dziesięć ósma na górze rozległa się muzyka jazzowa z radia. W dziesięć minut później terkot budzika zagłuszył muzykę, a po chwili rozległ się suchy trzask i potem już tylko odgłosy kroków ubierającego się Barkera.

Hawks podszedł do baru, umył swoją szklankę i odstawił ją na stojak. Rozejrzał się. Na zewnątrz zapadła noc, pojedyncze światło wpadało z góry w rogu pokoju, gdzie były schody, na piętro. Hawks zapalił stojącą obok lampę, na

.N:120

ścianie zarysował się jego cień.

6. Barker zszedł po schodach z na wpół opróżnioną graniastą butelką. Zobaczywszy Hawksa jęknął i uniósł ją.

- Nienawidzę tego świństwa - powiedział. - Smak ma paskudny, śmierdzi i pali w ustach. Ale stale wciskają to człowiekowi do ręki i mówią „Napijmy się!” i „Co z tobą, Charlie, zostajesz w tyle?” albo „Może ci dolać?” Aż się czujesz dziwakiem i zrzęda powtarzając do znudzenia, że nie, że dziękujesz. A do tego mają cały folklor, aż sam nie wierzysz, że można się dobrze bawić, jeżeli się człowiek nie ożłopie tak, że cały następny dzień chodzi jak struty. A jeszcze dorabiają do tego całą filozofię: roczniki, klasy, marki, jakby to nie był spirytus etylowy w różnym stężeniu. Słuchał pan kiedyś dwóch facetów pijących martini przy barze? A dwóch szamanów rozmawiających o zaklęciach? - Opadł na fotel i roześmiał się. - Ja też nie. Korzystam tylko ze swojego dziedzictwa dwóch kultur. Patrzę na pijaków w barze i myślę o godności człowieka. Pewnie popełniam świętokradztwo.

Włożył do ust papierosa i zapalił.

**- Ale to wszystko, co mogę zrobić - powiedział**

wypuszczając dym. - Mój ojciec nie żyje, a ja kiedyś zerwałem z drugą połową swoich przodków. Teraz żałuję, że odrzuciłem tę część pamięci.

Hawks usiadł z powrotem na kanapie. Oparł dłonie na kolanach i obserwował Barkera.

- A ta druga część też nie jest tobą zachwycona. Trzeba uważać na każde słowo, a i tak jest się tylko czerwonoskórym gentelmanem dopuszczonym do towarzystwa. Chciałem być akceptowany, Bóg mi świadkiem, że strasznie chciałem być akceptowany, nauczyłem się wszystkich haseł i odzewów. I co mi to dało? Claire ma rację, nic. Niech pan tak na mnie nie patrzy, ja wiem, kim jest Claire. I pan wie, że ja wiem. Powiedziałem panu w pierwszej minucie naszej znajomości. Ale czy kiedyś się pan zastanowił, ile to jest warte dla mnie? Za każdym razem, kiedy uwodzi innego mężczyznę, wiem, że porównuje. Robi zakupy w domu towarowym. I sama jest na sprzedaż. Nie trzymam jej na smyczy. Ona nie jest oswojona, a ja nie jestem dla niej przyzwyczajeniem. Nie jest ze mną związana żadnym kontraktem. I za każdym razem, kiedy do mnie wraca, dowodzi, wie pan, czego? Że jestem nadal najlepszy. Bo gdybym nie był, nie zostałaby ze mną ani dnia. Niech pan sobie nie robi złudzeń. Nie wiem, co pan myśli o sobie i o niej, ale niech pan nie ma złudzeń.

Hawks przyjrzał się Barkerowi z uwagą, ale ten już patrzył w inną stronę.

- Gdyby ona mnie mogła zobaczyć... gdyby ona mnie mogła zobaczyć w tamtym miejscu! - Twarz Barkera zalał rumieniec. - Nie przyszłoby jej do głowy drażnić się dziś z panem i z Conningtonem, gdyby mogła zobaczyć, co ja tam robię... Jak padam, uskakuję, skręcam się i pełzam czekając na...

- Spokojnie, Barker!

- Tak. Spokojnie. Rozluźnij się. Odsuń się, to kłuje -

wyrzucił z siebie Barker. - A co pan tu właściwie robi, doktorze? Dlaczego nie maszeruje pan stąd szosą ze sztywnym zadkiem i nosem do

góry? Myśli pan, że coś pan tu wysiedzi? Na co pan czeka? Żeby powiedzieć, że potrzebuję trochę snu i trochę dżinu, i o której godzinie mam się jutro zgłosić do roboty? Czy też chce pan, żebym się rozsypał na dobre i żeby pan mógł się dostać do Claire? Co pan tu robił, kiedy ja spałem? Kleił się pan do niej, czy może Connington wyślizgał pana z okazji? - Rozejrzał się dokoła. - Zdaje się, że tak.

- Zastanawiałem się - powiedział Hawks.

- Nad czym?

- Dlaczego pan chciał, żebym tu przyjechał. Dlaczego przyszedł pan wprost do mnie i poprosił mnie, żebym przyjechał. Zastanawiałem się, czy chodziło o to, żebym pana zmusił do pójścia tam jeszcze raz.

Barker uniósł do ust butelkę i sącząc dżin patrzył na Hawksa.

- Ciekawy pogląd na świat - odezwał się opuszczając butelkę. - Wszystko, co się dzieje, musi być tak skrócone, żeby odpowiadało panu. Dla pana nic nie wygląda zwyczajnie.

- To dotyczy wszystkich ludzi. Nikt nie widzi świata tak, jak go widzą inni. Chciałby pan, żebym był człowiekiem z brązu? Trwalszym niż ciało i pustym w środku? Tak pan sobie wyobraża człowieka? - Hawks pochylił się, ostre zmarszczki przecinały jego chude policzki. - Jak coś, co pozostanie niezmiennym, kiedy gwiazdy się wypalą, a wszechświat wystygnie? Czy tak pan sobie wyobraża człowieka godnego szacunku?

- Mężczyzna powinien walczyć, panie Hawks - powiedział Barker zapatrzony w przestrzeń. - Mężczyzna nie powinien nigdy okazywać lęku przed śmiercią. Powinien iść w środek swoich wrogów śpiewając swoją pieśń i powinien zabić albo umrzeć. Nie powinien bać się śmierci i nie powinien bać się próby swojej męskości. Mężczyzna, który pokazuje plecy, mężczyzna, który kryje się na obrzeżach bitwy i wysyła do walki innych...

- Barker nagle spojrzał prosto w twarz Hawksowi - to nie jest mężczyzna, to jakaś pełzająca kreatura.

Hawks wstał, zatarł dłonie, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić. Jego twarz tonęła w cieniu powyżej światła lampy.

- Czy dlatego mnie pan tu ściągnął? Żeby nikt nie mógł panu zarzucić, że przytulił pan węża do piersi? - Pochylił głowę patrząc z góry na Barkera.

- Czy o to chodzi, wojowniku? Kolejna próba męskości? Nigdy nie obawiał się pan przyjąć wroga pod swój dach, czy tak? Człowiek prawdziwie odważny bez wahania zaprasza morderców podejmując ich jedzeniem i pićm. Niech wejdzie do domu zdradziecki Connington. Niech morderca Hawks pokaże, co potrafi. Niech Claire popycha pana na samobójcze akcje, raz odrywając nogę, innym razem wyszarpując kawałek ciała. Co to dla pana? Wojownik z plemienia Mimbreno nie zwraca na takie rzeczy uwagi. Czy tak?... Ale teraz nie chce pan stanąć do walki. Nagle nie chce pan wrócić do formacji. Ta śmierć była zbyt bezosobowa. Było jej wszystko jedno, czy jest pan odważny i przez jakie rytuały przygotowawcze pan przeszedł. Tak pan sam powiedział. Był pan wściekły, Barker. Nadal jest pan wściekły. Kim jest ta Śmierć, żeby sobie lekceważyć wojownika Mimbreno.

- A czy jest pan wojownikiem? - naciskał Hawks. - Niech mi pan to wyjaśni. Co pan kiedykolwiek zrobił wobec któregoś z nas? Czy ruszył pan palcem w swojej obronie? Wie pan, jakie są nasze plany i nie robi pan nic. Boi się pan osądzenia, że mógłby pan nie stanąć do walki, ale z czym pan walczy? Jedyne, na co się pan zdobył wobec mnie, to groźba, że zabierze pan swoje zabawki i pójdzie sobie. Nie, sportowe wozy, trasy zjazdowe, ślizgacze i samoloty; to są rzeczy, z którymi pan walczy. Rzeczy i miejsca, w których kontroluje pan sytuację, gdzie umierając ma pan pewność, że wie pan, kogo zabił i co pana zabiło. Sytuacje, w których fałszywy ruch da się zawsze sprowadzić do nieuwagi lub błędu Barkera-zabójcy, któremu wreszcie udało się pokonać Barkera-wojownika. Nawet na wojnie, czy walczył pan twarzą w twarz na otwartym terenie? Był pan tylko zabójcą, jak my wszyscy, mordując z zasadzki i jeżeli dał się pan złapać, była to pańska wina. Jakiemu godnemu przeciwnikowi, oprócz siebie samego, stawił pan kiedykolwiek czoło?

Myślę, że pan się boi, Barker, boi się pan, że zabije pana ktoś, kto nie potrafi docenić, z jak wspaniałym wojownikiem miał do czynienia. Jak tu wierzyć obcym, że potrafią się na nas poznać? Ale wojownik nie boi się nigdy. Nawet w głębi serca. Czy myśli pan, że to jest właściwe wyjaśnienie? Czy to jest pułapka, w której się pan znalazł? Czy w najgłębszych regionach swojego umysłu ustalił pan, że musi żyć wśród wrogów, żeby dowodzić swojej odwagi, ale z lęku, że może pan umrzeć nieznanym, nie chce pan stanąć z nimi do walki? Czy dlatego wystarczy panu zagrozić, żeby zostać wciągniętym w pańskie życie? I dlatego pozwala się pan podgryzać powoli, a nigdy nie odwraca się pan, żeby stoczyć walkę na śmierć i życie? Bo w takim przypadku walka zostałaby rozstrzygnięta natychmiast i mógłby pan przegrać. I umrzeć nieopiewany przez poetów. - Hawks spojrzał na Barkera z zaciekawieniem. - Zastanawiam się - powiedział - czy to nie jest właściwe wyjaśnienie.

Barker poderwał się z fotela.

- Kim pan jest, żeby mi opowiadać takie rzeczy? - spytał spokojnie, mierząc Hawksa badawczym spojrzeniem. Nie oglądając się odstawił butelkę za plecami na stolik.

Hawks potarł dłoń o poły marynarki.

- Niech pan pomyśli o tym, co się działo z panem dzisiaj.

Wyobrażał pan sobie tę formację księżycową jako coś w rodzaju skomplikowanego slalomu, prawda? Jedno więcej z tych niebezpiecznych miejsc, w których pan bywał.

Ale kiedy pan zginął, zabrakło reguł wyjaśniających, co pana zabiło. Wyszedł pan poza znane mapy. Nie mógł pan powiedzieć sobie, że nie przestrzegają zasad, albo że je fałszywie zinterpretował, albo że próbował je przekroczyć. Bo żadnych zasad nie było. Nikt ich jeszcze nie odkrył. Zginął pan nie wiedząc, co pana zabiło. Nie było też tłumu widzów oklaskujących pana zręczność lub opłakujących pańską śmierć. Wyciągnęła się gigantyczna i zdjęła pana z szachownicy - nikt nie wie dlaczego. Nagle zrozumiał pan, że to nie slalom i pańskie umiejętności nie mają nic do rzeczy. Zobaczył pan najjaśniej, jak tylko człowiek może,



prawdziwe oblicze nieznanego wszechświata. Ludzie chcą nakładać na nie maski, rozbierać jego poszczególne części i myśleć sobie, że rozumieją całość. A przecież znają tylko jego fragmenty. Skoczek narciarski pędzący po zboczu nie musi znać teorii grawitacji i tarcia. Wie tylko, jak sobie radzić z nimi w tej szczególnej sytuacji. A tłum widzów wstrzymuje oddech patrząc na człowieka robiącego rzeczy, które zabiły innych. Ale wszystkie pańskie umiejętności nie przydadzą się na nic, jeżeli wypadnie pan z samolotu bez spadachronu. Wszystkie poprzednie loty i bezpieczne lądowania nie wpłyną na zmniejszenie siły grawitacji w tym przypadku. Wszechświat ma niezmiarzone zasoby śmierci, które zaledwie zaczynamy poznawać. I pan się o tym przekonał.

Śmierć jest istotą wszechświata, Barker. Śmierć jest sposobem jego działania. Cały wszechświat podlega rozkładowi od momentu swego powstania. Czy spodziewał się pan, że maszynie będzie zależać, na co oddziaływuje? Śmierć jest jak światło słoneczne albo spadająca gwiazda: jest im wszystko jedno, na co spadają. Śmierć nie rozróżnia proporców na lancach i nie widzi wieńca sławy w dłoniach umierającego. Proporce i kwiaty są wynalazkami życia. Kiedy człowiek umiera, wpada w ręce wroga, nieświadomego wroga, który nie tylko pluje na proporce, ale który nie wie, co to są proporce. Żaden zwykły człowiek nie potrafiłby tego odkryć. Pan to dzisiaj zrobił. Siedział pan potem w laboratorium i nie mógł znaleźć słów na wyrażenie tej niesprawiedliwości. Nigdy wcześniej nie przyszło panu do głowy, że sprawiedliwość jest też jednym z ludzkich wynalazków. A jednak kilka godzin snu i nieco dżinu pomogło panu. Wstrząs minął. Wszystkie wstrząsy mijają poza tymi, które zabijają. Nie jest pan bezbronny, jak Rogan i inni. Jakimś cudem akt stworzenia przeważył w pańskim umyśle nad aktem zniszczenia. Dlaczego? Dlaczego śmierć nie zburzyła pańskich fundamentów?

Wie pan, dlaczego zachował pan zdrowe zmysły, Barker? Ja myślę, że wiem. To dlatego, że ma pan Claire, Conningtona i mnie. Mógł pan do nas uciec. Naprawdę to nie śmierć jest dla pana sprawdzianem pańskiej wartości. To zagrożenie śmiercią. Nie śmierć, a mordercy. Dopóki ma pan nas przy sobie, jest pan bezpieczny.

Barker zbliżał się z uniesionymi rękami.

- To nie ma sensu, Barker - powiedział Hawks. - Nic mi pan nie może zrobić. Zabijając mnie zdowodniłby pan tylko, że boi się mieć za mną do czynienia.

- To nieprawda - powiedział Barker zmienionym głosem. - Wojownik zabija swoich wrogów.

Hawks obserwował oczy Barkera.

- Pan nie jest wojownikiem - powiedział z żalem. - Nie takim wojownikiem, jakim pan myśli, że powinien być. Jest pan człowiekiem, to wszystko. Chce pan być człowiekiem wartościowym, człowiekiem, który spełnia ustanowione przez siebie normy, człowiekiem, który jest sam dla siebie autorytetem. To wszystko. I to wystarczy.

Barkerowi zaczęły drżeć ręce.

- Jest pan taki bystry! - wyrzucił z siebie. - Tak

cholernie dużo pan wie! Wie pan o mnie więcej niż ja sam. Jak to się dzieje, Hawks, kto dotknął pańskiego czoła różdżką czarnoksięską?

- Ja też jestem człowiekiem.

- Tak? - Ręce Barkera opadły wzdłuż jego boków. - Tak?

Wcale pana z tego powodu bardziej nie lubię. Niech pan stąd idzie, człowieku, póki pan jeszcze może. - Odwrócił się na pięcie, przemierzył pokój krótkimi, nerwowymi krokami i szeroko otworzył drzwi. - Niech mnie pan zostawi z moimi starymi, dobrze znanymi mordercami!

Hawks patrzył na niego w milczeniu z wyrazem zafrasowania. Po chwili jakby ożył i ruszył do wyjścia. W drzwiach zatrzymał się i stanął twarzą w twarz z Barkerem.

- Jest mi pan potrzebny - powiedział. - Na rano muszę mieć pańskie sprawozdanie i pana, żeby znów tam pana wysłać.

- Niech się pan wynosi, Hawks - odpowiedział Barker.

- Ja swoje powiedziałem. - I Hawks wyszedł w ciemność.

Barker zatrzasnął za nim drzwi. Potem odwrócił się w stronę korytarza prowadzącego do drugiego skrzydła domu. Jego usta otwały się do krzyku, który przez szybę oddzielającą go od Hawksa był prawie niesłyszalny.

- Claire! Claire!

7. Hawks szedł przez prostokąt światła na trawie, aż doszedł do poszarpanego skraju, który był skrajem urwiska. Stał patrząc na niewidoczny przybój, mgła znad oceanu wypełniała noc pod jego stopami.

Ciemność - powiedział - ciemność i ani jednej gwiazdy. Potem ze zwieszoną głową i rękami w kieszeniach ruszył wzdłuż urwiska.

Kiedy doszedł do wyłożonego kamieniami placu między basenem i drugim skrzydłem domu, przeszedł niepewnie wybierając drogę w słabym świetle obok metalowego stolika z kilkoma krzesłami.

- Cóż za niespodzianka, Ed - odezwała się nagle Claire siedząca na jednym z krzesel. - Przyszedł mi pan potowarzyszyć?

Zaskoczony odwrócił głowę i usiadł.

- Chyba tak.

Claire miała na sobie suknię i piła kawę.

- Chcesz? - zaproponowała cichym, niepewnym głosem. -

Wieczór jest chłodny.

- Chętnie. - Wziął filiżankę z jej ręki i wypił trochę unikając mocnego śladu szminki. - Nie wiedziałem, że tu jesteś.

Roześmiała się ironicznie.

- Znudziło mi się otwierać drzwi i zawsze znajdować po drugiej stronie Conniego. Czekałam, aż Al się obudzi.

- Już wstał.

- Wiem.

Oddał jej filiżankę.

- Słyszałaś wszystko?

- Byłam w kuchni. To bardzo dziwne doświadczenie,

słyszeć, jak się o mnie mówi w ten sposób. - Odstawiła drżącą ręką filiżankę i objęła się ramionami zwieszając głowę.

Hawks milczał. Było już za ciemno, żeby przez szerokość stołu dostrzec wyraz jej twarzy. Zamknął na chwilę oczy, zacisnął powieki, potem otworzył je i odwrócił się na krześle kładąc jedną rękę na stole.

- Sama nie wiem, dlaczego to robię - powiedziała - ale traktuję go tak, jakbym go nienawidziła. Wszystkich tak traktuję.

- Kobiety też?

Odwróciła twarz w jego stronę.

- Która kobieta wytrzymałaby w moim towarzystwie tyle, żeby się to mogło ujawnić? I który mężczyzna może nie zareagować na moją kobiecość? Ale ja też jestem człowiekiem, nie tylko istotą czysto... cielesną. Ale nikt mnie nie lubi, nikt nigdy nie okazuje najmniejszego zainteresowania moim człowieczeństwem!

- No cóż, Claire...

- Nie jest przyjemnie słyszeć, kiedy się o człowieku mówi w ten sposób. „Wiem, kim ona jest!” A skąd on może wiedzieć? Czy kiedykolwiek próbował mnie naprawdę poznać? Co zrobił, żeby się dowiedzieć, co ja czuję? I ten Connington... usiłuje mną manipulować, stworzyć wokół mnie taką sytuację, żebym mu uległa. Wciąż Ala w coś, co tak go zniszczy, że - jak myśli - nie będę go już chciała. Na jakiej podstawie sądzi, że jak odejdę do Ala, to wybiorę Conningtona? Czy tylko dlatego, że Connie jest stale na podorędziu, bo brak mu godności, żeby odejść, kiedy został odrzucony? Czy to moja wina, że on się tu pęta? Nic z tego nie ma. Najwyżej co jakiś czas zdenerwuje Ala.

- Czy nie do tego jest ci potrzebny? - spytał Hawks.

- A ty... - wybuchła Claire. - Zawsze taki pewien, że nic cię nie może osiągnąć bez twojej zgody! I te twoje dowcipne uwagi. Ja Ala „popycham” do czegoś! Posłuchaj, próbowałeś uczyć cegłę latać? Czy mogłabym zmienić strusia w łabędzia? Gdyby nie był taki, jaki jest, to co ja mogłabym zrobić? Ja go nie namawiam, żeby robił to wszystko, co robi. Staralam się ochronić go przed tobą, pierwszego dnia, kiedy odszedłeś, przekonywałam go, żeby ci odmówił. Ale on był tylko zazdrosny, a przecież nie o to mi chodziło! Do dzisiaj nigdy nie próbowałam z tobą flirtować i to też było... czy ja wiem... zwyczajowe, można powiedzieć, i ty o tym wiesz.

Szybkim ruchem sięgnęła przez stół i wzięła go za rękę.

- Czy masz pojęcie, jak ja się czuję samotna? Jak bardzo chciałabym być kimś innym? - Pociągnęła go za rękę. - Ale co ja mogę zrobić? Jak mam coś tu zmienić?

- Nie wiem, Claire - powiedział Hawks. - Bardzo trudno jest zmienić samego siebie.

- Ale ja nie chcę zniechęcić siebie! Całego swojego życia! Co wy sobie wszyscy myślicie, że jestem ślepa, głucha i głupia? Ja wiem, jak się zachowują przyzwoici ludzie. Byłam kiedyś dzieckiem, chodziłam do szkoły, uczono mnie etyki, moralności i zrozumienia dla innych. Nie jestem jakąś istotą z Marsa - czy wy wszyscy myślicie, że jestem taka, jaka jestem, bo inaczej nie umiem?

- Wszyscy umiemy być lepsi, jak sądzę - powiedział Hawks z wahaniem. - Tyle że czasem o tym zapominamy. A niektórzy sądzą, że w imię czegoś muszą zapomnieć. - Twarz Hawksa wyrażała mieszane uczucia. - Przykro mi, jeżeli wyrażam się niejasno. Naprawdę nie wiem, co ci mam powiedzieć, Claire.

Nie puszczając jego ręki zerwała się na nogi i stanęła pochylona nad nim trzymając jego palce w obu dłoniach.

- Mógłbyś mi powiedzieć, że mnie lubisz - szepnęła. - Ty jeden jesteś w stanie dostrzec we mnie istotę ludzką i mnie polubić!

Wstał, podczas gdy ona nadal ciągnęła go za rękę.

- Claire... - zaczął.

**- Nie, nie, nie, Ed - przerwała mu obejmując go**

ramionami. - Nie chcę rozmów. Chcę po prostu być. Chcę, żeby ktoś mnie objął nie myśląc o tym, że jestem kobietą. Chcę choć raz w życiu poczuć obok siebie ciepło drugiego człowieka! - Jej dłonie przesunęły się po plecach Hawksa, aż objęły jego szyję i tył głowy. - Proszę, Ed - szeptała przysuwając twarz tak blisko, że w pewnym momencie poczuł jej mokry policzek. - Daj mi to, jeżeli możesz...

- Nie wiem, Claire - powiedział niepewnie. - Nie jestem pewien, czy...

Zaczęła całować jego oczy i policzki, paznokciami gładziła tył jego głowy.

- Ed - prawie łkała - Ed, czuję się taka zagubiona... Zapomnij o wszystkim - szepnęła całując go w usta. - Myśl tylko o mnie.

Nagle odsunęła się od niego zasłaniając dłonią wargi. Jej ramiona i biodra straciły napięcie, wzdychała głęboko.

- Nie, nie. Z tobą tak nie wytrzymam. Za dużo dla mnie znaczysz, Ed. - Znów zbliżyła się do niego. - Zapomnij o tym lubieniu mnie - powiedziała gardłowym głosem wyciągając ramiona. - Weź mnie. Zawsze mogę znaleźć kogoś innego, kto mnie będzie tylko lubił.

Hawks nie ruszał się. Patrzyła na niego z otwartymi ramionami, z pożądaniem w twarzy. Po chwili opuściła powoli ręce.

- Nie mam do ciebie pretensji - powiedziała cicho. - To było silniejsze ode mnie, ale nie mam do ciebie żalu o to, co sobie o mnie myślisz. Podejrzewasz, że jestem jakąś nimfomanką rzucającą się na każdego spotkanego mężczyznę. Przypuszczasz, że skoro tak dzieje się ze mną teraz, to dzieje się tak ze mną zawsze. Myślisz, że skoro ty mógłbyś zrobić ze mną wszystko, co zechcesz, to rzeczy, które mówiłam o sobie, są nieprawdą...

- Nie - powiedział Hawks. - Ale nie sądzę, żebyś ty sama w nie wierzyła. Myślisz, że możesz tak mówić, bo to brzmi prawdopodobnie. To prawda. I za każdym razem, kiedy się obawiasz, że jakiś mężczyzna mógłby to odkryć, usiłujesz odwrócić jego uwagę za pomocą jedynej rzeczy, która, według ciebie, może go w tobie zainteresować. Sądzę, że lękasz się życia w świecie pełnym istot zwanych mężczyznami. Niezależnie od tego, co mówisz na ten temat, zawsze musisz sprowadzać mężczyzn do swojego poziomu. - Wyjął chustkę z kieszonki marynarki i niezręcznym ruchem otarł usta. - Przykro mi - powiedział - ale ja tak to

widzę. Connington wychodzi z założenia, że każdy ma jakąś słabość, którą on może wykorzystać. Nie wiem, czy ma rację, czy nie, ale twoja polega na tym, że oddajesz się tylko tym mężczyznom, którzy, jak sądzisz, potrafią cię przejrzeć. Ciekawe, czy zdajesz sobie z tego sprawę?

Wbiła palce w materiał sukni na napiętych udach.

- Boisz się. Boisz się kobiet jak większość mężczyzn.

- Masz mi to za złe? Boję się wielu rzeczy. W tym ludzi, którzy nie chcą być ludźmi.

- Czy musisz tyle gadać, Hawks? Czy ty tylko chodzisz po świecie i wygłaszasz przemówienia? Wiesz, kim ty jesteś, Hawks? Jesteś zerem. Nudziarzem i zerem. Nudziarzem pierwszej klasy. Nie chcę, żebyś tu więcej przychodził. Nie chcę cię więcej widzieć na oczy.

- Żałuję, że nie chcesz się zmienić. Powiedz mi coś, Claire. Chwilę temu prawie ci się udało. Nie mogę temu zaprzeczyć. Czy gdybym zrobił to, co chciałaś ze mną zrobić, to też byłbym zerem? I kim wtedy byłabyś ty, ulegając mężczyźnie, którym gardzisz?

- Och, wynoś się stąd, Hawks!

- Fakt, że jestem zerem, nie oznacza, że jestem ślepy.

- Kiedy wreszcie przestaniesz próbować? Nie chcę od ciebie twojej parszywej pomocy!

- Wcale nie myślałem, że chcesz. Tak powiedziałem. Właściwie to wszystko, co powiedziałem. - Odwrócił się w stronę domu. - Zobaczę, czy Al pozwoli mi skorzystać z telefonu. Muszę tu ściągnąć samochód. Robię się za stary na takie marsze.

- Niech cię diabli porwą, Hawks! - krzyknęła. Szła za nim w odległości dwóch metrów.

Hawks przyśpieszył kroku.

- Słyszałeś mnie? Wynoś się stąd! Żeby cię tu nie było!

\*

Hawks podszedł do drzwi kuchennych i otworzył je. Connington póleżał na barze, jego plażowa koszula i kąpielówki były zachlapane krwią i śliną. Jedynie lewa ręka Barkera wczepiona w jego włosy powstrzymywała ciało od osunięcia się z wysokiego stołka. Przygotowana do ciosu prawa pięść Barkera była zakrwawiona, a na kostkach widniały głębokie rozcięcia od zębów.

- Ja tylko usnąłem - mamrotał Connington rozpaczliwie. - Usnąłem w jej łóżku i to wszystko, jej tam wcale nie było.

Przedramię Barkera wyskoczyło do przodu i jego pięść znów wylądowała na twarzy Conningtona.

- Dostajesz tylko za dobre chęci, Connie! - powiedział podnieconym głosem. - Nie będziesz się walał w łóżku mojej kobiety. To wszystko. Coś takiego nie może ci ujść na sucho!

Connington apatycznie szukał ręką czegoś, czego mógłby się przytrzymać. Nie próbował się bronić.

- Jedyna możliwość, żebyś mnie znalazł w jej łóżku. - Płakał nie zdając sobie z tego sprawy. - Myślałem, że na koniec wszystko mi się zgadza. Myślałem, że dzisiaj będzie ten dzień. Nigdy nic u niej nie osiągnąłem. Na

każdego potrafię znaleźć jakiś sposób. Każdy ma swój słaby punkt. Każdy kiedyś pęka i zdradza się przede mną. Nikt nie jest doskonały. To jest wielka tajemnica świata. A ona nic. Musiała się kiedyś odstąpić, ale ja tego nie zauważyłem. Ja, wielki specjalista od ludzi.

\*

- Zostaw go! - krzyknęła Claire zza pleców Hawksa.

Odepchnęła go z przejścia i rzuciła się na Barkera, który odskoczył chwytając się za ramię ze śladami jej paznokci. - Odejdź od niego! - krzyknęła w twarz Barkerowi, sprężona jak do skoku z uniesionymi rękami. Chwyciła ręcznik, zmoczyła róg nad zlewem i podeszła do Conningtona, który siedział bezwładnie oparty o bar i patrzył na nią załzawionymi oczami.

Pochyliła się i zaczęła pośpiesznie wycierać jego twarz.

- Już dobrze, kochanie - mruzczała. - Już dobrze. -

Connington słabo uniósł jedną rękę, którą ona ujęła i przyłożyła sobie do szyi, gorączkowo ocierając jego rozbite wargi. - Zaraz cię opatrzę, kochanie, nie martw się...

Connington pokręcił głową pojękując, kiedy ręcznik przejeżdżał po rozcięciach.

- Spokojnie, kochanie - strofowała go. - Nie ruszaj się, kochanie. Nie martw się, ja cię potrzebuję. - Zaczęła ocierać jego pierś zsuwając mu koszulę w dół jak policjant unieruchamiający awanturnika.

- Dobrze, Claire - powiedział sztywno Barker - to kończy sprawę. Jutro zabieraj stąd swoje rzeczy. - Wargi Barkera wykrzywił grymas obrzydzenia. - Nie przypuszczałem, że skończysz jako padlinożerca.

Hawks odwrócił głowę i znalazł wzrokiem telefon na ścianie. Z niezręcznym pośpiechem nakręcił numer.

- Tu Ed - powiedział ze ściśniętym gardłem. - Czy jest możliwe, żebyś podjechała po mnie do tego sklepiku przy autostradzie? Tak, znów jestem bez samochodu. Dziękuję, będę tam czekał.

Odwiesił słuchawkę i odwrócił się. Napotkał oszołomiony wzrok Barkera.

- Jak to zrobiłeś, Hawks? - prawie wykrzyczał. - Jak ci się to udało?

- Będzie pan jutro w laboratorium? - spytał Hawks zmęczonym głosem.

Barker wpatrywał się w niego czarnymi, błyszczącymi oczami. Zrobił gest w stronę Claire i Conningtona.

- A co by mi zostało, Hawks, gdybym teraz stracił pana?

### **Rozdział VI**

- Jesteś chyba zmęczony - powiedziała Elizabeth, kiedy w studiu rozjarzyły się fluorescencyjne światła i Hawks usiadł na kanapie.

Potrząsnął głową.

- Nie pracowałem zbyt ciężko. To ta sama stara historia.

Kiedy byłem chłopcem na farmie, pracowałem do upadłego i nie miałem kłopotu z zaśnięciem. Budziłem się rano i czułem się wspaniale. Byłem wypoczęty, pełen energii, wiedziałem, co mnie tego dnia czeka i co zrobić. Nawet kiedy byłem zmęczony, czułem zadowolenie, czułem, że to, co robię, jest słuszne. Nawet kiedy oczy same zamykały mi się po kolacji,

moje ciało było rozluźnione i szczęśliwe. Nie wiem, czy to jest zrozumiałe, jeżeli się tego samemu nie czuło, ale tak było.

A teraz tylko siedzę i myślę. W nocy nie mogę zasnąć i budzę się rano bardziej zmęczony niż wieczorem. Trzeba paru godzin, żebym odzyskał panowanie nad ciałem. Czasem czuję się lepiej nie dlatego, że przechodzi mi to roztrzęsienie, a dlatego, że ogarnia mnie rodzaj odrętwienia. Właściwie nigdy nie czuję się dobrze. Zawsze mam jakieś bóle niewiadomego pochodzenia. Patrzę na siebie w lustrze i widzę człowieka chorego, człowieka, któremu bym nie dowierzał, gdyby miał zostać moim współpracownikiem.

- Myślę, że kawa dobrze ci robi - powiedziała Elizabeth.

Hawks skrzywił się.

- Wolałbym herbatę, jeżeli masz.

- Chyba tak. Zobaczę. - Przeszła do oddzielonego kotarą kąta, gdzie mieściła się kuchenka elektryczna i kredens.

- Zresztą... - zawołał za nią - marudzę. Jeżeli nie masz herbaty, chętnie napiję się kawy.

\*

Siedzieli obok siebie na kanapie pijąc herbatę. Elizabeth odstawiła filiżankę na stolik.

- Co się stało dziś w nocy? - spytała.

- Nie jestem do końca pewien. Kłopoty męsko-damskie, między innymi.

Elizabeth jęknęła.

- Nie te pospolite - powiedział Hawks.

- Tak podejrzewałam.

- Dlaczego?

- Bo nie jesteś pospolitym mężczyzną.

Hawks zmarszczył brwi.

- Chyba rzeczywiście nie. W każdym razie spotykam się z niecodziennymi reakcjami. Nie wiem, dlaczego.

- Czy chcesz wiedzieć, na czym polega to coś między tobą a kobietami?

Hawks spojrzał zdziwiony.

- Tak. Nawet bardzo.

- Traktujesz je jak ludzi!

- Naprawdę? - Potrząsnął głową. - Nie sędzę. Nigdy nie mogłem kobiet zrozumieć. Nie wiem, dlaczego robią większość tych rzeczy, które robią. Prawdę mówiąc, miałem dużo kłopotów w związku z nimi.

Elizabeth dotknęła jego dłoni.

- To mnie wcale nie dziwi. Ale nie o to chodzi. A teraz, pomyśl o czymś: jestem od ciebie dużo młodsza.

Hawks skinął głową z wyrazem zafrasowania.

- Myślałem o tym.

- To pomyśl jeszcze o czymś: nie jesteś czarujący,

porywający ani dowcipny. Prawdę powiedziawszy, wyglądasz dość śmiesznie. Jesteś zbyt zajęty, żeby poświęcać mi zbyt wiele czasu i nawet gdybyś mnie zabrał gdzieś do nocnego lokalu, byłbyś tam czymś tak obcym, że nie miałabym z tego żadnej przyjemności. Za to dajesz mi jedną rzecz: pozwalasz, bym odczuła, że moje zasady są równie ważne dla mnie, jak twoje dla ciebie. Kiedy prosisz, żebym coś zrobiła, wiem, że nie obrazisz się, jeżeli odmówię. A jeżeli to zrobię, nie będziesz uważał, że zaliczyłeś punkt w jakiejś skomplikowanej grze. Ty nie próbujesz mnie wykorzystać ani zmienić. Zajmuję dla ciebie tyle samo miejsca na świecie, co i ty. Czy wiesz, jakie to rzadkie?

Hawks wyglądał na zdziwionego.

- Cieszę się, że tak to czujesz - powiedział wolno - ale nie myślę, żeby to była prawda. - Wstał i zaczął się przechadzać po pokoju, podczas gdy Elizabeth obserwowała go z lekkim uśmiechem.

- Kobiety... - zaczął z całą powagą. - Kobiety zawsze mnie fascynowały. Jako chłopak eksperymentowałem tak jak wszyscy. Szybko zorientowałem się, że życie nie przypomina tych historyjek, które chłopcy czytają pod ławką. Nie, u kobiety było coś... Nie chodzi o sprawy fizyczne; jakiś cel, którego nie mogłem zrozumieć. Frapowało mnie, że oto na tej samej planecie żyją obok mężczyzn inne istoty inteligentne i że to musi mieć jakiś cel. Gdyby kobiety służyły tylko do przedłużania gatunku, to po co byłyby im inteligencja? Prosty zestaw instynktów załatwiałby to samo. Zresztą te instynkty są i tak, po co więc inteligencja? Nie brakuje mężczyzn, żeby zmieniać środowisko fizyczne. Nie jest to zadanie dla kobiet. W każdym razie nie do tego jest im potrzebna inteligencja. Nigdy nie znalazłem na to odpowiedzi. Często się zastanawiałem.

Elizabeth uśmiechnęła się.

- Nie widzisz, że mówimy o tobie to samo?

- Może i tak - westchnął Hawks. - Ale to nie zbliża mnie do odpowiedzi na moje pytanie.

- Może wkrótce ją znajdziesz - powiedziała cicho Elizabeth. - A dlaczego tymczasem nie chcesz się ze mną kochać?

Hawks spojrzał na nią okrągłymi oczami.

- Na litość boską, Elizabeth! Za mało się znamy!

- To właśnie miałam na myśli - powiedziała Elizabeth, rumieniec zniknął z jej twarzy. - A teraz, doktorze, może jeszcze herbaty?

\*

Elizabeth wróciła do pracy przy desce kreślarskiej siedząc z obcasami zaczepionymi o poprzeczkę stołka. Smużka dymu unosiła się z popielniczki przyszpilonej do skraju deski. Co jakiś czas, kiedy dym dochodził do twarzy, mrużyła oczy i klęła dziecinnie pod nosem, po czym uśmiechała się do Hawksa, który siedział na niskim pufie obejmując rękami kolana.

- Na uczelni kochałem się w pewnej dziewczynie - mówił. - Bardzo ładnej dziewczynie z Chicago. Była bardzo inteligentna i nade wszystko, taktowna. Znała tyle rzeczy, których ja nie znałem: sztuki, opery, koncerty, wszystko to, co można mieć w wielkim mieście. Strasznie jej



zazdrościłem z tego powodu i bardzo ją podziwiałem, ale nigdy nie próbowałem skorzystać z jej wiedzy, wydawało mi się, że gdyby mi o tym opowiedziała, to odbierałbym jej coś, co zdobyła i co stanowiło jej własność. Sam usiłowałem dzielić się z nią wszystkim. Uważałem, że tak znakomita osoba potrafi ocenić, czy jestem coś wart. Dość, że zagadywałem ją na śmierć.

Elizabeth odłożyła ołówek i patrzyła na Hawksa.

- Czasem byliśmy sobie bardzo bliscy, a czasem się oddalaliśmy. Zawsze żyłem w strachu, że mogę ją stracić. A pewnego dnia, tuż przed ostatnimi egzaminami, powiedziała do mnie bardzo taktownie: „Ed, może byśmy się tak trochę rozerwali? Zabierz mnie gdzieś, gdzie moglibyśmy coś wypić i potańczyć. Potem moglibyśmy posiedzieć gdzieś w samochodzie i nic nie mówić”. Coś mnie wtedy naszło - ciągnął Hawks - i w mgnieniu oka odkochałem się. I nigdy już do niej nie podszedłem.

Dlaczego? Sam nie wiem. Czy uważałem się za tak wspaniałego, że słuchanie mnie było obowiązkowe? Nie. Wiedziałem, że nieraz wygaduję bzdury. Wiedziałem, że większość tego, co mówię, nie jest ani ciekawa ani oryginalna. Do rozmów towarzyskich z innymi ludźmi musiałem się zmuszać. Kochałem ją, a ona powiedziała, że nie chce mnie słuchać i ja przestałem ją kochać. Jakby zmieniła się w jakąś żmiję. Dostałem dreszczy, uciekłem od niej najszybciej jak mogłem, zamknąłem się w swoim pokoju i tam mnie trzęsło chyba jeszcze z godzinę.

Wielokrotnie próbowała się ze mną kontaktować i były dni, kiedy prawie chciałem ją odszukać. Ale nic z tego nie wychodziło; odkochałem się. I bałem się... Kiedyś, podczas wojny, ledwo udało mi się wydostać z płonącego laboratorium. Przez kilka chwil byłem przekonany, że zginę. To był jedyny raz, kiedy odczułem ten sam strach... Tak - powiedział - mam kłopoty z kobietami.

- Może masz też kłopoty ze śmiercią?

Spojrzenie Hawksa stało się bardzo dalekie, cały jakby stężał.

- Tak - powiedział - to prawda.

\*

Siedział przez dłuższą chwilę w milczeniu, potem wstał z rękami w kieszeniach.

- Późno już. Lepiej pójdę - powiedział.

- Nadal pracujesz przy tym projekcie? - spytała Elizabeth odrywając się od swojej pracy.

- Raczej tak - uśmiechnął się krzywo. - I mam nadzieję, że wszyscy potrzebni mi ludzie zameldują się jutro do pracy.

- Czy niektórzy z nich mają wolne soboty?

- O, to jutro jest sobota?

- Myślałam, że o to ci chodzi.

- Nie, miałem na myśli co innego. A pojutrze będzie niedziela.

Elizabeth uniosła brwi.

- Zazwyczaj tak bywa - powiedziała z niewinną miną.
- Cobey będzie wściekły - mówił Hawks w zamyśleniu. -  
Będzie musiał zapłacić technikom nadgodziny.
- Kto to jest Cobey?
- Człowiek. Jeszcze jeden z moich znajomych.

Odwiozła go do domu, do pokrytej pastelowymi stiukami kamienicy z lat dwudziestych, w której wynajmował kawalerkę.

- Do dzisiaj nie wiedziałam, gdzie mieszkasz - powiedziała zatrzymując samochód.

- To prawda - zgodził się z wyrazem znużenia na twarzy. Siedział ze zwieszoną głową, z kolanami opartymi o tablicę rozdzielczą. Nieokreślonym ruchem wskazał budynek kryty dachówką pełną pęknięć, które wyrównano zaprawą i zamalowano na szerokość pędzla tą samą, ale świeższą farbą. - To tutaj - powiedział.

- Czy nigdy nie tęsknisz za wsią? Za polami, lasami, czystym niebem?

- Tam było niewiele pól. Głównie kurze fermy, wszędzie stały szeregi jedno- albo dwukondygnacyjnych kurników. - Wyjrzał przez okno. - Kurniki. - Wrócił spojrzeniem do niej. - Czy wiesz, że kury łatwo zapadają na schorzenia dróg oddechowych? Chrapią, rżęzą i sapią po nocach całymi tysiącami; jest to odgłos, który unosi się nad okolicą jak daleki jęk zrozpaczonego tłumu. Kury. Zastanawiałem się, co one wiedzą o nas... dlaczego je przeganiamy, karmimy i poimy. Dlaczego chronimy je przed deszczem i gniemy grzbiety nosząc im karmę. Dlaczego raz na tydzień wchodzimy do kurników i wyskrobujemy łajno spod ich grzęd i staramy się nie dopuścić do zarazy. Zastanawiałem się, czy one wiedzą i dlatego tak jęczą przez sen. Ale, oczywiście, kury są bezdennie głupie. Ze wszystkich istot żyjących na świecie tylko Człowiek myśli jak Człowiek.

\*

Otworzył drzwiczki samochodu, odwrócił się, żeby wysiąść i zatrzymał się w połowie ruchu.

- Wiesz... - zaczął. - Ja naprawdę strasznie dużo mówię, kiedy jesteśmy razem. - Spojrzał na nią przepraszająco. - Pewnie cię okropnie zanudzam.

- Nie mam nic przeciw temu.

- Nie rozumiem cię - potrząsnął głową i uśmiechnął się łagodnie.

- A chciałbyś?

- Tak. Bardzo.

- A może ja czuję to samo wobec ciebie?

Zamrugął.

- Cóż, właściwie miałem taką nadzieję, choć nigdy o tym nie myślałem. Nigdy. - Potrząsnął głową. - Tylko Człowiek myśli jak Człowiek. - Wysiadł z samochodu i stojąc obok patrzył na Elizabeth. - Byłaś dziś dla mnie bardzo dobra. Dziękuję ci.

- Chcę, żebyś do mnie zadzwonił, jak tylko będziesz mógł.

Nagle zmarszczył brwi.

- Tak, jak tylko będę mógł - powiedział zafrasowany.

Zamknął drzwi i stał bębniąc palcami po otwartym oknie. - Tak - powiedział krzywiąc się. - Czas ucieka. Ja... zadzwonię - i odszedł ze zwieszoną głową i opuszczonymi ramionami. Jego duże dłonie zamykały się i otwierały w rytm kroków. Doszedł lekkim zygzakiem i przed drzwiami domu zaczął szukać klucza.

W końcu otworzył drzwi, odwrócił się i pomachał niezdecydowanie dłonią, jakby nie był całkiem przekonany, że rozmowa została skończona. Potem ręka mu opadła i znikł za drzwiami.

cdn.

.N:144

powieść

Algis Budrys

Ten cholerny Księżyc (3)

(Rogue Moon)

przełożył Lech Jęczmyk

Rozdział VII

Barker wkroczył następnego dnia do laboratorium z oczami w czerwonych obwódkach. Kiedy wkładał swój trykotowy kombinezon, ręce mu się trzęsły.

- Cieszę się, że pana tu widzę - powiedział Hawks podchodząc.

Barker spojrział na niego i nie odpowiedział.

- Czy na pewno czuje się pan dobrze? Jeżeli nie, to możemy poczekać do jutra.

- Niech się pan przestanie tak o mnie troszczyć - powiedział Barker.

Hawks włożył ręce do kieszeni.

- Dobrze. Czy widział się pan ze specjalistami z sekcji topograficznej?

Barker skinął głową.

- Czy był pan w stanie przekazać im dokładną relację z wczorajszego przejścia?

- Wyglądali na zadowolonych. Może pan przecież poczekać, aż przetrawią te wiadomości i przyniosą panu raport na biurko. Jakie znaczenie ma dla pana, co ja tam znajdę? Chodzi o to, żebym wchodził

coraz dalej i nie zwariował, czy tak? Nie obchodzi pana, co stanie się ze mną, ja tylko przecieram szlak, aby pańscy genialni technicy nie wybili sobie o coś zębów, kiedy tam pójdą, żeby tę rzecz rozebrać, tak? Póki nie grozi panu szukanie nowego frajera cóż to więc dla pana znaczy? Jak by się pan do tego zabrał? Jak pan sądzi, ilu ludziom Connington zaplanował życie? Tak, żeby ich doprowadzić do tego miejsca? Dlaczego więc nie zostawi mnie pan w spokoju?

- Barker... - zaczął Hawks, ale pokręcił głową. - Nie, rozmowy nic tu nie dadzą.

- Mam nadzieję, że będzie się pan trzymał tej idei.

- Dobrze - westchnął Hawks. - Jest jedna rzecz. To będzie

teraz trwało dzień po dniu, jeżeli tylko warunki astronomiczne pozwolą. Nie zatrzymamy się, póki pan nie wyjdzie z drugiej strony formacji. Kiedy raz to puścimy w ruch, trudno będzie wyhamować. Ale jeżeli odczuje pan potrzebę przerwy... żeby odpocząć, popracować przy swoich samochodach czy cokolwiek, to zrobimy to, jeżeli tylko będzie taka możliwość.

Barker skrzywił się.

- Panie Hawks, jestem tutaj, żeby coś załatwić i mam zamiar to zrobić. Nic innego mnie nie interesuje, zgoda?

Hawks skinął głową.

- Zgoda. Mam nadzieję, że nie potrwa to zbyt długo - powiedział Hawks wyjmując rękę z kieszeni.

\*

Hawks poszedł korytarzem do sekcji topograficznej. Zapukał i wszedł do środka. Ludzie skupieni nad mapą formacji, zajmującą wielki kwadratowy stół na środku pokoju, unieśli głowy, ale zaraz wrócili do swojej pracy. Jedyne szefujący zespołowi oficer Straży Wybrzeża podszedł do Hawksa, pozostali cierpliwie nanosili znaki za pomocą kawałków czerwonej kredy umocowanej na długich wskaźnikach. Jeden z ludzi stał z przekrzywioną głową przy magnetofonie wsłuchując się w głos Barkera.

- Mówiłem wam! - odezwał się niski i zduszony głos Barkera. - Jest jak błękitny obłok i w środku jakby coś się ruszało. Nie wygląda na nic żywego.

- Tak, mamy to - odpowiadał cierpliwy głos członka zespołu. Ale jak daleko to było od białego piaszczystego pagórka, na którym pan stał? Ile kroków?

- Trudno powiedzieć. Sześć, może siedem.

- Rozumiem. Mówi pan, że znajdowało się na prawo od pana.

Dobrze, i co pan potem zrobił?

- Przeszedłem kawałek, ze dwa metry po tym występie i skręciłem w lewo obchodząc czerwoną kolumnę. Potem...

- Czy zauważył pan, jak był usytuowany wobec pana błękitny obłok, w chwili kiedy pan skręcał?

- Widziałem go oglądając się przez prawe ramię.

- Rozumiem. Czy mógłby pan teraz odwrócić głowę pod tym

samym kątem? Dziękuję. Około dwunastu stopni od kierunku na prawo. Czy odległość nadal wynosiła sześć lub siedem kroków w linii prostej?

Pracownik zatrzymał taśmę, przekreślił i puścił jeszcze raz od początku, dopisując coś w notatkach.

- Co mogę dla pana zrobić, doktorze? - spytał oficer Straży Wybrzeża.  
- Wszystko to spiszemy i za kilka godzin będziemy gotowi. Jak tylko skończymy, podrzucimy panu raport do gabinetu.

Hawks uśmiechnął się.

- Nie przyszedłem tu, żeby was poganiać albo patrzeć wam na ręce. Proszę się nie denerwować, poruczniku. Chciałem tylko uzyskać ogólny obraz. Czy to, co on mówi, ma sens i pomaga wam?

- Wszystko idzie doskonale. Jego opisy tego, co widzi w formacji, nie zgadzają się z tym, co mamy w poprzednich meldunkach, ale nikt nie widzi tych samych rzeczy. Ważne jest, że zagrożenia pojawiają się zawsze z tych samych kierunków. W ten sposób wiemy, że tam jest coś i to nam wystarcza. - Porucznik, chudy, ponury zwykle człowiek, uśmiechnął się. - Jest to znacznie lepsze niż próby zrozumienia czegoś z kilku bazgrołów na tabliczce. Już pierwsza jego wyprawa dostarczyła nam masę materiału. - Porucznik podrapał się w kark. - Ulżyło nam, bo już baliśmy się, że będziemy nad tym ślęczyć do emerytury i nie skończymy.

Hawks uśmiechnął się niewesoło.

- Panie poruczniku, gdyby nie udało mi się wykonać pewnego telefonu do Waszyngtonu, już byśmy tu nie pracowali.

- Aha. Wobec tego lepiej obchodźmy się z nim jak z jajkiem. - Porucznik pokręcił głową. - Miejmy nadzieję, że on wytrzyma. Nie jest szczególnie łatwy we współżyciu, ale nie można mieć wszystkiego. Najważniejsze, że w końcu znalazł pan kogoś, kto się sprawdza w programie naukowym, bo o to przecież chodzi.

- Tak - zgodził się Hawks. Pracownik obsługujący magnetofon wyłączył aparat, podszedł do stołu z mapą i poprawiwszy kredę na końcu wskaźnika zrobił delikatny szkarłatny znak na białym plastyku. Potem przyjrzał mu się krytycznym okiem i usatysfakcjonowany kiwnął głową.

Hawks też skinął głową.

- Dziękuję, poruczniku - powiedział do oficera i wyszedł z pokoju.

Tego dnia Barker zdołał przetrwać we wnętrzu formacji cztery minuty i trzydzieści osiem sekund.

\*

Kiedy czas pobytu w formacji doszedł do sześciu minut i dwunastu sekund, Connington odwiedził Hawksa w jego biurze.

Hawks spojrzał z ciekawością. Connington powoli podszedł do biurka.

- Chciałbym z panem porozmawiać - powiedział siadając. - Uważam, że powinienem.

- Dlaczego? - spytał Hawks.

- Nie wiem dokładnie, ale uznałem, że nie można tego tak

zostawić. Nie wiem, jak pan by to nazwał, ale życie ma swój porządek. Powinno mieć jakiś porządek: początek, środek, koniec. Jakieś rozdziały czy coś takiego. Gdyby tego nie było, człowiek nie miałby na nic wpływu.

- Rozumiem, że takie przekonanie może być potrzebne - powiedział cierpliwie Hawks.

- A pana nadal nic nie rusza, co?

Hawks nie odpowiedział, Connington odczekał chwilę i zrezygnował.

- W każdym razie - powiedział - chciałem, żeby pan wiedział, że odchodzę.

Hawks odchylił się w fotelu i spojrzał na niego bez wyrazu.

- Dokąd?

Connington wykonał nieokreślony gest.

- Na Wschód. Na pewno tam coś znajdę.

- Czy Claire jedzie z panem?

Connington ze wzrokiem wbitym w podłogę skinął głową.

- Tak, jedzie ze mną. - Podniósł wzrok i uśmiechnął się z wysiłkiem. - Śmieszne, że to się tak skończyło, prawda?

- Dokładnie tak, jak pan to zaplanował - zauważył Hawks.

- Poza częścią dotyczącą zostania prezesem firmy.

- Tego wcale nie uważałem za pewne - odpowiedział Connington z wojowniczym wyrazem twarzy. - Chciałem się tylko z panem podrażnić. - Pośpiesznie wstał. - No, to chyba już wszystko. Chciałem tylko powiedzieć panu, jak się to skończyło.

- Barker i ja jeszcze nie skończyliśmy - zauważył Hawks.

- Ja skończyłem - rzucił wyzywająco Connington. - Wziąłem swoją część i nie interesuje mnie, co się będzie działo dalej.

- Zatem jest pan zwycięzcą w tych zawodach.

- Jasne - powiedział Connington.

- Zawsze tak jest. Zawody. A potem wyłania się zwycięzca i następuje koniec pewnej części życia dla wszystkich zainteresowanych. Do widzenia, Connington.

- Do widzenia, Hawks. - Connington odwrócił się do wyjścia, przystanął i obejrzał się przez ramię. - To chyba wszystko, co chciałem powiedzieć.

Hawks milczał.

- Mogłem przysłać wiadomość albo zadzwonić. Właściwie nie musiałem tego w ogóle robić - powiedział już w drzwiach. Potrząsnął głową zdziwiony i spojrzał na Hawksa, jakby szukał odpowiedzi na pytanie, które sam sobie zadawał.

- Chciał się pan upewnić, że wiem, kto jest zwycięzcą. To wszystko - powiedział spokojnie Hawks.

- Może i tak - mruknął z wahaniem Connington i wolno wyszedł.

\*

Następnego dnia, kiedy czas przebywania w formacji doszedł do sześciu minut i trzydziestu dziewięciu sekund, Hawks wszedł do laboratorium i zwrócił się do Barkera:

- Słyszałem, że przeprowadza się pan do miasta.

- Kto panu powiedział?
- Winchell - powiedział Hawks wpatrując się z uwagą w twarz Barkera. - Nowy dyrektor personalny. Barker odchrząknął.

- Connington wyjechał gdzieś na Wschód. - Spojrzał na Hawksa z wyrazem zdziwienia. - Kiedy ja byłem tutaj pojechali wczoraj razem z Claire po jej rzeczy. W oknach saloniku wybili wszystkie szyby wychodzące na trawnik. Będę musiał je wstawić, zanim puszcę dom na sprzedaż. Nie myślałem, że on jest taki.

- Szkoda, że pan sprzedaje dom. Zazdrościłem go panu.
- Nie pański interes.

Mimo wszystko czas pobytu człowieka w formacji został doprowadzony do sześciu minut i trzydziestu dziewięciu sekund.

\*

W dniu, w którym doszedł do siedmiu minut i dwunastu sekund, Hawks siedział w swoim gabinecie wodząc palcem po wymiętym planie formacji. Nagle odezwał się telefon.

Spojrzał z ukosa na aparat i uniósł ramiona nie przerywając swego zajęcia. Jego palec wędrował wzdłuż niepewnej niebieskiej linii wijącej się między zaczernionymi polami, z których każde miało swój opis, względny czas i było otoczone linią czerwonych iksów, jakby mapka przedstawiała prehistoryczną plażę ze śladem jakiegoś stworu błądzącego bez celu między długimi ławicami schnącego na słońcu morszczyku i innego wyrzuconego przez przyptływ śmiecia. Hawks patrzył na plan w skupieniu poruszając wargami, potem przymknął oczy, zmarszczył brwi, powtórzył współrzędne i instrukcje, znów otworzył oczy i pochylił się nad biurkiem.

Telefon zadzwonił powtórnie, cicho, ale natarczywie. Hawks zacisnął pięść, potem odsunął plan i podniósł słuchawkę.

Słuchał przez chwilę i wreszcie powiedział:

- Dobrze, Vivian. Zadzwonź, proszę, na bramę i powiedz, żeby wpuszczono doktora Latourette'a. Czekam na niego u siebie. - Odłożył słuchawkę i rozejrzał się po nagich ścianach gabinetu.

\*

Sam Latourette zapukał cicho i wszedł do środka z nieśmiałym półuśmiechem na wargach.

Miał na sobie pognieciony garnitur i rozpiętą pod szyją białą koszulę bez krawata. Na szczęce i szyi widać było świeże zacięcia, jakby ogolił się zaledwie kilka minut temu. Włosy, spod których przeświecała skóra, starannie uczesał na mokro.

- Cześć, Ed - powiedział cicho wyciągając dłoń do Hawksa, który pośpiesznie wstał zza biurka. - Dawno się nie widzieliśmy.

- Tak. Tak, rzeczywiście. Siadaj, Sam... Tu jest fotel.

- **Miałem nadzieję, że znajdziesz chwilę czasu -**

powiedział Latourette siadając. - Musi tu być teraz urwanie głowy.

- To prawda - przyznał Hawks siadając na powrót w swoim fotelu.

Latourette spojrzał na plan, który Barker zwinął i odsunął na skraj biurka.

- Wygląda, że myliłem się co do Barkera.  
- Nie wiem - Hawks zrobił ruch w stronę planu, ale cofnął rękę. - Robimy dzięki niemu postępy. Myślę, że to jest najważniejsze. - Obserwował swojego gościa niepewnie, oczy miał niespokojne.  
- Wiesz - mówił Latourette z tym samym wyrazem zażenowania. - Nie chcę pracować w Hughes Aircraft. Wydawało mi się, że chcę, wiesz, jak to jest, człowiek chce gdzieś pracować. W każdym razie tak się uważa.  
- To prawda.  
- Wiesz, że ja się nie upijam. Może na przyjęciu... kiedyś. Ale nie dlatego, że jestem wściekły i mam ochotę łamać krzesła. Nigdy taki nie byłem.

- To prawda.  
Latourette zaśmiał się krótko.  
- Chyba chciałem sam siebie przekonać, że jestem na ciebie wściekły. Wiesz, próbowałem robić z siebie jakąś tragiczną postać. Nie, myślę, że po prostu nie chciałem tamtej pracy. Tak naprawdę chciałem posiedzieć sobie na słońcu. Swoją pracę tutaj i tak zakończyłem, a ty musiałeś zacząć wprowadzać Teda Gerstena. Prędzej czy później i tak musiałeś.

Hawks oparł dłonie na skraju biurka.

- Sam - powiedział spokojnie - do dzisiaj nie wiem, czy dobrze zrobiłem. Przestraszyłem się z powodu Barkera.  
- To nie znaczy, że nie miałeś racji - wtrącił Latourette pośpiesznie. - Co byśmy osiągnęli, gdybyśmy czasem nie działali pod wpływem impulsu? Są chwile, kiedy trzeba decydować szybko. Człowiek ogląda się potem za siebie i widzi, że gdyby tego nie zrobił, to sprawy wymknęłyby się spod kontroli. Nasza podświadomość bywa sprytniejsza od nas. Czasami. - Jego palce szukały na oślep papierosa w kieszonce koszuli, wpatrywał się w przestrzeń, jakby powtarzał coś, co sobie z Hawksem dawno ustalili, a jego prawdziwa uwaga skupiała się na czymś, na powiedzenie czego nie był może jeszcze zdecydowany.

- Idę jutro do szpitala - ciągnął. - Najwyższy czas. To znaczy, mógłbym jeszcze poczekać, ale w tej sytuacji nie ma powodu. Mógłbym jeszcze wytrzymać na morfinie... Czuję to coraz bardziej - powiedział lekkim tonem. - Zresztą odwiedził mnie facet przysłany przez władze. Nie powiedział mi wprost, co mam robić, ale zrozumiałem, że byliby spokojniejsi mając mnie w miejscu, gdzie nie będzie ważne, co gadam przez sen. - Uśmiechnął się znacząco. - Rozumiesz, Wielki Brat.

Hawks przyglądał mu się spod oka.

- Tak czy inaczej - Latourette wykonał ruch ręką nie pamiętając o papierosie trzymanym od chwili, kiedy go wreszcie wydobył z kieszeni - będę poza obiegiem. - Spojrzał zdziwiony na papieros w palcach i włożył jego koniec do ust. Pośpiesznie wyjąwszy zapałki z kieszeni marynarki, zapalił papierosa i zaciągnął się energicznie. - Dlatego przyszło mi do głowy, że może warto by wyciągnąć z taśmy mój duplikat. W ten sposób mógłbyś mnie, to znaczy mój duplikat, mieć pod ręką w



laboratorium, gdyby potrzebna była jakaś pomoc... - Jego głos zawisł w powietrzu, patrzył na Hawksa kątem oka, czerwieniąc się.

Hawks szybko wstał i zaczął manipulować przy pokrętłach klimatyzatora wmontowanego w okno za jego biurkiem. Pokrętła chodziły twardo i przeskakiwały do nowego położenia z metalicznym zgrzytem.

- Sam, wiesz, że ostatni twój zapis pochodzi sprzed sześciu miesięcy. Gdybyśmy zrobili z niego duplikat, on by się nie orientował w procedurze, jaką obecnie stosujemy przy transmisjach księżycowych. Myślałby, że mamy kwiecień.

- Wiem o tym, Ed - powiedział Latourette cicho. - Nie proszę, żebyś mi dał moją dawną pracę. Ale ja wiedziałem, że zostanę kiedyś odtworzony z taśmy. Ja... to znaczy duplikat, nie będzie zdziwiony tym, co się stało. Myślałem o tym, jak to będzie. Duplikat byłby człowiekiem wykwalifikowanym, rozumiałby sytuację i szybko by się uczył.

- Czy dostosowałby się do pracy pod kierownictwem Gerstena? - Hawks odwrócił się, opierając się plecami o klimatyzator. - To nie jest sprawa rozumienia albo nierozumienia tego, co się dzieje. Chodzi o coś więcej. Spójrz na to z jego punktu widzenia. Oto wjechał do przekaźnika dla dokonania zapisu jako człowiek numer dwa całej operacji księżycowej, a w następnej chwili wyjeżdża z odbiornika nie tylko bez sześciu miesięcy, które znikły w tej jednej chwili, nie tylko z Gerstenem jako przełożonym, ale jeszcze z kilkoma ludźmi zajmującymi ważniejsze od niego stanowiska. W porządku, byłby tobą, zdawałby sobie sprawę z tego, co się stało, wiedziałby, że jest duplikatem. Ale co by odczuwał? Co ty byś czuł w kwietniu, gdybyś poszedł na zapis wiedząc, że to zwykły sprawdzian, że taśma pójdzie do archiwum, a ty tego samego dnia wrócisz do pracy? A tymczasem wychodzisz z odbiornika i okazuje się, że stało się coś zupełnie innego: cały świat się zmienił i wydarzyły się setki rzeczy, o których nie masz pojęcia, a ty nagle jesteś jednym z wielu inżynierów i starzy znajomi nie wiedzą, jak teraz z tobą rozmawiać, Gersten czuje się głupio wobec ciebie i zupełnie obcy człowiek nazwiskiem Barker traktuje cię ze szczególną wrogością. Pomyśl o tym, Sam. Bo tak właśnie odczuwałby to twój duplikat. A nad wszystkim dominowałoby poczucie niesprawiedliwości. Sam, czy naprawdę chcesz tego wszystkiego?

- Nie mówiąc o tym, że nie byłbym w stanie zrozumieć, co stało się z Edem Hawksem - powiedział Latourette powoli patrząc w ziemię. - Że utrudniłem mu sprawy zamiast ułatwić. - Uniósł wzrok. - Mój Boże, Ed, co się ze mną dzieje? Co ja robię sobie i tobie? Chciałem ci tylko pomóc, a wyszło coś takiego. Nie powinienem był tu dziś przychodzić. Nie powinienem był ci tego robić.

- A dlaczego nie? - spytał Hawks. - Czy nie masz moralnego prawa pracować przy czymś, w co tyle z siebie dałeś? Czy człowiek umierający nie ma żadnych praw? Nawet prawa do powtórnego przeżycia półrocznego umierania na raka? - Spojrzał na Latourette'a. - Myślałeś o tym wszystkim. Poświęciłeś tym rozmyśleniom dużo czasu. Jeżeli ktoś może na to odpowiedzieć, to tylko ty: dlaczego nie miałbyś otrzymać tego, co ci się należy?

Latourette spojrział na niego przygnębiony.

- Ed, nie powinienem był tu przychodzić.

- Dlaczego? Ty po prostu wpadłeś w panikę. Poczujesz, że wszystko się wokół ciebie zamyka i że musisz wykonać jakiś ruch. Człowiek musi coś robić w takich sytuacjach, nie może ot, tak sobie, zniknąć.

- Nie, nie powinienem był tu przychodzić.

- Dlaczego? Dlaczego człowiek nie miałby wstać i zaprotestować przeciwko rzeczom, które się na niego ważą? Dlaczego miałby być na łasce rzeczy, które nie zwracają na niego uwagi?

Latourette wstał.

- Pogorszyłem tylko sprawy - powiedział przygnębiony. -

Zwaliłem na ciebie dodatkowy ciężar. Nie chciałem tego.

Jedyne, co mogę teraz zrobić, to wyjść stąd jak najprędzej. Proszę cię, Ed, postaraj się o tym zapomnieć. - Szybko podszedł do drzwi i przez chwilę wpatrywał się w Hawksa ze zdziwieniem. - Początkowo chciałem tylko zrobić coś dla ciebie. Kiedy tu dziś przyszedłem, nadal myślałem, że chcę ci pomóc. Ale chciałem też czegoś dla siebie i przez to wszystko się popsuło. Jakoś tak wyszło, że wszystko zepsułem. Jak to się dzieje? - pytał zagubiony. - Kto tym kieruje?

- Dlaczego człowiek nie może otrzymać tego, na co zasługuje? - spytał Hawks z goryczą.

- Ed, to jest najgorsza rzecz, jaką ci kiedykolwiek wyrządziłem.

- Widocznie na to zasłużyłem. Sam, chciałbym...

- Żegnaj, Ed - powiedział załamany Latourette i wyszedł.

Hawks usiadł z zamkniętymi oczami, jego dłonie wykonywały szybkie, bezcelowe ruchy nad planem formacji.

\*

Hawks wkroczył do laboratorium i ruszył w stronę przekaźnika, kiedy podszedł do niego Gersten.

- Próbowałem się z tobą zobaczyć przed chwilą, ale twoja sekretarka powiedziała mi, że jest u ciebie Sam Latourette w sprawie nie cierpiącej zwłoki.

Hawks przyjrzał mu się. Twarz Gerstena pobladła, wargi mu drżały.

- Przepraszam cię - powiedział z wahaniem - Vivian czasem zapomina o skali ważności spraw. - Spojrzął jeszcze raz na Gerstena. - Czy była dla ciebie niegrzeczna? - spytał marszcząc z zastanowieniem czoło.

- Była absolutnie nienaganna. Poza tym moja sprawa nie była aż tak pilna. - Gersten zaczął się odwracać.

- Zaczekaj - powstrzymał go Hawks. - O co chodzi?

Gersten otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale rozmyślił się.

- Czy ja tu jeszcze pracuję? - spytał po chwili milczenia.

- Dlaczego miałbyś nie pracować? - powiedział Hawks. Potem wyraz zdziwienia zniknął z jego twarzy. - Skąd ci przyszło do głowy, że chcę przywrócić Sama? - Poszukał wzrokiem oczu Gerstena. - Zawsze darzyłem cię pełnym zaufaniem. Jesteś znakomitym pracownikiem. - Sięgnął ręką

do karku i stał masując sobie zeszywniałe mięśnie. - Prawdę mówiąc, powinienem być dać ci już dawno bardziej odpowiedzialne stanowisko. Żałuję, że nie miałem czasu, żeby cię wcześniej lepiej poznać. - Opuścił rękę i wzruszył ramionami. - Takie rzeczy się zdarzają. Zawsze szkoda, kiedy się zdarzają komuś wartościowemu, ale nie wiem, co ci mogę więcej powiedzieć.

Gersten zagryzł wargę.

- Czy mówisz to wszystko poważnie? Nigdy nie wiem, co myślisz naprawdę.

Hawks uniósł brwi, wargi mu zadrżały.

- Dziwnie mi to słyszeć właśnie od ciebie.

Gersten potrząsnął głową sfrustrowany.

- Znów nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć. -

Podniósł wzrok na Hawksa. - To jest najlepsza praca w moim życiu. I najbardziej odpowiedzialna. Jestem prawie o pięć lat młodszy od ciebie. Czy znam się na tej robocie równie dobrze jak ty, to inna sprawa. Ale zakładając, że tak, to jaką twoim zdaniem mam szansę, że za pięć lat będę tam, gdzie ty?

Hawks zmarszczył czoło.

- Cóż, tego nie wiem - powiedział po namyśle. - To, oczywiście, zależy. Pięć lat temu zaczynałem dopiero wchodzić w ten temat... - wskazał głową otaczającą ich aparaturę - Okazało się, że może mieć zastosowanie wojskowe i sprawa nabrała rozpędu. Gdyby nie to, moglibyśmy być jeszcze daleko od praktycznej realizacji projektu. Ale nie traktuj tego jako kryterium. Ludzie nie zawsze kupują to, co najlepsze. - Wzruszył ramionami. - Nie wiem, Ted. Jeżeli masz jakiś zasadniczo nowy pomysł, nad którym pracujesz po godzinach, tak jak ja robiłem w RCA, to możesz zajść bardzo daleko. - Powtórnie wzruszył ramionami. - W znacznej mierze wszystko zależy od ciebie.

Gersten słuchał tego ze zmarszczonym czołem.

- Nie wiem. Nie wiem. Niepotrzebnie wdałem się w tę rozmowę o niczym. - Przez chwilę uśmiechnął się przeprasząco. - Myślę, że masz na głowie ważniejsze sprawy niż pomyślonych inżynierów. A jednak... - Gersten jakby się otrząsnął. - Kiedy podczas wojny zgłosiłem się do wojska, wystąpiłem o przyjęcie do szkoły oficerskiej. Byłem przepytywany przez sierżanta - starego zupaka zastępującego porucznika. Odpytał mnie wypełniając wszystkie rubryki kwestionariusza, a potem odwrócił kartkę, poślinił ołówek i napisał „Kandydat ma problemy z wystawianiem się, które mogą mu uniemożliwić dowodzenie pododdziałem”. Pokazał mi arkusz, żebym mógł sobie przeczytać jego poufną opinię i to był koniec. - Gersten przyglądał się uważnie Hawksowi. - I co o tym sądzisz?

Hawks spojrzał na niego zakłopotany.

- I co potem zrobiono z tobą w wojsku?

- Wysłali mnie na kurs elektroniki w Fort Monmouth.

- Więc gdyby nie to, pewnie by cię tu dziś nie było.

- Chyba tak - powiedział Gersten po chwili. - Nigdy na to

tak nie patrzyłem.

- Nie wiem jak ty, Ted, ale ja byłbym bardzo kiepskim oficerem zawodowym w marynarce. Nie sądzę, żeby stopień oficerski coś tu pomógł. - Nagle przez jego twarz przebiegł grymas. - A Sama Latourette'a zostawcie na mojej głowie. Może, jak uporamy się z tym projektem, znajdziemy trochę czasu, żeby się lepiej poznać.

Gersten nie odpowiadał. Patrzył na Hawksa, jakby nie mógł się zdecydować, jaki wyraz twarzy ma przybrać. Po chwili wzruszył ramionami.

- Właściwie chciałem z tobą porozmawiać o systemie wzmacniaczy sygnału. Wydaje się, że gdybyśmy...

Odeszli rozmawiając o szczegółach technicznych.

\*

Po dniu, kiedy czas przebywania w formacji doszedł do siedmiu minut i czterdziestu dziewięciu sekund, przekaźnik musiał zostać wyłączony, gdyż sygnał miałby zbyt długą drogę przez ziemską jonosferę. Obsługa techniczna zabrała się do przeglądu aparatury, Hawks pracował razem z nimi.

Tego dnia, kiedy już można było wznowić transmisję, Barker wkroczył do laboratorium o wyznaczonej godzinie.

- Zeszczupłał pan - powitał go Hawks.

- Pan też nie wygląda najlepiej.

Kiedy czas przebywania w formacji doszedł do ośmiu minut i trzydziestu jeden sekund, Benton Cobley wezwał Hawksa do swojego gabinetu na konferencję.

Hawks wszedł, ubrany w czysty kitel, przypatrując się uważnie ludziom zebranych wokół stołu konferencyjnego. Cobey podniósł się ze swojego krzesła.

- Doktorze Hawks, zna pan Carla Reeda, naszego głównego księgowego - powiedział wskazując spokojnego łysiejącego mężczyznę po swojej prawej stronie, który złożył ciężkie dłonie oracza na stosie arkuszy bilansowych.

- Jak się pan ma?

- Dziękuję. Świetnie. A pan?

- A to jest, oczywiście, komandor Hodge - powiedział

Cobey skinąwszy głową w stronę łącznikowego oficera marynarki siedzącego po jego drugiej stronie. Leżąca na stole wojskowa czapka odbijała się w lśniącej powierzchni.

- Oczywiście - powiedział Hawks z ledwo dostrzegalnym uśmiechem, na który Hodge odpowiedział podobnie. Potem podszedł do stołu i usiadł na wprost Cobeya.

- Kłopoty? - spytał.

Cobey rzucił spojrzenie na Reeda.

- Chyba możemy przejść od razu do sedna - powiedział.

Reed kiwnął głową. Pochylił się nieco i końcami palców przesunął arkusze w stronę Hawksa.

- Tu są liczby dotyczące rachunków za sprzęt do pańskiego laboratorium.

Hawks kiwnął głową.

**- Zarówno za wyposażenie początkowe, jak i za uzupełnienia w ubiegłym roku budżetowym.**

Hawks powtórnie kiwnął głową i spojrzał w stronę Cobeya, który siedział z łokciami na stole i z brodą wspartą na kciukach, spoglądając z góry na arkusze z obliczeniami. Potem zerknął na Hodge'a, gładzącego się w zamyśleniu palcem po policzku, z pozornie nieobecny spojrzeniem lodowato błękitnych oczu, otoczonych siecią zmarszczek.

- Doktorze Hawks - odezwał się Reed - przeglądając te zestawienia pomyślałem, że powinniśmy starać się prowadzić ten projekt oszczędniej. Ale po sprawdzeniu okazało się, że jest to niemożliwe.

Hawks spojrzał uważnie na Reeda.

- Wyłożyłem swój pomysł panu Cobeyowi - ciągnął Reed - który zgodził się ze mną, że powinniśmy przedstawić go panu.

Usta Cobeya przebiegł jakby skurcz.

- Przedtem porozumieliśmy się z komandorem Hodgem, żeby sprawdzić, czy marynarka gotowa jest rozważyć zmianę procedury badań, pod warunkiem, że nie wpłynie ona w istotny sposób na uzyskiwane wyniki.

Nie mamy nic przeciw temu, żeby zaoszczędzić parę dolarów - wtrącił Hodge nadal jakby myślami błądzący gdzie indziej. - Zwłaszcza, kiedy nie wolno nam przedstawić komisji Kongresu spisu aparatury.

Hawks kiwnął głową. Zapanowało milczenie, które przerwał Cobey.

- Czy pan słucha, doktorze Hawks?

- Oczywiście - powiedział Hawks. - Przepraszam, nie sądziłem, że wszyscy czekają na mnie. Proszę mówić, panie Reed.

- Zauważyłem - ciągnął Reed zaglądając do swoich arkuszy - że znaczna część aparatury się powtarza. Na przykład sto sztuk dzielników tego samego typu. Albo...

- To prawda. Duża część naszej aparatury składa się z serii jednakowych elementów - przerwał mu Hawks przechylając głowę, z wyrazem czujności w oczach. - Musimy prowadzić mnóstwo zasadniczo podobnych operacji jednocześnie. Nie mieliśmy czasu na zaprojektowanie elementów o odpowiednio dużej powtarzalności. Musieliśmy skorzystać z istniejącej aparatury i nadrobić jej stosunkowo małą sprawność dużą liczbą elementów. - Zatrzymał się na chwilę. - Potrzeba tysiąca mrówek, żeby przenieść filiżankę cukru - zakończył.

- To bardzo obrazowe, doktorze Hawks - powiedział Cobey.

- Chciałem tylko wytłumaczyć...

- Niech pan kontynuuje, Reed.

Reed pochylił się gorliwie nad stołem.

- Nie chcę, żeby mnie pan uważał za jakiegoś potwora, doktorze, ale, prawdę mówiąc, w tym sprzęcie jest zamrożona masa pieniędzy i nie widzę powodów, dlaczego, jeżeli mamy odpowiednią maszynę, nie możemy po prostu - tu wzruszył ramionami - wyprodukować

tyle kopii, ile potrzebujemy. Nie rozumiem, dlaczego muszą być konstruowane w naszym dziale produkcyjnym albo kupowane od innych firm. Obecnie mamy taką sytuację, że nie jestem nawet w stanie określić przewidywanego kosztu działalności...

- Panie Reed - przerwał mu Hawks.

- Tak, słucham.

Hawks przejechał dłonią po twarzy.

- Rozumiem w pełni pańskie stanowisko. I rozumiem, że pana propozycja jest z tego punktu widzenia absolutnie rozsądna. Jednakowoż...

- Dobrze, Hawks - wtrącił sucho Cobey. - Przejdźmy do „jednakowoż”.

- Czy zna pan, panie Reed, zasadę działania analizatora... powiedzmy, duplikatora?

- Bardzo ogólnikowo, jak sądzę - powiedział Reed cierpliwie.

\*

- Otóż, bardzo ogólnikowo, duplikator bierze jakiś obiekt i sprowadza go do uporządkowanej serii impulsów elektrycznych. Do sygnału, jak ten, który wypływa z nadajnika radiowego. Teraz ten sygnał zostaje przekazany do podzespołów, podobnie jak sygnał z anteny radioodbiornika przechodzi do jego obwodów. Kiedy wychodzi z drugiego końca, nie idzie jednak do głośnika, lecz zostaje przesłany na Księżyc, przechodząc przed tym przez kontrolę dokładności. Do tego można sprowadzić działanie wspomnianych przez pana elementów: sprawdzają zgodność sygnału z wzorcem. Rzecz w tym, że dokładność rekonstrukcji obiektu zależy od precyzji impulsów elektrycznych docierających do odbiornika. Gdybyśmy więc używali duplikowanych elementów do kontroli sygnałów, za pomocą których odtwarzamy złożone przedmioty, takie jak żywy człowiek, wprowadzalibyśmy dodatkowe ryzyko błędu. Co w przypadku istoty ludzkiej byłoby ryzykiem większym niż dopuszczają względy bezpieczeństwa. Czy pan mnie rozumie?

Reed słuchał ze zmarszczonym czołem.

Cobey skrzywił usta patrząc na Hawksa przez długość stołu.

Hodge wziął do ręki swoją czapkę i poprawiał drut usztywniający denko.

- Czy to wszystko, doktorze Hawks? - naruszył milczenie Reed.

Hawks kiwnął głową.

Reed z zażenowaniem wzruszył ramionami.

- Obawiam się, wie pan, że nadal nie rozumiem. Może pierwotna aparatura nie da się zduplikować, bo analizator nie mógłby bez niej działać, ale...

- Ależ mógłby - wtrącił Hawks. - Jak mówiłem, ważny jest obwód kontrolny, nie samo urządzenie.

Reed opuścił ręce i pokręciwszy głową spojrział na Cobeya.

Cobey zrobił głęboki wdech i westchnął.

- Co pan o tym sądzi, komandorze?

Hodge odłożył czapkę.

- Myślę, iż doktorowi Hawksowi chodzi o to, że jeżeli automatyczna tokarka produkuje automatyczne tokarki i jeżeli te automatyczne tokarki wykorzystuje się do produkcji dalszych automatycznych tokarek, wystarczy uszkodzenie jednej części w jednej z tych tokarek i wkrótce ma się miliony tokarek, które nadają się tylko na złom.

- Do diabła, Hawks, dlaczego nie powiedział pan tak od razu? - zapytał Cobey.

\*

W dniu, kiedy czas przebywania w formacji doszedł do dziewięciu minut i trzydziestu sekund, Hawks powiedział do Barkera:

- Martwię się. Jeżeli ten czas się jeszcze wydłuży, kontakt między ciałem K a ciałem L będzie coraz trudniejszy. Zespół nawigacyjny twierdzi, że pańskie raporty już stają się mniej zrozumiałe.

- To niech spróbują tam wleźć. Zobaczmy, co oni potrafią mądrego powiedzieć. - Barker oblizał wargi. Oczy miał puste.

- Nie o to chodzi.

- Ja wiem, o co chodzi. Może się pan przestać martwić.

Jestem już prawie przy wyjściu.

- Tego mi nie powiedzieli - zareagował ostro Hawks.

- Bo nie wiedzą. Ale ja to czuję.

- Wyczucie.

- Plan pokazuje tylko to, co ja im powiem po zakończeniu pracy. Nie ma tam żadnego początku ani końca, tylko ja decyduję, kiedy będzie koniec. - Rozejrzał się po laboratorium z wyrazem goryczy. - Tyle tego żelastwa, doktorze, a w końcu wszystko się trzyma na jednym człowieku. - Spojrzał na Hawksa. - Jeden człowiek i to, o co mu chodzi.

A może nas dwóch. Nie wiem. O co panu chodzi, Hawks?

Hawks przyjrzał się Barkerowi.

- Ja nie wchodzę w butach do pańskich myśli. I pan niech nie wchodzi do moich. Muszę teraz zatelefonować.

Odszedł na drugi koniec laboratorium i zadzwonił do miasta. Słuchając sygnału wpatrywał się w dobrze znaną białą ścianę. Nagle stracił panowanie nad sobą i płaską dłońią uderzył w nią z całej siły. Buczenie w słuchawce ustało i telefon odebrano.

- Halo? Elizabeth? - spytał gwałtownie. - Tu Ed. Posłuchaj... Nie, wszystko w porządku. Nawał pracy. Słuchaj, czy masz czas dziś wieczorem? Nigdy jeszcze nie zaprosiłem cię na kolację ani na dancing... Czy zechcesz? Ja... - Uśmiechnął się do ściany. - Dziękuję ci. - Odwiesił słuchawkę i odszedł. Obejrzał się przez ramię i zobaczywszy, że Barker obserwuje go przez cały czas, wyprostował się z godnością.

### **Rozdział VIII**

- Elizabeth - zaczął, ale zniechęcony machnął ręką. - Nie. To można wypowiedzieć tylko pod wpływem chwili. Najczęściej tak bywa.

Stali na wysuniętym w morze skalnym cyplu. Hawks postawił kołnierz marynarki i ręką przytrzymał jej poły. Elizabeth schowała ręce w

kieszeniach płaszcza, na głowie miała chustkę. Blask zachodzącego księżyca odbijał się od chmur w górze.

Szerokie usta Elizabeth rozciągnęły się w uśmiechu.

- Przyprowadziłeś mnie w bardzo romantyczne miejsce - powiedziała.

- Dojechałem tu przypadkiem. Nie wybierałem żadnego szczególnego miejsca. - Rozejrzał się. - Nie jestem człowiekiem przebiegłym, Elizabeth. Jestem człowiekiem logiki, człowiekiem myśli i Bóg wie czego jeszcze. - Uśmiechnął się niepewnie. - Człowiekiem, który zadaje sobie pytanie „Co ja tu robię?” i musi znaleźć na nie odpowiedź. Są słowa... - wykonał nieokreślony gest - słowa, które muszę powiedzieć. Dzisiaj. Nie później. - Zrobił krok do przodu, odwrócił się i stanął twarzą do niej, wpatrzony ponad jej ramieniem w krajobraz z pustą plażą, nasypem autostrady z jego samochodem stojącym na poboczu i wschodnim niebem w tle. - Nie wiem, jaką formę przybiorą, ale wiem, że muszą zostać wypowiedziane. Zechcesz posłuchać?

- Proszę.

Potrząsnął głową, potem wcisnął dłonie w tylne kieszenie spodni.

- Wiesz... podczas wojny Niemcy nie chcieli wierzyć, że można zbudować radar mikrofalowy. Ich łodzie podwodne były wyposażone w wykrywacze fal radarowych, żeby wiedzieć, kiedy są namierzone. Ale odbierały tylko stosunkowo długie fale. Kiedy zainstalowaliśmy radary mikrofalowe na naszych samolotach patrolowych i okrętach eskortowych, zaczęliśmy wykrywać ich łodzie w nocy, kiedy wypływały dla naładowania akumulatorów. Jednak wcześniej, na początku wojny, musieliśmy zdobyć jeden z ich odbiorników, żeby ustalić jego możliwości. Tak się złożyło, że to mnie przypadła praca nad nim. Grupa abordażowa naszego niszczyciela zdobyła go na łodzi podwodnej, która została uszkodzona bombą głębinową i zmuszona do wypłynięcia. Nasi wyrwali odbiornik w ostatniej chwili przed zatonięciem okrętu. Aparat dostarczono do laboratorium, w którym pracowałem, specjalnym samolotem, a potem samochodem. Dostałem go w niespełna dwanaście godzin.

Ustawiłem sobie aparat na stole roboczym i oglądałem. Pudło zostało uszkodzone odłamkiem, zalane wodą i strasznie zaplamione. Była tam sadza, był olej, rdza, osad żrących dymów z wybuchów pocisków, normalne rzeczy. Widziałem też ślady innego rodzaju. Ale ja byłem wówczas obiecującym, młodym uczonym, świeżym oficerem rezerwy i w ogóle wunderkindem... - Hawks skrzywił się ironicznie. - Oglądałem więc to pudło i w myśli powiedziałem do siebie coś dziarskiego w rodzaju „Nie powinno być kłopotu z rozgryzieniem tego, trzeba tylko wytrzeć to świństwo”. I tak dalej. I przez cały czas smuga zakrzepłej krwi wokół największej dziury stanowiła część tego „świństwa”. Jakiś marynarz, myślałem sobie bardzo profesjonalnie jak na szczura lądowego, jakiś marynarz stał w pobliżu, kiedy pocisk trafił w kiosk. Ale kiedy otworzyłem to metalowe pudło, Elizabeth, w środku zobaczyłem między lampami i przewodami ludzkie serce.



- I co zrobiłeś? - spytała po chwili milczenia.

- Cóż, po jakimś czasie wróciłem, zbadałem odbiornik i zbudowałem jego kopię. A potem zastosowaliśmy radar mikrofalowy i wygraliśmy wojnę.

Posłuchaj, kiedy człowiek umiera, ludzie mówią „Żył pełnią życia, a kiedy nadszedł jego czas, zasnął w spokoju”. Albo mówią „Biedny chłopak, jego życie dopiero się zaczynało”. Ale rzecz w tym, że śmierć nie jest przypadkiem. To nie jest coś, co zdarza się człowiekowi w pewnym określonym dniu jego życia, prędzej czy później. To zdarza się całemu człowiekowi, chłopcu, którym był, młodemu człowiekowi, którym był, jego radościom i smutkom, chwilom, kiedy się śmiał i kiedy się uśmiechał. Czy to się zdarza wcześniej, czy późno, umierający człowiek nie może uznać, czy żył dostatecznie długo. Kto to mierzy? Kto decyduje, że nadszedł właściwy czas? Ciało osiąga moment, w którym nie może się już ruszać. Ale umysł, nawet starczy umysł zduszony komórkami mózgu, racjonalny czy irracjonalny, szeroki czy wąski, umysł nigdy nie daje za wygraną. Dopóki najmniejszy strumyczek elektryczności sączy się z komórki do komórki, on funkcjonuje, on żyje. Jak może jakikolwiek umysł powiedzieć sobie, że „to życie doszło do swego logicznego kresu” i wyłączyć się? Kto może powiedzieć „Napatrzyłem się dosyć”? Nawet samobójca musi roztrzaskać swój mózg, żeby uwolnić się od tego, co go dręczy. Umysł, inteligencja, zdolność oglądania wszechświata, ważność tego, gdzie staje stopa i czego dotyka ręka, to wszystko zawsze chce trwać napawając się wszystkim, co go otacza.

Zatoczył ręką łuk obejmując plażę i morze.

- Rozejrzyj się! Do końca życia będziesz to miała w sobie! Ja też. W ostatnich chwilach życia będziemy mogli obejrzeć się za siebie i być znów tutaj. Oddaleni o długie lata i tysiące mil, będziemy to nadal mieć. Czas, przestrzeń, entropia, żaden atrybut wszechświata nie może nam tego odebrać inaczej niż zabijając, miażdżąc nas.

Rzecz w tym, że wszechświat umiera! Gwiazdy spalają swoją substancję, planety krążą coraz wolniej i zbliżają się do swoich słońc. Cząstki atomowe, z których wszystko się składa, też zwalniają na swoich orbitach. Stopniowo, przez miliardy lat wszystko się zużywa, aż któregoś dnia stanie. I tylko jedna rzecz w całym wszechświecie rośnie, rozwija się i wspina pod górę. Rozum, życie człowieka, my jedyjni nie podporządkowujemy się powszechnym prawom. Wszechświat zabija nasze ciała, ściąga je w dół za pomocą grawitacji, aż nasze serca zmęczą się pompowaniem krwi wbrew przyciąganiu, aż ścianki naszych komórek zapadną się pod własnym ciężarem, aż nasze tkanki zwiotczeją, a kości skruszeją. Nasze płuca zmęczą się pompowaniem powietrza, nasze arterie popękają z wysiłku. Dzień za dniem, od chwili naszego poczęcia, wszechświat maltretuje nasze ciała, aż wreszcie tracą zdolność regeneracji. I tym sposobem w końcu zabija nas.

Ale nasz umysł... to co innego. To zjawisko, które nie ma nic wspólnego z czasem i przestrzenią, poza tym, że z nich korzysta, żeby opisywać życie swojego ciała w fizycznym wszechświecie.

Kiedyś ojciec zabrał mnie na spacer późnym wieczorem po świeżym śniegu. Szliśmy drogą, którą dopiero co oczyściły pług i śnieżne. Pokazały się gwiazdy i księżyc. Była mroźna, jasna noc z zaspami śniegu połyskującymi w świetle. Na rogu, gdzie nasza droga dochodziła do szosy, stała wysoka latarnia. Dokonałem wtedy odkrycia. Moje oczy łzawiły na mrozie i stwierdziłem, że kiedy je mrużę, płyn rozprasza światło tak, że wszystko: księżyc, gwiazdy, latarnia ma aureole. Zaspy połyskiwały niczym morze cukrowej waty i wszystkie gwiazdy stanowiły część jednej jarzącej się koronki. Szedłem wtedy przez wszechświat tak dziwny i cudowny, że moje serce prawie nie mogło pomieścić tego piękna.

Przez lata przechowywałem tę chwilę w moim umyśle. Jest tam nadal. Nie była jednak dziełem wszechświata. To ja ją stworzyłem. Wziąłem gwiazdy, które są odległymi słońcami, wziąłem noc, która jest cieniem Ziemi, śnieg, który jest wodą w stanie stałym, wziąłem własne łzy i zrobiłem z tego zaczarowany świat. Nikt inny nie mógł go zobaczyć. Nikt inny nie mógł do niego wejść. Nawet ja nie mogę do niego wrócić fizycznie, bo znajduje się trzydzieści osiem lat stąd na poziomie wzroku dziecka i jego stereoskopowa dokładność zależy od rozstawu oczu tamtego dziecka. Faktycznie istnieje on tylko w jednym miejscu, w moim umyśle, Elizabeth, w moim życiu. Ale co się z nim stanie, kiedy ja umrę?

- Może zostanie trochę we mnie. Razem z resztą ciebie.

Hawks spojrzał na nią, wyciągnął ręce i delikatnie, jak dziecko, które trzyma płatek śniegu, wziął ją w ramiona.

- Elizabeth, Elizabeth - powiedział. - Nie zdawałem sobie sprawy, na co mi pozwalasz.

- Kocham cię.

\*

Szli we dwoje wzdłuż brzegu.

- Kiedy byłem małą dziewczynką - powiedziała Elizabeth - matka chciała, żebym grała w filmach i zgłosiła mnie do agencji. Któregoś dnia zadzwoniono, że szukają dziewczynek do roli córki meksykańskiego pastucha. Matka bardzo starannie wystroiła mnie w wiejską bluzkę oraz spódnicę w kwiatki i kupiła mi różaniec. Potem zaplotła mi warkocz, przyczerzyła brwi i zawiozła mnie do studia. Kiedy tego popołudnia wróciliśmy do domu, ciotka powiedziała „Nie udało się, co?” i wtedy moja matka, wściekła do łez, wyrzuciła: „W życiu nie widziałam czegoś obrzydliwszego! To było okropne! Prawie miała tę rolę, ale w ostatniej chwili dali ją jakiejś małej, brudnej Meksykance!”

Hawks objął ją mocniej. Spojrzał na morze, potem na niebo.

- To jest cudowne miejsce! - powiedział. - Wiesz, to jest cudowne miejsce!

### **Rozdział IX**

1. Barker stał oparty o szafkę z aparaturą, kiedy do laboratorium wszedł rano Hawks.

- Jak się pan czuje? - spytał Hawks podchodząc i przyglądając mu się uważnie. - W porządku?

Barker uśmiechnął się lekko.

- O co panu chodzi? Mamy się stuknąć rękawicami przed ostatnią rundą?

- Zadałem panu pytanie.

- Czuję się świetnie. Wulkan energii i optymizmu. Teraz w porządku, Hawks? Co pan chciał ode mnie usłyszeć? Że rozpiera mnie duma? Że wiem, jaki to olbrzymi krok naprzód w nauce i że jestem zaszczycony mogąc uczestniczyć w tym wspaniałym przedsięwzięciu? Dostałem już medal, panie doktorze, poproszę o dwie aspiryny.

- Barker, skąd ta absolutna pewność, że zdoła pan wyjść z drugiej strony formacji? - spytał Hawks z powagą.

- Dlaczego jestem tego pewien? Może logika formacji polega między innymi na tym, że nikt z nią nie może wygrać. Może zabije mnie przez zwykłą złośliwość. Tego nie wiem. Mogę tylko stwierdzić, że jestem o jeden krok od końca jedynej bezpiecznej drogi. Jeżeli następny ruch nie wyprowadzi mnie na zewnątrz, to będzie znaczyło, że wyjścia nie ma. Że to jest puszka po konserwach, a ja spadłem na dno. Jeżeli jednak jest tam coś innego, to tak, dzisiaj jest ten dzień, zbliża się godzina zero.

Hawks kiwnął głową.

- To wszystko, czego mam prawo od pana oczekiwać.

Dziękuję. - Rozejrzał się. - Czy Gersten jest przy przekaźniku?

- Tak. Powiedział mi, że będziemy gotowi do nadawania za pół godziny.

Hawks kiwnął głową.

- Dobrze. W porządku. Może pan zacząć się ubierać, ale będzie pewne opóźnienie. Najpierw zrobimy mój wstępny zapis.

Pójdę z panem.

Barker przydeptał niedopałek.

- Chyba powinienem to jakoś skomentować. Zrobić jakąś zjadliwą uwagę na temat brawurowego wkroczenia na wrogi brzeg po tym, jak wojska zajęły wyspę. Ale niech mnie diabli, jeżeli myślałem, że pan to w ogóle zrobi.

Hawks nic nie odpowiedział i oddalił się w kierunku przekaźnika.

\*

- Wiedziałeś, że mamy zapasowe skafandry - powiedział Hawks do Gerstena leżąc w otwartej zbroi. Ludzie z marynarki krzżeli się wokół dostosowując kombinezon do jego budowy. Chorąży doglądał wszystkiego z wyrazem wątpliwości na twarzy.

- Tak, ale one były tylko na wypadek, gdybyśmy stracili pierwszy przy nieudanym zapisie - z uporem w oczach nie dawał za wygraną Gersten.

- Zawsze mieliśmy zestaw skafandrow we wszystkich rozmiarach.

- Móc coś zrobić, a zrobić, to są dwie różne rzeczy.

Ja...

- Posłuchaj, znasz sytuację. Wiesz, co tu robimy równie dobrze jak ja. Z chwilą, kiedy będziemy znali bezpieczną drogę, rozpoczną się prawdziwe badania. Będziemy musieli rozłożyć to coś jak bombę, a ja jestem odpowiedzialny za cały projekt. Aż do dzisiaj, gdybym zginął, strata dla przedsięwzięcia byłaby zbyt duża. Teraz jednak ryzyko jest już

dopuszczalne. Chcę zobaczyć na własne oczy, jak to wygląda, aby wydawać potem sensowne polecenia. Czy to tak trudno zrozumieć?

- Hawks, jeszcze wiele rzeczy może się tam dzisiaj zdarzyć.

- Założmy, że wszystko pójdzie dobrze. Założmy, że Barkerowi się uda. I co wtedy? Wtedy on stoi tam, a ja siedzę tu, na dole. Czy sądzisz, że nie planowałem tego od samego początku?

- Jeszcze zanim poznałeś Barkera?

- Wolałbym go w ogóle nie poznawać. A teraz odsuń się i pozwól im zamknąć skafander. - Uważnie wsunął dłoń w rękawicę z zestawem narzędzi.

Wtoczono go do komory. Zadziałały magnesy i wyciągnięto spod niego stół. Zamknięto i zablokowano drzwi. Hawks zawisł w powietrzu z rozłożonymi rękami i nogami, otoczony setką tysięcy połyskujących oczu czytelnika. Leżał patrząc przez okrągłą szybę hełmu z twarzą pozbawioną wyrazu.

- Jestem gotów, Ted - powiedział sennie do mikrofonu i światło w komorze zgasło.

\*

W komorze odbiornika zaświeciło się. Hawks otworzył oczy, zamrugał. Drzwi komory otworzyły się i wsunięto pod niego stół. Wyłączono magnesy poprzeczne i zetknął się z plastikową powierzchnią stołu.

- Czuję się normalnie - powiedział. - Czy macie dobry zapis?

- O ile wiem, tak - odpowiedział Gersten do mikrofonu. - Komputery nie stwierdziły żadnych przerw w transmisji.

- No, to nic więcej nie zrobimy - powiedział Hawks. - Dajcie mnie z powrotem do przekaźnika i trzymajcie tam. Ubierzcie Barkera w skafander, obniżcie stół i wsuńcie go pode mnie. Dzisiaj padnie jeszcze jeden rekord w kronikach badań kosmosu. Dziś po raz pierwszy wyślemy na Księżyc kanapkę.

Popychający stół Fidanzato roześmiał się nerwowo. Gersten spojrzął na niego gwałtownie odwróciwszy głowę.

2. Hawks i Barker powoli stawali na nogi w komorze odbiornika na Księżycu. Czekający na zewnątrz specjaliści z marynarki otworzyli drzwi i odsunęli się, żeby ich przepuścić. Baza księżycowa była naga i szara, z pajęczyną plastikowych krokwi podtrzymujących elastyczną powłokę kopuły geodetycznej. Lampy zwisały z niej jak stalaktyty, podłogę stanowiły maty rozłożone na tym samym plastyku, który pokrywał kopułę. Hawks rozejrzał się z ciekawością, hełm jego skafandra obracał się z lekkim zgrzytem, który został natychmiast wzmocniony przez materiał powłoki. Najmniejszemu ruchowi ich obu towarzyszyło nasilone echo.

Ani przez chwilę we wnętrzu kopuły nie panowała cisza. Konstrukcja nieustannie potrzaskiwała i pojękiwała wprawiając w drżenie lampy. Grupa mężczyzn, zespół obsługi w spodnich kombinezonach i Hawks z Barkerem w skafandrach, stała skąpana w ruchomych refleksach, jakby znajdowała się na dnie morza wstrząsanego na górze potężnym sztormem. Przy słuzie powietrznej technicy ubrali się w swoje skafandry z gumowanego brezentu i jeden za drugim wyszli na otwartą powierzchnię Księżycy.

Światło gwiazd spływało na nich z zimną, jednostajną intensywnością, silniejsze od wszystkiego, co można zobaczyć w bezksiężycową noc na Ziemi, ale podziurawione ostrymi konturami cienia przy każdym występie i załomie terenu. Z prawej strony można było dostrzec nieostre kształty budynków bazy. Kopuły z kratownicami podtrzymującymi powłoki wyglądały jak wraki zeppelinów, zielonoszare i nie oświetlone.

Hawks zrobił głęboki wdech.

- W porządku, dziękuję - zwrócił się do obsługi. Jego głos w słuchawkach był odległy, mechaniczny i rzeczowy. - Czy zespoły obserwatorów są gotowe?

Jeden z ludzi, z oznakami porucznika na hełmie, skinął głową i wskazał w lewo. Hawks z wyrazem niechęci na twarzy powoli odwrócił głowę w stronę garbów bunkrów obserwacyjnych, które jak pod osłoną skały przycupnęły u stóp czarnosrebrnej formacji.

- Tędy - powiedział Barker dotykając ręki Hawksa zestawem narzędzi na końcu prawego rękawa. - Chodźmy, skończy nam się powietrze, jak będziemy tu stać i czekać, aż zanurzy pan palec w wodzie.

Hawks ruszył w ślad za Barkerem pod daszek, który jak pergola pozbawiona pnączy przykrywał uprzątniętą z kamieni dróżkę między kopułą odbiornika a formacją.

Porucznik dał znak ręką i zaczął się oddalać na czele swojej grupy roboczej inną ścieżką, prowadzącą do pomieszczeń marynarki i własnych codziennych zajęć.

- Gotowe? - spytał Barker, kiedy doszli do formacji. - Niech pan da sygnał świetlny obserwatorom, żeby wiedzieli, że zaczynamy.

Hawks podniósł rękę i błysnął wmontowaną lampą roboczą. Odpowiedział mu błysk światła z bezkształtnego czarnego bunkra.

- To już wszystko, Hawks. Nie wiem, na co pan jeszcze czeka. Niech pan idzie za mną i robi to co ja. Miejmy nadzieję, że to coś nie będzie miało nic przeciwko temu, że nie jestem sam.

- To jest ryzyko w granicach rozsądku - powiedział Hawks.

- Jak pan uważa, doktorze. - Barker wyciągnął ręce i przyłożył je wewnętrzną stroną do mieniącej się szklistej ściany w miejscu, gdzie nagle kończyła się dróżka. Przesunął się bokiem. Skafandrem Hawksa wstrząsnęła idąca od podeszew butów wibracja, kiedy ściana przepuściła Barkera i wessała go do środka.

Hawks spojrzał na luźny żwir ścieżki pokryty śladami butów, jakby przeszedł po nim oddział wojska. Potem podszedł do ściany i uniósł ramiona. Pot spływał mu po policzkach szybciej niż urządzenia skafandra były w stanie go wysuszać.

3. Barker wspinał się po połyskliwej, czarnogranatowej równi pochyłej w kierunku dwóch szorstkich, matowobrazowych powierzchni, które raz po raz zderzały się. Wokół Hawksa zawirowały zielone i białe welony. Puścił się biegiem, podczas gdy przez zielono-białe draperie przebijały się promienie kryształowej przejrzystości z ledwo widocznymi czerwonymi światełkami błyskającymi na ich drugim końcu, a pod nogami wzdymały się niebieskie, zielone i żółte pęcherze.

Hawks biegł z ramionami przyciśniętymi do boków. Dotarł tak do miejsca, gdzie, jak widział, Barker wykonał przewrót przemykając się koło ruchomego strumienia miękkich, bladych strzępków. Skacząc Hawks zobaczył skręcone ciało w skafandrze starego typu.

Biała zbroja Barkera nagle pokryła się szronem, który odpadał płatami na leżące części rękawów, nogawek i torsów. Mijając je Hawks dodał i swoje śnieżne odlewy.

Teraz schodził za Barkerem spiralnym kominem, którego ściany zostawiały na skafandrach lekki szary proszek, odpadający następnie długimi delikatnymi smugami. Zaraz potem minęli ciało Rogana, częściowo tylko widoczne spod stosu szklistych półkrażków, przypominających górę potłuczonych talerzy.

Barker podniósł rękę i zatrzymali się na skraju pola wypełnionego przecinającymi się płaszczyznami, stłoczonymi pod nawisem wypolerowanego jęczora czarnogranatowego metalu, z plamą chropowatej rudej rdzy w miejscu, gdzie kiedyś wchodził się jeden z wcześniejszych Barkerów. Leżał teraz z jednym białym rękawem zwisającym w dół, z kawałkiem zielonego pokrycia zaciśniętym kurczowo w szczypcach. Barker spojrzął na ciało, potem na Hawksa i puścił oko. Następnie chwycił się jednego z krystalicznych przezroczystych występów sterczących z połyskliwej czerwonej ściany, przerzucił się na następny i znikł za rogiem, skąd sączyło się niebieskie, zielone i żółte światło.

Zbrojne stopy Hawksa zawisły w powietrzu, kiedy poszedł w ślady Barkera. Za zakretem poruszał się ostrożnie, ręka za ręką, przyklejony do wysokiej, zakończonej występami jaskrawożółtej ściany. Każdy liściokształtny występ ugiął się pod jego ciężarem tak, że jego szczypce prawie ześlizgiwały się z powierzchni, której nie były w stanie przebić swoimi ostrymi zakończeniami. Musiał krzyżować ramiona i przenosić ciężar ciała z występu na występ, zanim ten poddał się zupełnie; musiał też unikać uderzenia liściem prostującym się po uwolnieniu od ciężaru. W dole leżał stos poskręcanych skafandrów: ręce, nogi, torsy.

Hawks dotarł wreszcie do miejsca, gdzie leżąc na wznak odpoczywał Barker. Zaczął niezgrabnie siadać i jednocześnie spojrzął na swój przegub, gdzie miniaturowy żyrokompas wskazywał księżycową północ. Przekrzywił przy tym ciało, omal się nie przewrócił i zastygł na jednej nodze jak bocian. Barker pomógł mu odzyskać równowagę. W górze nad nimi przez szklistą czerwoną bryłę przypominającą kształtem głowę olbrzymiego szczura przebiegły serie pomarańczowych błysków i, jakby niechętnie, zanikły.

Wyszli teraz na rozległą, płaską równinę we wszystkich odcieniach czerni i szarości, wybierając jeden określony ciąg śladów wśród rozchodzących się wachlarzowato pojedynczych tropów. Wszystkie kończyły się leżącym białym skafandrem, prócz tego jednego, na którym Barker co jakiś czas przystawał, zawsze przed swoim leżącym ciałem, i robił krok w bok albo po prostu chwilę czekał. Za każdym razem równina z punktu widzenia Hawksa odzyskiwała wówczas przez moment swoje

barwy. Za każdym razem, kiedy powtarzał manewr Barkera, kolor zamierał, a skafander odzywał się głuchym, drewnianym dudnieniem.

Równinę zamykała ściana. Hawks spojrzął na zegarek. Czas pobytu w formacji wynosił cztery minuty i pięćdziesiąt jeden sekund. Ściana pulsowała wachlarzami liliowego światła bijącego od ich stóp aż pod czarne niebo. Tam, gdzie padał ich cień, wyrastały szronowe kwiaty, tym wyższe, im dalsze od skrajów cienia, a tym samym od światła. Szron tworzył wybrzuszone, szorstkie kopie ich skafandrów i kiedy Hawks z Barkerem zmieniali położenie, leżały przez chwilę odstłonięte, by zaraz wybuchnąć bezgłośnie pod ciśnieniem pary, a każdy wyrzucony fragment ciągnął za sobą długą, delikatną smużkę pary, pochłaniając sam siebie i cały wybuch powoli wygaszał.

Barker uderzył w ścianę ostrym geologicznym młotkiem i połyskujący, granatowoczarny fragment jej powierzchni odpadł, obnażając szorstką, brązową warstwę. Barker uderzył lekko i barwa zmieniła się na lśniąco białą, ożywioną wijącymi się zielonymi żyłkami. Potem ściana stała się krystaliczna, przezroczysta i znikła. Stali na skraju jeziora dymiącego czerwonego ognia. Na jego brzegu, na wpół wynurzona, leżała osmalona, nadwęglona i nadtopiona - jak glazura na glinianym garnku - zbroja Barkera. Hawks spojrzął na zegarek. Przebywali w formacji sześć minut i trzydzieści osiem sekund. Obejrzał się za siebie. Na otwartej, jednobarwnej równinie leżał bezkształtny, granatowoczarny kawałek metalu. Barker zawrócił, podniósł go i cisnął nim o ziemię. Natychmiast między nimi a równiną wyrosła szorstka brązowa ściana, zza której wybuchnął ogień. Na miejscu opalonej zbroi Barkera pojawił się stos kryształów na skraju kwadratu lapis lazuli o powierzchni może stu metrów.

Barker przekroczył jego granicę i natychmiast fragment kwadratu pochylił się, a kryształy posypały się lśniącym wachlarzem. Barker ostrożnie wybierał drogę między nimi, aż znalazł się na przeciwległym końcu odcinka, równoważąc go swoim ciężarem. Hawks wkroczył na pochyłą powierzchnię idąc w jego kierunku. Barker wskazał ręką. Przez szczelinę na końcu drogi widać było ludzi z zespołu obserwacyjnego, patrzących, ale nic nie widzących. Hawks spojrzął na zegarek. Sześć minut trzydzieści dziewięć sekund. Ledwo widoczne między nimi a zespołem obserwatorów leżało jeszcze jedno ciało Barkera. Kryształy z ich części podłogi zsuwały się i spadały długimi, delikatnymi smugami na niejasno majaczący skafander.

Barker wdrapał się na błękitny kwadrat. Hawks poszedł w jego ślady. Fragment podłoga, z którego zeszli, powrócił do poziomu. Pokonali kilka metrów i Barker stanął z wyrazem napięcia na twarzy, z oczami błyszczącymi radością. Kątem oka zobaczył Hawksa i spoważniał.

Hawks znacząco spojrzął na zegarek. Barker oblizał wargi, potem odwrócił się i pobiegł rozszerzającą się spiralą. Jego buty wzbijały chmury kryształów, a przez skafander przepływały fale czerwonego, zielonego i żółtego światła. Hawks ruszył za nim, błękitne podłoże pękało pod ich stopami pokrywając się siatką rozgałęziających się szczelin.

Gdy tak biegali w koło, błękit przybrał odcień stalowy, potem stał się przezroczysty i znikł pozostawiając tylko siatkę pęknięć, po której krążyli Hawks i Barker. W dole leżał oszroniony skafander, a tuż obok stał nie widzący tego wszystkiego zespół obserwacyjny. A za nim gwiazdy, łuk nieba i poszarpany księżycowy horyzont.

.N:182

Przebywali w formacji dziewięć minut i dziewiętnaście sekund. Barker znów wczepiony stopami i kleszczami dłoni w pionową nagle siatkę zawisł bez ruchu oglądając się przez ramię na podchodzącego Hawksa. Oddychał konwulsyjnie, w oczach miał rozpacz. Hawks zatrzymał się obok niego.

Sieć pęknięć zaczęła się rozpadać na ostre jak sztylety sople, które sypiąc się pozostawiały wielkie dziury. Napływały przez nie kłęby stalowoszarych drobin tworzących ostre jak brzytwa płaszczyzny gromadzące się w wielkiej, otwartej przestrzeni nad Barkerem i Hawksem. Skraje płaszczyzn falowały i łączyły się tworząc kratownicę, która zbliżała się w ich kierunku.

Barker nagle zamknął oczy, potrząsnął gwałtownie głową i z wyrazem bólu na twarzy zaczął się wspinać po siatce z lewą ręką przyciśniętą do boku, po każdym odbiciu się od kolejnego punktu oporu dla stopy poszukując prawą dłonią nowego uchwytu nad głową.

Kiedy Barker i Hawks wyłonili się nad skrajem sieci obok skafandra przysypanego warstwą ostrych sopli, czas ich przebywania we wnętrzu formacji wynosił dziewięć minut i czterdzieści dwie sekundy. Barker spojrzął znad ściany na zespół obserwatorów i zszedł na otwartą powierzchnię Księżyca. Hawks zrobił to samo. Stali przez chwilę patrząc na siebie przez szyby hełmów, mając tuż za plecami formację.

Barker obejrzał się.

- Nie wygląda, by wiedziała, co zrobiliśmy - odezwał się przez radiotelefon.

Hawks też rzucił spojrzenie za siebie.

- A spodziewał się pan, że da jakiś znak? - Wzruszył ramionami i zwrócił się do obserwatorów, którzy czekali w swoich księżycowych skafandrach z wyrazem cierpliwości na twarzach pod plastikowymi baniami przezroczystych hełmów.

- Czy panowie zauważyli coś nowego podczas naszego pobytu w środku? - spytał Hawks.

Najstarszy członek zespołu, osobnik o szarej, ściągniętej twarzy i w drucianych okularach potrząsnął głową.

- Nie. - Jego głos dochodził zniekształcony przez laryngofon. - Formacja w żaden sposób nie pokazuje, że rozróżnia osoby i nie reaguje w żaden szczególny sposób na obecność dodatkowej osoby. Dopóki, jak sądzę, przestrzega się wszystkich jej wewnętrznych rygorów.

Hawks kiwnął głową.

- Ja też odniosłem takie wrażenie. - Odwrócił się do



Barkera. - To chyba znaczy, że możemy zacząć wysyłać do środka zespoły techniczne. Myślę, że wykonał pan swoje zadanie, Al. Naprawdę tak myślę. Cóż, chodźmy na chwilę do tych panów. Złożymy im ustne sprawozdanie na wypadek, gdyby Barker i Hawks z laboratorium stracili z nami kontakt, zanim wyszliśmy.

Ruszył ścieżką do bunkra obserwatorów, inni poszli za nim.

4. Gersten ukląkł i pochylił się nad otwartą przyłbicą hełmu.

- Wszystko w porządku, Hawks? - spytał.

Hawks L spojrzał na niego półprzytomnie. Z kącika ust spływał mu strumyczek krwi. Zlizał go przeciągając językiem pogryzioną dolną wargę.

- Widocznie byłem bardziej przestraszony niż myślałem, po tym, jak straciłem kontakt z Hawksem księżycowym i zdałem sobie sprawę, że jestem w skafandrze. - Kiwnął głową z lewa na prawo. - Co z Barkerem?

- Właśnie wyjmują go z odbiornika. Zdaje się, że jest w dobrym stanie. A jak panu poszło?

Hawks L kiwnął głową.

- Wszystko w porządku. Kiedy ostatnio miałem kontakt z

Hawksem K, składał raport zespołowi obserwacyjnemu. - Mrugnął, żeby przeczyścić oczy. - To jest niesamowite miejsce. Posłuchaj, Gersten.

- Spojrzał z wyrazem odrazy. Kiedy był chłopcem i przechodził serię przeziębień, ojciec próbował go wyleczyć przez zanurzenie w gorącej kąpieli, a następnie zawijając go w mokre prześcieradła, owijając każdą następną warstwę ciasno wokół ciała i ramion małego Eddie'go Hawksa i pozostawiając chłopca unieruchomionego na całą noc. - Przepraszam, że pytam - powiedział nie zdając sobie sprawy, że jego twarz jest zwrócona bezpośrednio do Gerstena - ale czy nie mógłbym być wyciągnięty ze skafandra przed Barkerem?

Gersten, który początkowo przyglądał się Hawkswi z zaciekawieniem i współczuciem, teraz ochłódnął i zrobił urażoną minę.

- Oczywiście - powiedział i odszedł, zostawiając Hawksa na podłodze samego jak dziecko w środku nocy. Leżał tak przez kilka chwil, zanim jednemu ze stojących obok techników nie przyszło do głowy, że Hawks może potrzebować towarzystwa i ukląkł obok niego w ograniczonym przez szybę hełmu polu widzenia.

5. Hawks księżycowy patrzył, jak szef obserwatorów zamyka notatnik.

- Myślę, że to wszystko - powiedział do niego.

Barker, który siedział obok przy metalowym stoliku, po chwili wahania kiwnął głową.

- Ja nie widziałem żadnego jeziora ognia - powiedział do Hawksa.

Ten wzruszył ramionami.

- A ja nie widziałem żadnej najeżonej ostrzami bramy z

zielonego szkła na jego miejscu. - Wstał i zwrócił się do obserwatorów.

- Jeżeli będziecie panowie tak dobrzy i założycie nam hełmy, to my już pójdziemy.

Zrobiwszy swoje obserwacje odwrócili się i wyszli przez służbę do wnętrza bunkra, żeby Hawks i Barker mogli skorzystać ze służby prowadzącej na zewnątrz.

- Chodźmy, Al - powiedział. - Nie mamy zbyt wiele czasu.

- Przyjemnie jest, kiedy człowiek czegoś dokona i wszyscy wkoło mu gratulują klepiąc po plecach - powiedział Barker z goryczą, kiedy weszli do służby.

Hawks potrząsnął głową.

- Ci księżycowi pracownicy nie traktują nas jak ludzi.

Może dzisiaj powinni, ale tak się przyzwyczaili, i to dobrze. Niech pan nie zapomina, Al, dla nich nie był pan nigdy niczym więcej jak cieniem w nocy. Tylko ostatnim z wielu cieni. A potem przyjdą tu umierać inni. Zdarzy się, że jakiś technik popełni błąd. Może się zdarzyć, że będzie tu musiał wrócić pan albo nawet ja. Ci ludzie z bunkra będą obserwować, będą zapisywać to, co widzieli, będą robić wszystko, co w ich mocy, żeby wydusić z tego czegoś informację... - Wskazał obsydianową masę, nieustannie się walącą, nieustannie wracającą do pionu, przesuwającą się w miejscu, piętzącą się nad bunkrem, raz odbijającą światło gwiazd, raz matowoczną. - Gigantyczna łamigłówka. Ale pan i ja, Al, jesteśmy dla nich tylko rodzajem narzędzi. Musi tak być. Oni muszą tu żyć aż do dnia, kiedy ostatni technik rozłoży ostatni fragment formacji. A kiedy się to już stanie, ci ludzie z bunkra staną przed czymś, o czym starali się przez cały ten czas nie myśleć.

Hawks i Barker szli obok siebie ścieżką.

- Wie pan, Hawks - powiedział Barker - że prawie nie chciałem stamtąd wyjść?

- Wiem.

Barker zrobił nieokreślony gest.

- To była cholerna chwila. Omal nie wprowadziłem nas do pułapki, która załatwiła mnie ostatnim razem. A potem stanąłem jakby w oczekiwaniu, żeby to do nas doszło. Sam nie wiem dlaczego. Nie chciałem wyjść. Miałem uczucie, że coś stracę. Nie wiem, co, ale stałem tam i nagle poczułem, że jest coś cennego, co stracę, jeżeli wyjdę na zewnątrz.

\*

Hawks, który szedł obok Barkera, odwrócił głowę i spojrzał na niego po raz pierwszy, odkąd wyszli z bunkra.

- I co, stracił pan to?

- Nie wiem. Będę się musiał nad tym zastanowić. Wiem, że czuję się odmieniony. To mogę powiedzieć. Z całą pewnością.

- Czy to jest pierwszy raz, kiedy pan zrobił coś, czego żaden inny człowiek nie zrobił przed panem?

- Ja... nie wiem... biłem różne rekordy...

- Inni też bili rekordy w tych samych konkurencjach.

Barker przystanął i spojrzał na Hawksa.

- Myślę, że to jest to. - Zmarszczył czoło. - Chyba ma

pan rację. Zrobiłem coś, czego nikt inny nie zrobił przede mną. I nie zostałem za karę zabity.

- Nie było precedensu i nie było tradycji, a pan to zrobił, Al. - Hawks też się zatrzymał. - Może został pan pełnoprawnym człowiekiem? - Głos miał cichy i smutny.

- To możliwe, Hawks! - powiedział Barker w podnieceniu. - Niech pan słucha... Czegoś takiego nie można pojąć od razu, ale... - Znów przystanął, jego twarz promieniowała ożywieniem zza szyby hełmu.

Doszli prawie do miejsca, w którym ścieżka z bunkra łączyła się z siecią drózek przecinających teren między formacją, odbiornikiem, bazą marynarki i garażem, gdzie stały zwiadowcze pojazdy półgąsienicowe. Hawks czekał w bezruchu, z pochyloną głową, cierpliwie przyglądając się Barkerowi.

- Miał pan rację, Hawks! - wyrzucił z siebie gwałtownie Barker. - Przejście inicjacji nie znaczy nic, jeżeli człowiek wraca do tego, czym był przedtem, jeżeli nie czuje, że się zmienił! Człowiek... człowiek stwarza samego siebie. Do diabła, Hawks, dotąd starałem się być takim, jakim chcieli mnie widzieć inni, takim, jakim uważałem, że powinienem być, ale kim jestem naprawdę? To jest coś, czego muszę się dowiedzieć, z czym muszę coś zrobić! Muszę wrócić na Ziemię i nadrobić wszystkie te stracone lata! Hawks, zdaje się, że będę panu jeszcze cholernie wdzięczny.

- Czyżby? - Hawks ruszył przed siebie. - Niech pan lepiej idzie za mną, Al.

Barker dogonił go truchtem.

- Dokąd pan idzie?

Hawks szedł dalej, aż znalazł się na dróżce prowadzącej do garażu i kawałek dalej, gdzie kończył się daszek maskujący i zaczynał otwarty teren, prawie nie do pokonania przez pieszego człowieka w skafandrze. Hawks przyzywał Barkera ruchem ręki.

- Tędy.

- Czy nie za bardzo pan ryzykuje? Na ile starczy nam powietrza w tych skafandrach?

- Nie na wiele. Najwyżej kilka minut.

- W takim razie wracajmy lepiej do przekaźnika.

Hawks pokręcił głową.

- Nie. To nie dla nas, Al.

- Czy to znaczy? Przecież przekaźnik powrotny chyba działa!

- Działa, ale nie możemy z niego skorzystać.

- Hawks...

- Jeżeli chce pan pójść do przekaźnika i poddać się tej samej procedurze, którą przechodzą próbki i sprawozdania, to bardzo proszę. Ale najpierw chciałbym, żeby pan rozumiał, co pan robi.

Barker patrzył na niego przez szybę hełmu całkowicie zaskoczony. Hawks wyciągnął rękę i niezgrabnie dotknął opancerzonego ramienia Barkera.

- Dawno temu uprzedzałem, że zabiję pana na wiele sposobów, Al. Kiedy kolejny Barker L odzyskiwał przytomność na Ziemi po śmierci kolejnego Barkera K, pozwalałem panu żywić złudzenia. Sądził pan wtedy, że poczuł pan ostateczną śmierć. Otóż nie. Jestem zmuszony zrobić to jeszcze raz.

Zawsze istniała ciągłość. Barker L i Barker K byli pozornie tym samym człowiekiem z tym samym umysłem. Kiedy K ginął, L po prostu żył dalej. Nic nie ulegała przerwaniu i mógł pan nadal uważać, że w istocie nic się nie stało. Mógłbym panu powiedzieć, a pan mógłby mi uwierzyć, że faktycznie istniał szereg Barkerów, których wspomnienia pasowały do siebie, ale to zbyt abstrakcyjny koncept, żeby człowiek mógł go do końca zrozumieć. Ja w tej chwili myślę o sobie jako o Hawksie, który przed laty urodził się w sypialni wiejskiego domu. Chociaż wiem, że w laboratorium na Ziemi jest inny Hawks, który teraz ma już za sobą kilka chwil swojego własnego życia, chociaż wiem, że powstałem z prochu tego globu w komorze odbiornika, dwadzieścia minut temu. Wszystko to nic nie znaczy dla tego Hawksa, który żył w mojej pamięci przez tyle lat. Mam się do czego odwołać, mogę wspominać.

Tak samo było z panem. Mówiłem to panu. Dawno temu powiedziałem, że przekaźnik wysyła tylko sygnał. Że niszczy człowieka, którego odczytuje, żeby ten sygnał uzyskać. Ale mówiąc to wiedziałem, że żadne słowa nie sprawią, żeby pan to odczuł, skoro budzi się pan co rano w swojej własnej skórze. Sądzę więc, że całe to gadanie poszło na marne. Często miewam takie uczucie. Ale czy mógłbym sobie teraz spojrzeć w oczy, gdybym nie próbował panu powiedzieć?

- Przejdźmy do rzeczy - przerwał mu Barker.

- Właśnie próbuję! - wybuchnął Hawks. - Chciałbym, żeby

ludzie raz na zawsze zrozumieli, że krótkie odpowiedzi są właściwe tylko przy trywialnych pytaniach! Czy myśli pan może, że mamy tu do czynienia z czymś, z czym mógłby sobie poradzić Leonardo da Vinci? Gdyby tak było, to już by sobie poradził i mielibyśmy dwudziesty wiek w piętnastym! Jeżeli chce pan w ogóle usłyszeć odpowiedź, to niech mi ją pan pozwoli osadzić w kontekście.

- W porządku, Hawks.

- Przepraszam - powiedział Hawks odzyskując spokój. -

Uniosłem się. W każdym człowieku coś się gromadzi i musi w końcu wyjść. Niech pan zrozumie, Barker, my tu po prostu nie mamy urządzenia, pozwalającego na wierne przekazanie zapisu człowieka na Ziemię. Nie mamy komputerów, nie mamy dość elektroniki, nie mamy skomplikowanych zabezpieczeń. Będziemy mieli. Wkrótce wydrążymy odpowiednio obszerną komorę, w której będą zabezpieczenia przed wypadkami i obserwacją. Potem albo wprowadzimy powietrze do całej komory, albo zaprojektujemy elektronikę działającą w próżni. I jeżeli pan myśli, że to żaden problem, to jest pan w błędzie. Ale rozwiążemy go. Kiedy przyjdzie na to czas.

Na razie nie mieliśmy czasu, Al. Ci ludzie tutaj, zespół z marynarki, obserwatorzy, pomyśl o nich. To są najlepsi specjaliści w swoich

dziedzinach. Ludzie kompetentni. A kompetentni ludzie mają rodziny, kariery zawodowe, zainteresowania, jakieś majątki. Panuje błędne przekonanie, że ktoś, kto jest dobrym astronomem albo dobrym kartografem, jest niewiele wart w innych dziedzinach życia. Niektórzy może tacy są, większość nie. I wszyscy oni wiedzą, że kiedy przybyli tutaj, ich sobowtóry zostały na Ziemi. To było konieczne. Nie mogliśmy takich ludzi oderwać od pracy. Nie mogliśmy ryzykować ich śmierci, nikt przecież nie wiedział, co może się tutaj zdarzyć. Wszyscy zgodzili się pracować tu na ochotnika. Wszyscy rozumieli. Tam, na Ziemi, ich sobowtóry żyją jakby nic się nie stało. Każdy z nich, rzecz jasna, spędził jedno popołudnie w laboratorium, ale to już dla nich drobne wydarzenie z przeszłości.

My tutaj wszyscy jesteśmy cieniami, Al. Nawet gdybyśmy mieli odpowiednie urządzenia i tak nie moglibyśmy wrócić. Kiedy je dostaniemy, też nie będziemy mogli wrócić. Nie powstrzymamy tych, którzy zechcą spróbować, ale niech pan pomyśli na przykład o człowieku kierującym zespołem obserwatorów. Jego odpowiednik na Ziemi jest poważnym uczonym. Dużo dokonał od dnia, w którym został zduplikowany. Ma swoją karierę, reputację, cały bagaż nowych doświadczeń obcych temu osobnikowi z Księżyca. A ten tutaj też się zmienił, wie rzeczy, których nie wie tamten z Ziemi. Ma swój bagaż odrębnych doświadczeń. Jeżeli wróci, co któremu przypadnie? Kto weźmie katedrę, kto rodzinę, a kto książeczkę czekową? Mogą spróbować jakoś z tego wybrnąć, jeżeli zechcą. Ale upłyną lata, zanim ich zadanie tutaj zostanie wykonane. A tam będą rozwody, narodziny, śmierci, śluby, awanse, stopnie naukowe, wyroki sądowe, choroby... Nie, większość nie wróci. Tylko dokąd pójdą, kiedy to się skończy? Musimy im znaleźć jakieś zajęcie. Z dala od Ziemi, z dala od świata, na którym dla nich nie ma już miejsca. Stworzyliśmy cały korpus ludzi nie mających przyszłości poza kosmosem. Dokąd pójdą? Na Marsa? Na Wenus? Nie mamy jeszcze rakiet, które mogłyby tam zrzucić odbiorniki. Powinniśmy mieć, ale przypuśćmy, że niektórzy z nich stali się bezcenni i nie odważymy się posłać ich do przekaźnika? Co wtedy?

Nazwał ich pan kiedyś żywymi trupami i miał pan rację. Są żywymi trupami i wiedzą o tym. To ja ich tak urządziłem, bo nie było czasu. Czasu, żeby przeprowadzić to systematycznie, żeby przemyśleć wszystkie aspekty problemu, żeby przeczesać świat w poszukiwaniu ludzi, których moglibyśmy wykorzystać nie rujnując im życia. Co zaś do mnie i pana, Al, to stoimy przed prostym faktem, że zostało nam w skafandrach powietrza na kilka minut i że nie możemy wrócić.

- Do licha, Hawks, możemy przecież wejść do każdej z tych baniek i mieć tyle powietrza, ile dusza zapagnie!

- Żeby utknąć tutaj i wrócić na Ziemię za rok albo dwa? - spytał Hawks powoli. - Jak pan chce, to proszę bardzo. Co pan będzie przez ten czas robił? Nauczy się robić coś użytecznego tutaj, bez przerwy myśląc, jak żyje w tym czasie pański sobowtór na Ziemi?

Barker milczał przez chwilę.

- Chce pan powiedzieć, że jestem tu unieruchomiony -

powiedział spokojnie. - Że jestem zombie. Czy to takie straszne? Czy śmierć nie jest gorsza?

- Nie wiem - odpowiedział Hawks. - Mógłby pan porozmawiać o tym z tutejszymi, ale oni też nie wiedzą. Mieli czas, żeby się nad tym zastanawiać. Dlaczego pana unikali? W tym, co pan tu robił, nie było nic takiego, co byłoby dla nich nie do zniesienia. Na początku mieliśmy tu falę samobójstw. Ci, którzy przetrwali, są dość odporni psychicznie. Dzięki temu, że nauczyli się myśleć o swojej sytuacji tylko w określony sposób. Ale proszę bardzo. Na pewno coś pan dla siebie znajdzie.

- Ależ, Hawks, ja chcę wracać na Ziemię!

- Do świata swoich wspomnień, które trzeba odmienić?

- Dlaczego nie mogę skorzystać z powrotnego przekaźnika?

- Mówiłem już. Nie rozporządzamy tu laboratorium pełnym

urządzeń kontrolnych. Tutejszy przekaźnik wysyła sygnały opisujące próbki skał i pisemne raporty. Jest wykorzystywany rzadko i tylko do takich rzeczy. Bez superdokładnych danych astronomicznych, bez odpowiedniego źródła energii sygnał ulega rozproszeniu, nie dociera do anteny na Ziemi, zniekształca się przechodząc przez zjonizowane warstwy atmosfery - po prostu nie można z powierzchni nie zamieszkanego, nie zbadanego, pozbawionego atmosfery satelity uzyskać tego, co z Ziemi. Urządzenia, które działają w ziemskiej grawitacji, atmosferze, ciśnieniu i zakresie temperatur, nie będą działać tutaj. Wszystko musi być zaprojektowane dla tutejszych warunków. A najlepiej, tutaj zbudowane. Tylko z czego? W jakiej fabryce? W przypadku odłamków skały i zapisanego papieru nie ma większego znaczenia, że rozporządzamy tylko najniezbędniejszym sprzętem, na którego dostosowanie musieliśmy znaleźć czas. Metodą prób i błędów oraz wielokrotnych powtórzeń przepychamy jakoś te sygnały i odczytujemy je na Ziemi. Jeżeli przychodzą rozsypane, przesyłamy o tym wiadomość i chłopak z marynarki dostarcza nam kopię maszynopisu, a geolog daje inny odłamek tej samej skały. Ale człowiek, Barker, mówiłem panu. Człowiek jest feniksem. Po prostu nie mamy tu urządzeń, żeby go zapisać, przepuścić przez różne wzmacniacze, sprawdzić i sporządzić zapis kontrolny na wzór.

Wolno panu spróbować, Al. Może pan wejść do komory przekaźnika i obsługa pociągnie za dźwignie. Robili to już dla innych ludzi, którzy chcieli spróbować. Jak zawsze, czytnik rozłożył pana bezboleśnie i natychmiast. Ale co dotrze na Ziemię... na pewno nie będzie to człowiek, którym się pan stał, odkąd po raz ostatni umieszczono pana w przekaźniku laboratorium. To mogę zagwarantować.

Hawks podniósł ręce i opuścił je bezwładnie.

- Teraz pan widzi, Al, co panu zrobiłem? Widzi pan, co

zrobiłem biednemu Samowi Latourette, który ocknie się pewnego dnia w świecie pełnym obcych ludzi, nie wiedząc, co się z nim działo po sporządzeniu zapisu. Będzie tylko wiedział, że zostanie wyleczony, a jego stary dobry przyjaciel Ed Hawks dawno obrócił się w proch. Nie grałem czysto z nikim z was. Nigdy nie okazałem nikomu z was litości, tylko teraz i to przez przypadek.

Odwrócił się i poszedł.

- Niech pan zaczeka, Hawks! Nie musi pan...

- Czego nie muszę? - spytał Hawks nie zatrzymując się i nie odwracając głowy. - Istnieje we wszechświecie Ed Hawks, który pamięta całe swoje życie, nawet przejście przez formację na Księżycu. Stoi teraz w laboratorium na Ziemi. Co tu się traci? Nie ma żadnych kosztów. Życzę panu jak najlepiej, Al. Niech się pan lepiej pośpieszy do tej służby. Albo ta w przekaźniku, albo w bazie marynarki. Odległość jest ta sama.

- Hawks!

- Muszę wynieść się dalej od tych ludzi - powiedział

Hawks w zamyśleniu. - Zajmowanie się nieboszczykami nie należy do ich obowiązków. Idę w tamte skałki.

Doszedł do końca ścieżki, daszek z siatki maskującej upstrzył jego skafander cieniami zacierając zarysy ciała, aż stał się prawie nierównym, ostrokanciastym fragmentem krajobrazu, przez który szedł.

Potem wyszedł na światło gwiazd i jego zbroja błysnęła czystą, zimną bielą.

- Hawks - odezwał się Barker zduszonym głosem - jestem przy służbie.

- Powodzenia, Barker.

Hawks wdrapywał się na skałki, aż zaczęło mu brakować tchu. Wtedy stanął wciśnięty między głązy. Zwrócił twarz ku górze, gwiazdy odbiły się w szybie hełmu. Jego oddech był coraz płytszy i coraz szybszy, oczy wypełniły się łzami. Zamrugał gwałtownie, ze złością.

- Nie - powiedział. - Nie dam się na to złapać. - Mrugał raz po raz. - Nie boję się ciebie - powiedział. - Ktoregoś dnia ja albo jakiś inny człowiek pokona cię.

6. Hawks L ściągnął przez głowę pomarańczową podkoszulkę i stał obok stołu ubrany tylko w spodnie od kombinezonu otrzepując talk z włosów i z twarzy. Widać mu było wszystkie zębra.

- Powinien pan wyjść trochę na słońce, Hawks - powiedział Barker przysiadając na skraju stołu i mierząc Hawksa krytycznym spojrzeniem.

- Tak - zgodził się Hawks w zamyśleniu, zastanawiając się, dlaczego nie ma sposobu sprawdzenia, czy jako dziecko na wsi sypiał pod kocem czy pod kołdrą. - Tak, to możliwe. Powinienem mieć trochę więcej czasu teraz, kiedy rzeczy pójdą swoim trybem. Może pochodzę z moją dziewczyną na basen, albo coś. Nie wiem.

W lewej ręce trzymał kawałek papieru, zmięty i wilgotny od potu. Trzymał go tak przez cały czas od chwili, kiedy został zamknięty w skafandrze. Spróbował go teraz delikatnie rozwinąć, żeby nie podrzeć.

- Czy pamięta pan coś z tego, co działo się z nami na Księżycu po wyjściu z formacji? - spytał Barker.

Hawks potrząsnął głową.

- Nie, prawie natychmiast straciłem kontakt z Hawksem K.

I jeszcze radzę pamiętać, że nigdy nie byliśmy na Księżycu.

Barker roześmiał się.

- Dobrze. Ale co za różnica, czy się było, czy się

pamięta, że się było?

- Nie wiem - mruknął Hawks zajęty kartką. - Może marynarka napisze nam w sprawozdaniu, co Hawks K i Barker K robili potem. To może nam coś wyjaśnić. Podejrzewam, że tak będzie.

Barker znów się roześmiał.

- Dziwny z pana okaz, Hawks.

Hawks spojrzał na niego spod oka.

- To mnie według pana podsumowuje, co? Otóż ja nie jestem

Hawksem. Pamiętam, że byłem Hawksem, ale zostałem zrobiony w odbiorniku jakieś dwadzieścia pięć minut temu i po raz pierwszy widzę pana na oczy.

- Dobra, dobra - przez śmiech powiedział Barker. - Niech się pan odpręży!

Hawks przestał zwracać na niego uwagę. Wreszcie rozwinął kartkę i choć tusz był rozmazany, odczytał ją bez trudu. Ostatecznie było to jego własne pismo i wiedział, co tam jest napisane.

Pozdrów ją ode mnie.

**KONIEC**



# Kryształowa ściana, oko nocy

(Wall of Crystal, Eye of Night)

## I

**K**oło biurka Rufusa Sollenara, miękko jak płacz lamentującej gołębiczy, zabrzmiał telefon. Sam Sollenar stał kilkadziesiąt kroków dalej; unosząc wysoko swą lwią głowę, z rękoma w kieszeniach, obserwował świat nocą, wyglądając przez kryształową ścianę dającą widok na całą Wyspę Manhattan. Okno znajdowało się tak wysoko, że część rozpościerającej się panoramy skryta była pod niskimi obłokami wiszącymi nad rzekami. W górze świeciły gwiazdy; miasto poniżej porysowane było świetlistymi liniami i wypełnione między nimi po brzegi światłem. Spadająca gwiazda – rakietą międzyplanetarna – zmierzająca w stronę Long Island Facility, przecięła smugą niebo jak jasna rysa na ciemnej sadzy drzwi Piekieł.

Wzrok Sollenara wychwycił to wydarzenie, ale on sam obserwował całą roztaczającą się przed nim scenerię, nie zwracając specjalnie uwagi na żaden jej konkretny element. Oczy mu błyszcząły.

Kiedy usłyszał telefon, uniósł lewą dłoń do warg.

— Tak?

Na ręce błyszcząły mu pierścienie utilijem; wyglądało to tak, jakby założył na palce coś w rodzaju miedzianych łączników, wykorzystywanych kiedyś do wzmacniania wręg szkieletu drewnianych statków wojennych.

Dobiegający z zupełnie pustego miejsca w pobliżu biurka głos jego osobistej recepcjonistki, przemieścił się w puste miejsce koło ucha Sollenara. Siedząca przy pulpicie z monitorem w swym biurze, gdziekolwiek by to biuro nie było, recepcjonistka powiadomiła go:

— Pan Ermine twierdzi, że ma umówione spotkanie.

— Nie.

Sollenar opuścił dłoń i powrócił do kontemplacji panoramy. Kiedy był dwadzieścia lat młodszy – i zarządzał skromną fabryką optyczną, dającą

utrzymanie trzem pokoleniom Sollenarów – bardzo pragnął tak sobie móc stać w takim miejscu jak to, i lubił się wczuwać w uczucia wyobrazonego siebie, w takich okolicznościach. Teraz jednak, czuł się zupełnie niewyobrażalnie.

Być tutaj, to jedna sprawa. Niemal stracić prawo do tego i odzyskać je w ostatniej chwili, to zupełnie inna. Teraz już wiedział, że może być tutaj nie tylko dzisiaj, ale że będzie mógł również jutro i pojutrze. Wygrał. Rzykowna gra dała mu EmpaVid – a EmpaVid mogło dać mu wszystko.

Miasto było nie tylko nagrodą, za jaką podążał. Było ono dynamicznym systemem, którym, jak pokazał, potrafił manipulować. Stanowił z nim jedność. Żywiło go ono i utrzymywało; pozwalało mu stać tutaj, na wysokościach, z gwiazdami nad głową i rozświetloną światłem mgiełką pod nogami.

Telefon zamiauczał ponownie.

— Pan Ermine twierdzi, że na pewno ma umówione spotkanie.

— Nigdy o nim nie słyszałem.

I lewa dłoń z utilijemami ponownie odsunęła się od ust Sollenara. Uwielbiał takie zabawki. Uniósł prawą dłoń, okrytą subtelnym niemalże niematerialnym ciemnoniebieskim jedwabiem, w którym srebrne włókienka metalowych przewodów delikatnie biegnęły w stronę koniuszków palców. Uniósł dłoń i zetknął ze sobą dwa palce: z przodu i z tyłu zaczęła grać muzyka. Zetknął ze sobą kombinację dwu innych obwodów na palcach i z tarasu po drugiej stronie pomieszczenia, którego drzwi otworzyły się, doleciał miękki kobiecy śmiech. Ruszył w jego stronę. W otworze drzwi pozostała pojedyncza warstwa przejrzystej tkaniny, powiewając lekko w dolatującym z tarasu wietrzyku. Przez nią można było dostrzec niski stolik z zapaloną świecą; wino w stojącym obok niego uchwycie z koszem z lodem; dwa delikatne krzesła; czekającą na jednym z nich Bess Allardyce, wysmukłą i królewską – wszystko to widoczne przez mglistą zasłonę, sprawiało wrażenie początku, czy też końca snu.

— Pan Ermine przypomina panu, że spotkanie zostało umówione na Dorocznym Obiedzie Biznesowym, International Association of Broadcasters, w 1998 roku.

Sollenar dokończył swój ostatni krok, a potem zatrzymał się. Marszcząc brwi powiedział do swej lewej dłoni:

— Czy pan Ermine jest ze Specjalnego Biura Public Relations IAB?

— Tak — odparł głos, po krótkiej przerwie.

Palce prawej ręki Sollenara złożyły się w stożek. Drzwi łączące z tarasem zamknęły się. Dziewczyna zniknęła. Muzyka ucichła.

— W porządku. Proszę powiedzieć panu Ermine, żeby wjechał na górę.

Sollenar podszedł do swego biurka i usiadł za nim.

**R**ozległ się dzwonek w drzwiach biura. Sollenar wykrzywił palec prawej dłoni, i drzwi stanęły otworem. Kolejnym gestem zapalił górne oświetlenie koło drzwi, a sam usiadł w cieniu. Pan Ermine wszedł do środka.

Ermine ubrany był w strój w rdzawym kolorze. Nie wyglądał zbyt wyrafinowanie, a dłonie miał puste. Twarz miał okrągłą i miękką, obwiedzioną długimi, ciemnymi bakami. Czubek jego głowy był zupełnie łysy. Stał tuż przy wejściu biura Sollenara i stwierdził:

— Prosiłbym o nieco więcej światła, abym mógł również i pana zobaczyć, panie Sollenar.

Sollenar wykrzywił swój mały palec.

Górne lampy w całym biurze rozbliły delikatnym światłem. Kryształowa ściana zmieniła się w lustro, przebijały się przez nią tylko najsilniejsze światła miasta.

— Chciałem tylko obejrzeć sobie pana jako pierwszego — odparł Sollenar. — Myślałem, że może kiedyś przedtem już się spotkaliśmy.

— Nie — powiedział Ermine, przechodząc przez biuro. — To mało prawdopodobne, żeby kiedykolwiek widział mnie pan na oczy. — Wyjął z kieszeni futerał z legitymacją i pokazał ją Sollenarowi, identyfikując się w ten sposób. — Nie jestem osobą, która stałaby w pełnym świetle.

— Proszę, niech pan usiądzie — zaprosił go Sollenar. — Co mogę dla pana zrobić?

— W obecnej chwili, panie Sollenar, to raczej ja robię coś dla pana.

Sollenar odchylił się w krześle.

— Pan? Pan teraz robi? — Marszcząc brwi spojrzał na Ermine'a. — Kiedy stałem się stroną Statutu i regulaminu Stowarzyszenia, przyjętego na Obiedzie w 98 roku, myślałem że Specjalne Biuro Public Relations mogłoby się stać wartościowym zasobem dla organizacji. I dlatego głosowałem za jego utworzeniem i władzą jaka została mu powierzona. Nigdy jednak nie spodziewałem się żadnych osobistych spraw które by mnie z nim łączyły. Przypominam sobie tylko, że panowie macie carte blanche w stosunku do każdego członka IAB.

— No cóż, oczywiście od 98 roku minęło już trochę czasu — przyznał Ermine. — Wyobrażam sobie, jakie legendy mogły wokół nas narosnąć. Plotki w branży - tego typu rzeczy.

— Tak.

— Ale my nie ograniczamy się do funkcji wymuszających, panie Sollenar. Zgodnie z naszą wiedzą, nie złamał pan żadnego punktu Statutu.

— Podobnie jak i moją. Ale nikt nie może się czuć pewny na sto procent. Nie w tych okolicznościach. — Na razie Sollenar nie pozwolił jeszcze, aby twarz odprężyła mu się i rozjaśniła wspaniałym uśmiechem. — Jestem przekonany, że pan to rozumie.

— Mój nieco mniej ambitny starszy brat, pracuje w Federalnym Biurze Śledczym. Kiedy rozpocząłem swoją własną karierę, powiedział mi, że powinienem się spodziewać, iż cały świat będzie na mnie reagować jak przestępca, tak. — Powiedział Ermine, nie zwracając uwagi na mimowolne mrugnięcie Sollenara. — To jeden z czynników utrudniających życie w profesji takiej jak mojego brata, czy moja. Ale, panie Sollenar, jestem tutaj po to, aby udzielić panu rady, i tylko po to.

— W jakiej kwestii, panie Ermine?

— No cóż, pańska korporacja, przejęła ostatnio kontrolę nad patentami na nowy system video. Rozumiem, że w efekcie czyni to pańską korporację właścicielem praw licencyjnych do medium rozrywki o ekstremalnie wysokiej sprzedaży. Fantastycznie wysokiej.

— **E**mpaVid — potwierdził Sollenar. — W świadomie odbierany program wplecione są rozmaite bodźce podprogowe, które są razem z nim nadawane. Domowy odbiornik zawiera czujniki odpowiedzi zwrotnej, określające reakcję widza na te bodźce, i intensyfikujące niektóre z nich, a obniżające poziom innych, w celu stworzenia kompletnej emocjonalnej zgodności między widzem i nadawanym programem. Innymi słowy EmpaVid jest systemem włączającym do nadawanej audycji emocje widza, w celu osiągnięcia lepszego efektu. Aparat domowy jest jedną zamkniętą całością, jest na wpół przenośny i nie jest jakoś znacząco większy od standardowego odbiornika TV. EmpaVid jest kompatybilny ze standardowymi odbiornikami TV – poza tym, oczywiście, że nadawany program odbierany na zwykłym urządzeniu, wydaje się mniej ciekawy i jakoś mgliście niesatysfakcjonujący. Tak więc konsument szybko kupuje odbiornik EV. — Wyjaśnienie natury swego sukcesu, sprawiło Sollenarowi całkiem sporą przyjemność.

— I to po bardzo rozsądnej cenie. Pełna racja, panie Sollenar. Ale miał pan trochę problemów ze znalezieniem potencjalnych licencjobiorców na ten system, pośród sieci telewizyjnych.

Wargi Sollenara lekko się zacisnęły.

Pan Ermine uniósł do góry palec.

— Najpierw była kwestia pozyskania patentów od oryginalnego wynalazcy, do której podchodził także Cortwright Burr.

— Tak, zgadza się — potwierdził Sollenar zupełnie innym tonem.

— Rywalizacja między panem Burrem i panem jest zadawniona i intensywna.

— Dosyć intensywna — przyznał Sollenar, patrząc prosto przed siebie, na jedną z pustych ścian swojego biura. Biura Burra znajdowały się kilka przecznic dalej w stronę centrum, w tym właśnie kierunku.

— No cóż, nie chciałbym nadmiernie wyolbrzymiać tej kwestii. Pan Burr jest jednak członkiem IAB równie dobrym jak i pan, panie Sollenar. W każdym bądź razie, były także inne problemy z licencjonowaniem EV, spowodowane bardzo wysokimi kosztami związanymi z wyposażeniem stacji nadawczych i urządzeń przekaźników sieciowych dla tego rodzaju transmisji.

— Tak, były.

— W końcu, jednak, udało się to panu. Wykazał pan, całkiem słusznie, że wystarczy aby tylko jedna stacja dokonała tej zmiany, oraz kilka odbiorników EV zostało umieszczonych w miejscach publicznych na obszarze obsługiwanym przez tę stację, a normalne firmy TV nie będą w stanie konkurować z nią o zyski reklamowe.

— Tak.

— A więc, ostatecznie pańskie problemy zostały rozwiązane parę dni temu, kiedy pańska EmpaVid Unlimited – proszę wybaczyć; kiedy EmpaVid, firma zależna od Sollenar Corporation – stała się głównym udziałowcą Transworld TV Network.

— **N**ie rozumiem, panie Ermine – stwierdził Sollenar. — Dlaczego pan mi o tym wszystkim mówi? Czy próbuje pan zademonstrować mi rozmiary swojej wiedzy? Wszystkie te transakcje, zgodnie ze Statutem, są już jedynie kwestią zapisów w poufnych rejestrach IAB.

Ermine uniósł palec po raz drugi.

— Zapomina pan, że jestem tutaj tylko po to, aby udzielić panu pewnej rady. Mam dwie rzeczy do powiedzenia. Oto one:

— Te transakcje są w rejestrach IAB, ponieważ dotyczą one wielu członków IAB oraz coraz większych zasobów kapitałowych. Ponadto wyłączność Transworld, zgodnie ze Statutem IAB, będzie obowiązywać tylko do czasu osiągnięcia nasycenia rynku na poziomie trzydziestu trzech procent. Jeśli to EV jest tak dobre, jak się wydaje, chwila ta nastąpi dosyć szybko. Potem, jak mówi Statut, IAB będzie zwolnione z utrzymywania efektywnej ochrony przeciwko naruszeniom patentowym przez konkurentów. Wtedy wszyscy członkowie IAB i większość kapitału, którym oni dysponują, zostanie zaangażowana w EV. Większość tego kapitału już teraz podlega ruchom wyprzedzającym. A więc, los całej tej wysoce złożonej konstrukcji, już obecnie ostatecznie zależy od integralności Sollenar Corporation. Jeżeli akcje Sollenar stracą na wartości, nie tylko pan, ale wielu członków IAB znajdzie się w ogromnych kłopotach. Co, innymi słowy, oznacza że EV musi odnieść sukces.

— Wiem o tym wszystkim! I co z tego? Nie ma w ogóle ryzyka. Sprawdziłem każdy patent związany z EV, jaki powstał na Ziemi. Z wprowadzeniem systemu EV nie będą się wiązać żadne katastroficzne efekty przejściowe.

Ermine zauważył:

— Ale są również inżynierowie na Marsie. Inżynierowie Marsjanie. Oni są wymierającą rasą, ale nikt nie wie, czego jeszcze są w stanie dokonać.

Sollenar uniósł swoją wielką głowę.

Ermine dodał:

— Dzisiaj, późnym wieczorem, moje biuro dowiedziało się, że Cortwright Burr przez parę ostatnich tygodni prowadził bliskie konsultacje z Marsjanami. Zbudowali dla niego jakiegoś rodzaju maszynę. Przyleciała ona statkiem, który wylądował na Facility parę chwil temu.

Dłonie Sollenara zacisnęły się w pięści. Światła zgasły raptownie, i ponownie się zapaliły, a w całym pomieszczeniu coś zajęczało. Z tarasu dobiegł okrzyk zaskoczenia, a po nim dźwięk tłuczonego szkła.

Pan Ermine skinął głową, pożegnał się i wyszedł.

Kilka chwil później, pan Ermine opuścił Sollenar Building na poziomie dla pieszych. Przeszedł przez pieczołowicie zaprojektowany ogród, i dalej nad piniącym się strumykiem, w stronę centralnego deptaka

spacerowego biegnącego wzdłuż Alei. Przystanął przy żywopłocie, aby zerwać kwiat i rozkoszować się jego zapachem. Ruszył dalej, trzymając go w swych nagich palcach.

## II

**Z**awieszony na nici swej przedzarki, Rufus Sollenar unosił się w powietrzu ponad budynkiem Cortwrighta Burra.

Budynek, jak jakiś pająk, dotykał ziemi tylko czubkami nóg. Rozkładał je szeroko na wszystkie strony, tworząc nisko zawieszoną masę, rozpościerającą się jak parasol nad kilkoma kwartałami ulic w centrum miasta. Sollenar manipulując wypełnionym helem plastikowym latawcem, wiszącym wysoko w górze, sterował swoim lotem strugami sprężonego gazu z plastikowych butli wbudowanych w konstrukcję latawca.

W całym tym systemie, tylko sam Sollenar nie był zupełnie przezroczysty dla miejskich radarów anti-samolotowych. On zaś był owinięty w długie, łopocące taśmy z ziemiście czarnej, metalicznej tkaniny. Dla ludzkiego oka stanowił amorficzny obiekt, nie odbijający światła. Dla sensorów elektronicznych był tylko kłębkim zakłóceń, wyglądając jak arkusz metalowej folii uniesiony przez wiatr z jakiejś beztrąsko pozostawionej sterty śmieci. Dla wszystkich zmysłów, wszystkich zainteresowanych, w ogóle niemalże nie istniał – i, dlatego, dawało mu to doskonałą sposobność dokonania zabójstwa.

Złapał się okna Burra. W środku był mężczyzna, siedział pochylony nad biurkiem. Co on trzymał w dłoniach – jakiś flakon?

Sollenar odpiął uprząż od siebie i przypiął ją do krawędzi gzymsu. Odchylając się na nim, zaparty gąbczastymi podeszwami butów o szkło, dotknął lewą dłonią okna i zatoczył nią koło. Nacisnął, rozległo się stłumione stuknięcie na pokrytej dywanem podłodze biura Burra i ostatnia bariera dla Sollenara zniknęła. Złożył się wpół, podkurczając kolana do piersi, i wyrzucił się do przodu, trzymając w prawej dłoni pistolet gładkolufowy. Potknął się i upadł na kolana, ale broń trzymał wycelowaną.

Burr podskoczył do góry za swoim biurkiem. Mała kula z pomarańczowo-złotego metalu, poznaczona ciemniejszymi brązowymi smugami i pokryta z robaczkami inkrustacji, ciągle znajdowała się w jego dłoniach.

— To on! — wykrzyknął Burr, kiedy Sollenar wystrzelił.

Łapiąc oddech, Sollenar obserwował jak ładunek trafia w Burra. Odrzucił jego tułów do tyłu szybciej, niż głowa i kończyny były w stanie za nim podążyć, bez wymachu. Wytłumiony pistolet był niemal bezgłośny. Burr, z przestrzeloną pierśią, lecąc plecami do tyłu, uderzył o ścianę.

**B**lady Sollenar, z trudem powstrzymując mdłości, ruszył aby zabrać złotą kulę. Zastanawiał się, gdzie Szekspir mógł coś takiego zobaczyć, że wiedział iż stary człowiek może mieć w sobie aż tyle krwi.

Burr wyciągnął do niego rękę z nagrodą. Wpatrujący się w niego oczyma rozszerzonymi przez ciśnienie hydrostatyczne, z ubraniem poznaczonym rdzawymi plamami, i tułowiem zmienionym w kłęb połamanych kości, Burr oderwał się od ściany i ruszył, jakby miał zamiar złapać Sollenara w ramiona. To dziwne, ale ciągle jeszcze żył.

Cały drżący, Sollenar ponownie wystrzelił.

I znów Burr został odrzucony do tyłu. Kiedy po raz kolejny wylądował plecami na ścianie, kula wyleciała mu spomiędzy rozluźnionych palców.

Flakon, pomarańcza, czy cokolwiek innego – wyglądało to na coś cennego.

Sollenar pogonił za odtaczającą się kulą. A Burr przesunął się, żeby przeciąć mu drogę, niemalże pozbawiony twarzy, jakby przygarbiony przez jakiś ogromny niewidoczny ciężar, który powoli poddawał się w miarę jak jego plecy coraz bardziej trzeszczały.

Sollenar zrobił krok do tyłu.

Burr zrobił krok w jego stronę. Złota kula leżała w przeciwległym kącie biura. Sollenar z desperacją uniósł pistolet i wystrzelił po raz trzeci. Burr zatoczył się kilka kroków do tyłu, młócąc rękoma jak wiatrak i upadł na jego nagrodę.

Łzy spłynęły Sollenarowi po policzkach. Przesunął jedną stopę do przodu... a leżący w kącie Burr uniósł głowę, i zaczął zbierać swoje ciało, wyętzając siły aby wstać.

Sollenar wycofał się do okna, pistolet szarpnął mu kilkukrotnie dłoń i łokieć, kiedy wystrzelił pozostałe naboje w magazynku.

Ciężko dysząc wszedł na parapet okna i przepiął uprząż do swojego ciała, oglądając się przez ramię do tyłu... kiedy Burr – gubiąc kawałki ciała, brocząc krwią i czymś gorszym niż krew – ruszył naprzód przez biuro.

Puścił się ramy okiennej i niezgrabnie manipulował sterami latawca. Daleko w górze, płynny balast wyciekł z pojazdu i rozproszył się w powietrzu na długo przedtem zanim doleciał do ziemi. Sollenar zaczął nabierać wysokości, szlochając...

A Burr stał w oknie, trzymając roztrzaskane dłonie na krawędzi wyciętego koła, patrząc nieustannie swoimi rozszerzonymi oczyma i nie spuszczać wzroku z Sollenara lecącego po tajemniczo wyglądającym niebie.

**W** miejscu, w którym wylądował, to jest na dachu jednego z należących do niego budynków, Sollenar miał naszykowane urządzenie do zniszczenia broni i innych charakterystycznych rzeczy. Chwilowo odsunął od siebie pytanie, dlaczego Burr nie chciał umrzeć. Z pustymi rękoma, powrócił do swojej dzielnicy w rezydencjalnej części miasta.

Wszedł do swego biura, wezwał adwokatów i przekazał im dokładną godzinę wyjścia i powrotu. Wiedział, że kwestia kontaktów z miejskimi władzami, w ten sposób została rozwiązana. Było to dosyć proste, bez żadnych świadków, którzy komplikowaliby sprawę. Zaczął żałować, że był taki niezdecydowany, i że nie zabrał Burrowi rzeczy po którą przybył. Przecież z pewnością, jeżeli pistolet nie zabił tego człowieka – starca o wątych kończynach i poplamionej skórze – mógł sam odepchnąć siłą na bok tego zakrwawionego starca o cienkich rączkach – tego poplamionego starca – i wyrwać się razem ze swą nagrodą z powrotem do okna, bo przecież jedyne co ten starzec mógł zrobić, to czepiać się go, chwytać go za nogi i próbować złapać się jego taśm maskujących – ten przeklęty nieśmiertelny starzec.

Sollenar uniósł dłoń. Wielkie okno na miasto zrobiło się nieprzejryste.

Bess Allardyce zastukała delikatnie w drzwi od strony tarasu. Można by pomyśleć, że wróciła do swojego apartamentu już wiele godzin temu. W pokrętny sposób zadowolony, otworzył drzwi i uśmiechnął się do niej, czując jak wysuszone ślady po łzach pękają mu na skórze policzków.

Chwycił ją za wyciągnięte dłonie.

— Czekałaś na mnie — westchnął. — Już od dawna nikt tak piękny jak ty na mnie nie czekał.

Odpowiedziała mu uśmiechem.

— Wyjdźmy na dwór i popatrzmy na gwiazdy.

— Nie jest za chłodno?

— Zrobiłam dla nas gorący korzenny cydr. Możemy go pić i rozmyślać.

Pozwolił jej wyciągnąć się na dwór, na taras. Oparł się o barierkę, otaczając ręką jej pulsującą talię i rozciągnąwszy swą pelerynę na ramiona ich obojga.

— Bess nie zapytam cię, czy zostaniesz ze mną niezależnie od okoliczności. Ale mogą nadejść chwile, kiedy nie zdołam znieść już dalszego życia w tym mieście. Co o tym sądzisz?

— Nie wiem — odparła szczerze.

A Cortwright Burr przełożył rękę przez krawędź parapetu, pomiędzy nimi.

**S**ollenar gapił się z niedowierzaniem na napięte palce, utrzymujące cały ciężar ciała człowieka zwisającego na pionowej ścianie budynku. Rozległo się szuranie, szelest, i do góry przesunęła się druga ręka, szukając na ślepo uchwytu. Znalazła go, wczepiając się w kamień. Palce napięły się i rozpląszczyły pod ciężarem Burra, próbującego podciągnąć głowę i ramiona ponad poziom barierki.

Bess wydyszała:

— Och, popatrz tylko na nie! Musiał je straszliwie pozdzierać, wspinając się tak na górę! — Potem odsunęła się od Sollenara i stała patrząc na niego, z ręką przyciśniętą do ust. — Ale przecież on nie mógł się tutaj wspiąć! Jesteśmy tak wysoko!



Sollenar zaczął uderzać w palce nasadą dłoni, zadając proste, wytrenowane ciosy, których nauczył się w swym klubie sportowym.

Kości rozszczepiły się na kamieniu. Kiedy kłykcie uległy połamaniu, ręce zniknęły w jednej chwili, pozostawiając po sobie jedynie smugi. Sollenar wyrzął poza balustradę. W oddali zmniejszał się bury tłumok, rysując się cieniem na tle światła poziomu dla pieszych i Alei. Skurczył się do wielkości łebka od szpilki. Następnie, kiedy doleciał do strumyka i woda wytrysnęła na wszystkie strony, zniknął w finalnym rozbłysku światła, użyzonego przez mrowie okolicznych latarni, które znalazły na dole chwilowe odbicie.

— Bess, zostaw mnie! Zostaw mnie, proszę! — wykrzyknął Rufus Sollenar.

### III

**R**ufus Sollenar krążył po biurze, trzymając ręce bezpiecznie przed sobą, z rozłożonymi sztywno palcami.

Zadzwieczał telefon i odezwała się jego sekretarka:

— Panie Sollenar, jeszcze dziesięć minut i spóźni się pan na Bal Kierownictwa TTV. To zobowiązanie pierwszej klasy.

Sollenar roześmiał się.

— Myślałem, że takie jest, kiedy oryginalnie je klasyfikowałem.

— Czy teraz planuje pan zrezygnować, panie Sollenar? — uprzejmie spytała go sekretarka.

Pewnie, pomyślał Sollenar. Równie łatwo mógł zrezygnować z Balu, jak król mógł zrezygnować ze swej koronacji.

— Burr, ty śmieciu, co ty mi zrobiłeś? — spytał puste powietrze, a telefon oznajmił:

— Słucham?

— Powiedz mojemu służącemu — odparł Sollenar, — że idę.

Rozłączył rozmowę. Złożył ręce na piersiach. Pewny uchwyt na pustce, może być lepszy niż jakakolwiek nagroda w połamanych palcach.

Czując w piersiach coś, czego sam przed sobą nie chciał uznać za zgrozę, Sollenar przygotował się do Balu.

Ale zaledwie parę chwil po tym, jak zakończyła się pierwsza tura tańców, Malcolm Levier, z kierownictwa miejscowej stacji TTV, popatrzył ponad ramieniem Sollenara i zauważył:

— Och, tam jest Cort Burr, wygląda jakby urwał się z szubienicy.

Sollenar lśniący w stroju z epoki Medyceuszy, nie odwrócił nawet głowy.

— To on? A co by miał tu do roboty?

Brwi Leviera wygięły się w łuki.

— Ma trochę akcji. Dają mu one prawo wejścia. Ale spóźnił się. — Usta Leviera wykrzywiły się w uśmiechu. — Zrobienie sobie takiego makeupu musiało mu zająć trochę czasu.

— W niezbyt dobrym guście, co?

- Niech pan sam popatrzy.
- Och, zrobię coś znacznie lepszego — odparł Sollenaar. — Podejdę do niego i chwilę porozmawiam. Proszę mi wybaczyć, Levier.  
I dopiero wtedy odwrócił się i od razu ruszył w stronę Burra.

**A**le Cortwright Burr, kiedy Sollenaar podszedł do niego bliżej, wyglądał jak tandetna imitacja siebie samego. Stał obok drzwi, ubrany w czarne i szkarłatne szaty, z czarnymi skórzanymi rękawiczkami na dłoniach, trzymając laskę ze starego naturalnego drewna. Twarz ocieniał mu kaptur z płótna workowego, skrywając głęboko oczy. Widać było że jest ona upudrowana na szaro, a odrobina wymieszanych bardziej jaskrawych kolorów, ożywała mu policzki. Stał bez ruchu, kiedy Sollenaar do niego podszedł.

Kiedy Sollenaar przemierzał salę, oczy gapiów podążały za nim, śledząc każdy krok, i dalej przedłużając kierunek jego marszu, odnajdywały czekającego Burra. Szmer rozmów na Balu, przycichł wyczuwalnie, ale pomniejsi uczestnicy nadal w pewnym zakresie go podtrzymywali. Ludzie, którzy naprawdę się liczyli, milczeli i obserwowali uważnie.

Myślano, że Burr, pokonany w interesach, przybył tutaj, w tym ponurym, ohydny przebraniu, jako jakiś obłąkańczy wyrzut sumienia. Przecież on wyglądał jak trup. Albo nawet gorzej.

Pytanie brzmiało, co na to powie Sollenaar. Powszechnym życzeniem było, aby Burr się stąd wyniósł, wrócił do swojej posiadłości, albo wyprowadził się do innego miasta. Nowy Jork nie był już dla Cortwrighta Burra. Ale co Sollenaar może mu teraz powiedzieć aby go stąd przegnać, w jakieś miejsce do którego on sam nie miałby ochoty się udać?

— Cortwright — powiedział Sollenaar tak że mogli to słyszeć tylko oni dwaj. — A więc ta twoja marsjańska nieśmiertelność działa.

Burr nic nie odpowiedział.

— Dodatkowo dostałeś również i to, co? Wiedziałeś, jak zareaguję. Wiedziałeś, że będziesz potrzebować ochrony. Zapłaciłeś Marsjanom, żeby uczynili cię fizycznie odpornym? To dobry system. Robi ogromne wrażenie. Kto by pomyślał, że Marsjanie tak wiele potrafią? Ale kto tutaj zwróci na ciebie uwagę? Wynoś się z miasta, Cortwright. Straciłeś swoją szansę. Jesteś martwy, przynajmniej jeśli chodzi o tych ludzi – wszystko co ci pozostało, to tylko cała skóra.

Burr wyciągnął rękę do góry i ukradkiem uniósł róg osłaniającej go maski. I tak, pod spodem to był on. Kaptur cofnął się o cal, jego oczy pokazały się w świetle; i Sollenaar wiedział już, że się mylił. Z Burra pozostało mniej niż myślał.

— Och, nie, nie, Cortwright — miękko powiedział Sollenaar. — Nie, masz rację – nie jestem w stanie wytrzymać czegoś takiego.

Odwrócił się i skłonił zebranemu towarzystwu.

— Dobranoc! — wykrzyknął i wyszedł z sali balowej.

Ktoś szedł za nim korytarzem do wind. Sollenaar nie obejrzał się za siebie.

— Mam teraz umówione kolejne spotkanie z panem — powiedział Ermine, przytrzymując go za łokieć.

**Z**naleźli się na poziomie ruchu pieszego. Sollenar zaproponował.

— Chodźmy do kawiarni. Tam możemy pomówić.

— To zbyt publiczne miejsce, panie Sollenar. Lepiej po prostu rozmawiajmy, spacerując. — Ermine lekko wziął go pod ramię i skierował na chodnik. Sollenar zauważył, że Ermine był tak sprytnie przebrany, że nikt nie byłby w stanie nawet domyślić się jego wyglądu.

— Bardzo dobrze — zgodził się Sollenar.

— Oczywiście.

Spacerowali razem, niby zupełnie przypadkowo. Ermine rozpoczął:

— Burr chce doprowadzić do pańskiej śmierci. Czy to dlatego, że pan próbował zabić go wcześniej? Czy zdobył pan ten jego marsjański sekret?

Sollenar pokręcił głową.

— Nie udało się panu — westchnął Ermine. — To niefortunna okoliczność. Będę musiał podjąć odpowiednie kroki.

— Na podstawie Statutu — oświadczył Sollenar, — domagam się *laissez faire*, żądam nieingerencji.

Ermine uniósł wzrok, w oczach pojawiły mu się błyski.

— *Laissez faire*? Panie Sollenar, czy ma pan pojęcie, los jak wielu naszych członków zależy od pańskiego? Oni wszyscy, panie Sollenar, zawołają do pana *laissez faire*, ale pan najwyraźniej upiera się, żeby pociągnąć ich w dół razem ze sobą. Nie, proszę pana. Panie Sollenar, moje biuro natychmiast przekaże rekomendację dla Technicznego Komitetu Doradczego IAB, że według nas pan Burr dysponuje systemem lepszym od pańskiego, i dlatego akcji Sollenar Incorporated najlepiej jak najszybciej się pozbyć.

— Tam jest ławka — wskazał Sollenar. — Usiądźmy.

— Jak pan sobie życzy — Ermine podszedł z Sollenarem do ławki, ale nie usiadł.

— O co chodzi, panie Sollenar?

— Potrzebuję pańskiej pomocy. Poinformował mnie pan o tym, co ma Burr. To ciągle jest gdzieś w jego biurówcu. Pan ma odpowiednie zasoby. Możemy to zdobyć.

— *Laissez faire*, panie Sollenar. Odwiedziłem pana tylko jako doradca. Nic więcej nie mogę zrobić.

— A czy dla udziału w moich interesach, mógłby pan zrobić więcej?

— Pieniądze? — zachichotał Ermine. — Dla mnie? Czy zna pan warunki mojego zatrudnienia?

**G**dyby Sollenar trochę się zastanowił, na pewno by o tym pamiętał. Z wahaniem wyciągnął rękę, żeby powstrzymać swego rozmówcę. Ermine go uprzedził.

Ermine obnażył swoją lewą rękę i zatopił w niej zęby. Pokazał rękę. W jego głosie ani zachowaniu nie było nawet śladu drżenia bólu.

— To nie jest legenda, panie Sollenar. To absolutna prawda. Pracownicy naszego biura muszą spędzić rok, po operacji nerwów, ucząc się chodzenia bez czucia w nogach, noszenia różnych rzeczy tak aby ich nie zgnieść, nie pozwolić im upaść na ziemię, ani samemu sobie nie zrobić krzywdy. Nasze doczesne przyjemności ograniczają się do słuchowych, zapachowych oraz wzrokowych. Łatwo je zaspokoić niewielkim kosztem. Nasze marzenia, są w pełni wewnętrzne, panie Sollenar. Operacja jest nieodwracalna. Co mógłby mi pan kupić za swoje pieniądze?

— Co mógłbym kupić dla siebie samego — głowa Sollenara opadła między ramiona.

Ermine pochylił się nad nim.

— Rozpacz, jaką pan czuje, to pańska prywatna rzecz, panie Sollenar. Nasze sprawy mają oficjalny charakter.

Uniósł wskazującym palcem podbródek Sollenara.

— Oceniam, że fizyczna ingerencja byłaby tym razem nieuzasadniona. Ale sprawy muszą zostać załatwione w taki sposób, aby związani z panem członkowie IAB, mogli odzyskać kwoty zainwestowane w EV. Czy to jest zupełnie jasne, panie Sollenar? Niniejszym zostaje pan na mocy Statutu uznany jako objęty nakazami Specjalnego Biura Public Relations. — Rzucił okiem na zegarek. — Notatka została sporządzona o godzinie 1:27, czasu Miasta.

— Godzina 1:27 — powtórzył Sollenar. — Czasu Miasta.

Zerwał się na nogi i popędził po schodach na dół, na poziom taksówek.

Pan Ermine obserwował go z zagadkowym wyrazem twarzy.

Otworzył kieszeń swojego stroju, wyciągnął z niej powszechnie wykorzystywany zestaw medyczny i rozpylił koagulant na ranę na przedramieniu. Schował zestaw, uporządkował ubranie i pomaszerował na dół, tymi samymi schodami, którym zbiegł Sollenar. Uniósł rękę i koło niego wylądowała taksówka. Pokazał kierowcy kartę i taxi wystrzeliło w górę razem z nim w środku, ze światłami zapalonymi we wzorcu Pierwszeństwa, daleko szybciej niż mógł to zrobić pojazd Sollenara, ograniczany zwykłym limitem prędkości dozwolonym na mocy prawa.

#### IV

**L**ong Island Facility strzelało w gwiazdy łukami i rozpiętymi wspornikami, błyszczało jak klejnot, szkłem i metalem, tak jakby cały port był jednym wielkim mechanizmem służącym do lotu w przestrzeni międzyplanetarnej. Rufus Sollenar pokonywał jego esplanady, starannie odmierzonymi krokami, sztywno, trzymując nieruchomo ręce, przez cały ten krótki czas, zanim nie mógł w końcu wejść na pokład rakiety na Marsa.

Wyprostowany i majestatyczny, zajął miejsce w salonie i ostrożnie pociągnął łyżeczek likieru, zaś w tym czasie liniowiec wystartował z Ziemi i włączył silniki głównego napędu Faradaya.

Pan Ermine usiadł w fotelu obok niego.

Sollenar popatrzył na niego spokojnie.

— Tak też myślałem.

Ermine skinął głową.

— Oczywiście, że pan myślał. Ani na chwilę pana nie zgubiłem. Dotarłem tutaj jeszcze przed panem. Nie mam obiekcji co do pańskiej podróży na Marsa, panie Sollenar. *Laissez faire*. Pod warunkiem, że będę mógł lecieć z panem.

— No cóż — westchnął Sollenar. — Odrobinę likieru? — Skinął swoim kieliszkiem.

Ermine pokręcił przecząco głową.

— Nie, dziękuję — odparł delikatnie.

Sollenar spytał:

— Nawet język?

— Oczywiście, że język także, panie Sollenar. Nie mogę niczego skosztować, nie mogę niczego dotknąć. Ale nie czuję też żadnej presji.

— A więc dobrze — stwierdził rzeczowo Sollenar. — Mamy parę godzin do czasu lądowania. Może pan sobie siedzieć i snuć swoje wewnętrzne marzenia, a ja będę snuł swoje.

Pokręcił się we wszystkie strony w swoim fotelu, wygodniej się rozsiadając, i złożył ręce na piersi.

— Panie Sollenar — łagodnie powiedział Ermine.

— Tak?

— Po raz kolejny jestem z panem umówiony na spotkanie, zgodnie z zapisami Statutu.

— Proszę więc mówić, o co tym razem panu chodzi, panie Ermine.

— Nie możemy pozwolić, aby pan zaginął bez wieści, panie Sollenar. Zawarte zostały polisy ubezpieczeniowe na pańskie życie, na bardzo wysokie kwoty. Członkowie IAB, których to dotyczy, nie mogą czekać wymaganych przez prawo siedmiu lat, zanim zostanie pan uznany za zmarłego. Może pan robić wszystko, na co ma pan ochotę, panie Sollenar, ale ja muszę zadbać o to, aby być świadkiem pańskiej śmierci. Od tej chwili, będę panu towarzyszył, gdziekolwiek pan się uda.

Sollenar uśmiechnął się lekko.

— Nie mam zamiaru umierać. Dlaczego miałbym umrzeć, panie Ermine?

— Nie mam pojęcia, panie Sollenar. Ale znam charakter Cortwrighta Burra. A czy to nie on siedzi tam, w rogu? Światło jest kiepskie, ale wydaje mi się, że można go rozpoznać.

Po drugiej stronie salonu Burr uniósł głowę i popatrzył Sollenarowi w oczy. Uniósł dłoń w okolice głowy, być może po prostu w geście powitania. Rufus Sollenar odwrócił się twarzą do niego.

— Godny przeciwnik, panie Sollenar — stwierdził Ermine. — Wytrwały, zawzięty, pomysłowy człowiek. A jednak... — Ermine zdawał się być

odrobinę zakłopotany. — A jednak, panie Sollenaar, wydaje mi się, że dosyć łatwo pana pogonił. Co się stało między wami, po naszej pierwszej rozmowie?

Sollenaar obdarzył Ermine'a straszliwym uśmiechem.

— Postrzelałem go jak rzeszoto. Gdyby zerwał mu pan tę twarz, to sam by pan zobaczył.

Ermine westchnął.

— Aż do tej chwili, ciągle jeszcze myślałem, że może jakoś uda się panu uratować swoje sprawy.

— Litość, panie Ermine? Litość dla obłąkanego?

— Zainteresowanie. Nie mogę stać się częścią pańskiego świata. Niech pan będzie wdzięczny opatrności, panie Sollenaar. Nie jestem już tym samym łatwowiernym człowiekiem, jakim byłem wtedy kiedy podpisałem swój kontrakt z IAB, wiele lat temu.

Sollenaar roześmiał się. Potem obrzucił ukradkowym spojrzeniem ką, w którym siedział Burr.

**S**tatek wylądował w porcie Aberathy Field w Aresji, ziemskim mieście. Była to zgiełkliwe zbiorowisko przemysłowych, prefabrykowanych, tandetnie zbudowanych i odpornych na burze budynków, ale zbiorowisko dumnie stojące na skraju pustyni.

Daleko na horyzoncie widać było osadę Marsjan – budynki tak umiejętnie wplecione w szczegóły terenu, tak zniszczone przez upływ czasu, tak bardzo opustoszałe, że niepoinformowany człowiek nawet by go nie zauważył. Sollenaar był już kiedyś na Marsie – na wycieczce. Widział tubylców w tym ich nienazwanym nawet, miejscu zamieszkania; aroganckich, pełnych złości i słabych. Opłacony przewodnik powiedział mu, że handlowali z Ziemianami, na tyle na ile mieli na to ochotę, i trzymali swoje miasto na obrzeżu terenu zajętego przez Ziemian, bacznie obserwując.

— Niech pan mi powie, Ermine — spytał spokojnie Sollenaar, kiedy szli przez halę terminalu, — ma pan mnie zabić, nieprawdaż, gdybym spróbował dalej wyruszyć bez pana?

— To kwestia procedury, panie Sollenaar — odparł bez wahania Ermine.

— Nie możemy ryzykować utraty kapitału zainwestowanego przez tak wielu członków IAB.

Sollenaar westchnął.

— Gdybym to ja był jednym z tych członków, nie mógłbym panu polecić niczego innego, panie Ermine! A więc, czy gdzieś w okolicy możemy wynająć sobie samochód?

— Chce pan spotkać się z inżynierami? — zapytał Ermine. — Kto by pomyślał, że oni mogą mieć coś cennego na sprzedaż.

— Chcę im coś pokazać — wyjaśnił Sollenaar.

— Co takiego, panie Sollenaar?

Skręcili w szeroki korytarz, z odgałęziającymi się tu i ówdzie dalszymi przejściami, w niektórych z nich było zupełnie pusto.

— Chodźmy tutaj — powiedział Sollenaar, kiwając głową w kierunku jednego z nich.

Hala i główny korytarz, zniknęły im już z oczu.

— Chodźmy — ponaglił Sollenaar. — Jeszcze kawałek.

— Nie — sprzeciwił się Ermine. — Zaszliśmy już dalej, niż bym sobie naprawdę życzył. Tutaj jest ciemno.

— Mądry, ale ponieważ, panie Ermine — powiedział Sollenaar, a jego ręce wystrzeliły w błyskawicznych uderzeniach.

Jedna dłoń uderzyła w splot słoneczny Ermine'a, a druga w mięśnie na boku jego szyi, ale nie na tyle mocno aby go zabić. Ermine upadł, próbując złapać oddech, podczas gdy Sollenaar w myślach przeklął swoją świeżo wpojoną mu niechęć do zabijania. Potem Sollenaar odwrócił się i zaczął uciekać.

Leżące za nim ciało Ermine'a z wysiłkiem usiłowało złapać oddech, działając wyłącznie na zasadzie odruchu bezwarunkowego.

Poruszając się najszybciej jak tylko śmiał, Sollenaar wrócił do sali i udał się na postój taksówek, ściągając po drodze z wiszącej na ścianie półki, respirator. Wsiadł do samochodu i podał miejsce docelowe, oglądając się za siebie. Nie dostrzegł nigdzie Cortwrighta Burra, od chwili kiedy postawił stopę na Marsie. Wiedział jednak, że wcześniej czy później, Burr go znajdzie.

Kilka chwil potem Ermine pozbiierał się na nogi. Samochód Sollennara był już daleko. Ermine wzruszył ramionami i udał się do miejscowej stacji nadawczej.

Zażądał prywatnej kabiny, broni palnej i natychmiastowego czasu na wewnętrznej linii między biurami IAB, na Ziemię. Kiedy z jego biura dotarło do niego potwierdzenie nawiązania połączenia, zameldował:

— Sollenaar jest w drodze do miasta Marsjan. Oczywiście, chce kopii urządzenia które otrzymał Burr, ponieważ rozbił oryginał kiedy zabił Burra. Udam się za nim i dokonam ostatecznego usunięcia. Dezorientacja, o której meldowałem poprzednio szybko postępuje. Niemal wszystkie jego reakcje są w tej chwili niewłaściwe. W czasie lotu w kosmosie, wydawał się widzieć kogoś siedzącego w pustym fotelu. Dostyc często, kiedy do niego mówiłem, ewidentnie słyszał coś zupełnie innego. Spodziewam się zdążyć na któryś z najbliższych lotów powrotnych.

Nie było sensu czekać na odpowiedź, która musiała pokonać długą drogę z Ziemi. Ermine wyszedł więc. Podszedł do rzędu czekających taksówek i zapłacił podwyższoną opłatę za przewóz poza granice Aresji.

**Z** bliskiej odległości marsjańskie miasto wyglądało jak bezładna kupa odłamków potłuczonych naczyń. Fragmenty ścian i dachów łączyły się pod najdzikszyimi kątami i wskazywały na nic. Pod pośpiesznie przesuwanymi stopami Sollennara, grzechotały i ześlizgiwały się odłamki szklatego materiału, nie tworzące żadnych kształtów pasujących do czegokolwiek sensownego, ani mozaik które mogłyby się znaleźć w jakimkolwiek kościele.

To, co z Aresji wyglądało na solidny fronton ciemnobrązowego koloru, teraz okazywało się fasadą pokrytą czerwonymi, zielonymi i niebieskimi plamami, rozchłapanymi na niej całe setki lat temu, i dlatego mocno już spłowiałymi, widocznymi tylko na tyle aby było można było rozpoznać jak bardzo gryzącymi się kolorami kiedyś zostały zrobione. Nad wszystkim rozpościerało się śliwkowe niebo, wyglądające jak zimna membrana. A do tego dochodził wiejący nieustannie wiatr.

W trakcie swego marszu Sollenaar dostrzegł tu i ówdzie ręce i głowy Marsjan wystające spod gruzu. Rzeźby.

Zmierzał w kierunku serca miasta, gdzie ostało się parę niezniszczonych budowli. Na wierzchołku jednego ze stosów odłamków, odwrócił się i popatrzył do tyłu. Widać było pióropusz kurzu wzniesany przez jego taksówkę, wracającą do miasta. Spodziewał się, że będzie wracał na piechotę – być może po to, by spotkać kogoś na swej drodze, będąc zupełnie sam na marsjańskiej równinie, jeśli Ermine zdoła powstrzymać się przed interwencją. Przeszukując wzrokiem płaską krainę, rozciągającą się daleko w rzadkim powietrzu, usiłował wychwycić niestrudzony punkcik Cortwrighta Burra. Nie udało mu się. Jeszcze nie.

Odwrócił się i zbiegł po niepewnym zboczu.

Dotarł do obrzeża lepiej utrzymanego obszaru. Tutaj gruzu nie było, pradawne chodniki były zamiecione, posągi stały wyprostowane na swych postumentach. Ale tylko pokruszone ściany sugerowały miejsce frontonów stojących tutaj domów. Przebijając się ścianami w górę, przez pofalowany wiatrami piasek, który tylko nieustanne starania pozwalały usunąć z ulic, te cienie domów ogradzające jego drogę i posągi, trwały nie poddając się, jak nadzieja. Przed sobą zobaczył budynki inżynierów. Nie było żadnej sterty gruzu, na którą mógłby wejść i sprawdzić, czy Ermine nie podąża już, tuż za jego plecami.

Wdychając powietrze ze swego respiratora, dotarł do budynku marsjańskich inżynierów.

Wzdłuż framugi drzwi zwisał pas dzwonka. Pociągnął ostro, wbijając w niego paznokcie i wzdłuż pustych ścian rozszedł się echem ostry grzechot, sygnalizujący jego prośbę o wpuszczenie do środka.

## V

**D**rzwi otworzyły się i stanęli w nich Marsjanie, spoglądający na przybysza. Mieli wrzecionowate kończyny, twarze obramowane przez fałdy skórzastej tkanki. Ich usta obwiedzione były podobną do wargi osłoną z twardego jak proteza zębowa rogu, zaciśnięte i zawsze jakby gotowe do żucia. Sollenaar widział, że nie byli specjalnie mili zarówno z wyglądu, jak i w kontaktach. Ale Cortwright Burr jakoś tego dokonał. A Sollenaar również musiał to zrobić.

— Czy ktoś tu mówi po angielsku? — zapytał.



— Ja — oznajmił Marsjanin stojący pośrodku, otwierając usta tylko po to by wydać dźwięk, zamykając je natychmiast po zakończeniu odpowiedzi.

— Chciałbym z tobą ubić interes.

— W każdej chwili — powiedział Marsjanin i stojąca w wejściu grupa rozdzieliła się, aby wpuścić Sollenara do środka.

Zanim zamknęły się za nim drzwi, Sollenar obejrzał się. Ale sterty gruzu z porzuconych sektorów miasta zasłaniały mu widok na pustynię.

— Co możesz zaoferować? I czego chcesz? — zapytał Marsjanin. Sollenar stał, na wpół otoczony utworzonym przez nich półkolem, w pomieszczeniu, którego kątów nie był w stanie zobaczyć w niepewnym świetle.

— Oferuję wam ziemską walutę.

Mówiący po angielsku Marsjanin – Marsjanin, który przyznawał się, że umie po angielsku – odwrócił lekko głowę i przemówił do swych towarzyszy. Kiedy jego wargi stykały się ze sobą, rozlegały się klekocące dźwięki. Inni zareagowali różnie, jeden z nich wykonał gwałtowny gest, który wydawał się być odpowiednikiem zniesmaczonego machnięcia ręką, a następnie odwrócił się i bez słowa odszedł. Jego barki wyglądały jak otulone szalem ramiona bardzo starej i bardzo głodnej kobiety.

— A co dał wam Burr? — spytał Sollenar.

— Burr. — Marsjanin przekrzywił głowę. Jego oczy nie były zbudowane z wielu faset, ale sprawiały takie wrażenie.

— On był tutaj i dobił z wami interesu. Niedawno. Na jakich warunkach?

— Burr. Tak. Burr dał nam walutę. Weźmiemy walutę od ciebie. Za tą samą rzecz, którą daliśmy jemu?

— Za nieśmiertelność, tak.

— Nie... To jakieś nowe słowo.

— Tak? Za sekret nie umierania.

— Nie umieranie? Myślisz, że mamy tutaj na sprzedaż nie-umieranie?

Marsjanin ponownie przemówił do innych. Ich wargi zaczęły klekotać. Pozostali odeszli, tak jak ten pierwszy, poruszając się z ogromną precyzją, bardzo powolnym krokiem, okazując kompletny brak dalszej tolerancji dla osoby Sollenara.

Sollenar krzyknął:

— A więc, co takiego mu sprzedaliście?

Główny inżynier odparł:

— Zbudowaliśmy dla niego urządzenie rozrywkowe.

— Niewielki przedmiot. Tych rozmiarów. — Sollenar złożył dłonie w miseczkę.

— A więc, musiałeś je widzieć.

— Tak. I nic więcej? To wszystko, co on tutaj kupił?

— To wszystko co mieliśmy do sprzedania – albo do dania. Jeszcze nie wiemy, czy Ziemianie dadzą nam rzeczy w zamian za walutę. Zobaczymy, kiedy następnym razem będziemy czegoś potrzebowali od Aresji.

Sollenar zaczął się dopytywać.

— Jak ona działała? Ta rzecz, która mu sprzedaliście.  
— Och, ona pozwala, aby każdy mógł opowiadać historie samemu sobie.

Sollenar przyjrzał się bliżej Marsjaninowi.

— Jakiego rodzaju historie?

— Każdego rodzaju — uprzejmie wyjaśnił Marsjanin. — Burr powiedział nam czego chce. Miał ze sobą rysunki urządzenia Ziemi, które używało obrazów na ekranie i transmitowanych dźwięków do przekazywania szczegółów historii opowiadanej widzowi.

— On ukradł te patenty! Nie będzie mógł ich wykorzystać na Ziemi.

— **A** czemu miałby to robić? Nasze urządzenie nie musi przekazywać żadnych precyzyjnych szczegółów. Umysł każdego odbiorcy sam sobie wypracuje własne. Trzeba go tylko wprowadzić w określoną sytuację, i od tej chwili on sam wykona już całą pracę. Jeśli widz, na przykład, zażyczy sobie historii na temat kontaktu z inną planetą, projektor po prostu spowoduje, że będzie mu się wydawało, iż następnym razem kiedy znajdzie się w towarzystwie obiektu swego pożądanego, otrzyma od niego pozytywne sygnały – że wzbudza w tym obiekcie reakcje podobne do swoich. Kiedy to już zostanie w nim utrwalone, wtedy widz może opuścić maszynę, normalnie się wszędzie poruszać, prowadzić zwykłe, codzienne życie – ale zawsze w zgodzie z podstawową sytuacją. To jest, rozumiesz, tak ostatecznie, środek do wprowadzenia systemu w obraz postrzegania rzeczywistości przez widza. Oczywiście, jego otoczenie musi zrozumieć, że zachowuje się on niezgodnie z rzeczywistością, ponieważ pewne rzeczy, które on robi nie wydają się racjonalne z punktu widzenia zewnętrznego obserwatora. Muszą więc zostać podjęte pewne środki ostrożności, ale niezbyt silne. Kiedy wiele takich urządzeń zostanie wprowadzonych do waszego społeczeństwa, wkrótce tego rodzaju okoliczności staną się czymś zwykłym, i społeczeństwo z pewnością przystosuje się do tego, aby na nie pozwolić — oznajmił Marsjanin mówiący po angielsku.

— Ta maszyna potrafi stworzyć w umyśle widza każdą sytuację, jaką się chce?

— Na pewno. Istnieją proste taśmy przygotowujące, które mogą być wprowadzone w razie potrzeby. Miłość, przygoda, rozrywka intelektualna – nie ma żadnej różnicy.

Kilku z otaczających ich widzów, wyklekotało między sobą parę dźwięków. Sollenar ukradkiem obrzucił ich wzrokiem. Oczywiście było, że pośród tych ludzi było co najmniej kilku mówiących po angielsku.

— A urządzenie, które daliście Burrowi — spytał inżyniera, ani spokojnie, ani z nadzieją. — Jakiego rodzaju historie mogli opowiedzieć sobie widzowie korzystający z niego?

**M**arsjanin znowu przekrzywił głowę. Nadało mi to wygląd sowy w oknie sypialni.

— Och, to była sytuacja, co do której zostaliśmy szczegółowo poinstruowani, aby ją włączyć. Burr powiedział, że myślał o niej wcześniej, żeby pokazać ją jednemu ze swoich znajomych. Była to sytuacja przerażającej przygody i miała kończyć się poczuciem straty i goryczą.

Marsjanin popatrzył na Sollenara jeszcze uważniej.

— Oczywiście, urządzenie nie określa żadnych szczegółów. Nikt poza widzem nie wie jak straszne stworzenia mogą zaludniać jego historię, ani szczegółowo do jakiego końca ona prowadzi. Jak sądzę, nazywasz się Rufus Sollenar? Burr mówił o tobie i wydawał z siebie odgłosy śmiechu.

Sollenar otworzył usta. Ale nie miał nic do powiedzenia.

— Chcesz takie urządzenie? — spytał Marsjanin. — Przygotowaliśmy kilka, od czasu wyjazdu Burra. Mówił coś o maszynach, które mogłyby produkować je w astronomicznych ilościach. My, oczywiście, zrobiliśmy co się dało, skromnymi siłami naszych gołych rąk.

Sollenar odparł.

— Chciałby wyjrzeć przez wasze drzwi.

— Z przyjemnością.

Sollenar otworzył lekko drzwi. Na opustoszałej ulicy stał Ermine, nieruchomy jak cień znajdujących się za nim budynków. Kiedy zobaczył Sollenara, uniósł jedną rękę w geście wymuszonego pozdrowienia, a następnie położył ją z powrotem na rękojeści pistoletu. Sollenar zamknął drzwi i zwrócił się do Marsjan:

— Ile pieniędzy byście chcieli?

— Och, wszystko co masz przy sobie. Wy, ludzie zawsze macie ich dużo ze sobą, kiedy podróżujecie.

Sollenar zanurzył dłonie w kieszeniach i wyciągnął portfel, trochę drobnych, klucze, kryształkowe radio; wyrzucił na podłogę wszystko co miał w nich w środku, słuchając brzęku toczących się monet.

— Szkoda, że nie mam tu więcej — roześmiał się. — Szkoda, że nie mam aż tyle, ile dostanie ten człowiek tam na zewnątrz, kiedy mnie zastrzeli.

Marsjański inżynier przekrzywił głowę.

— Ale twój sen się skończył, Sollenar? — zaklekotał sucho. — Czyż nie?

— Zupełna racja. Ale wy macie swoje cale, a ja mam swoje. A teraz dajcie mi jeden z tych projektorów. I ustawcie go na przygotowanie sytuacji, którą za chwilę wam nakreślę. Weźcie jednak pod uwagę, że będzie on potrzebny przez długi czas. Ta widownia jest bardzo cierpliwa.

Zaśmiał się, ale w jego oczach zebrały się łzy.

**P**an Ermine czekał, izolowany od zimna, nasłuchując, czy rękojeść broni nie wyślizgnęła mu się z palców. Nie odczuwał pokusy, aby wejść za Sollenarem do budynku Marsjan i wplątywać w to wszystko osoby trzecie.

Chciał tylko umieścić ciało Sollenara pod znacznikiem z datą śmierci, przy tak niewielu problemach, jak to tylko było możliwe.

Chwilowo więc spacerował sobie kilka kroków do przodu i do tyłu, aby utrzymać kontrolę nad mięśniami w tych ekstremalnych warunkach, spowodowanych niską temperaturą skóry. Sollenar musiał dosyć szybko wyjść na zewnątrz. Nie zabrał ze sobą zapasu żywności, i chociaż Ermine niechętnie podejmowałby ryzyko rywalizacji z człowiekiem pokroju Sollenara w konkursie na głód, nie było wątpliwości, że ktoś nie czujący smaku paliwa był w stanie przetrzymać kogoś z wykształconymi odruchami jedzenia.

Otworzyły się drzwi i wyszedł z nich Sollenar.

Coś ze sobą niósł. Może broń. Ermine pozwolił, aby podszedł bliżej, następnie uniósł i uważnie wycelowował swój pistolet. Sollenar mógł mieć jakąś marsjańską broń, albo może i nie. Ermine'a specjalnie o to nie dbał. Jeśli Ermine umrze, ledwie go to obejdzie – w znacznie słabszym stopniu, niż obeszło by go spartaczone zakończenie przydzielonego zadania, już wcześniej skopanego przez ucieczkę Sollenara w porcie kosmicznym. Jeśli Ermine umrze, niemal natychmiast do sprawy zostanie przydzielony jakiś inny agent SBPR. Nieważne co się wydarzy, SBPR zatrzyma Sollenara, zanim zdoła on dotrzeć do portu Abernathy Field.

A więc, miał mnóstwo czasu na złożenie się do niezbyt pośpiesznego, pewnego strzału.

Sollenar do tego czasu podszedł bliżej. Wydawał się być w jakimś szczególnie podnieconym stanie umysłu. Wyciągnął rękę z tym, co w niej trzymał.

Była to kolejna z maszyn rozrywkowych Marsjan. Sollenar zdawał się oferować ją Ermine'owi jako żeton za przejście. Ermine uśmiechnął się.

— Cóż mi pan może oferować, panie Ermine? — oznajmił i strzelił.

Złota kula potoczyła się po piasku.

— I co teraz — powiedział Ermine. — Czyż nie wolałby pan być mną niż sobą? I gdzie jest to, co czyniło różnicę między nami?

Zadygotał. Było mu zimno. Niesiony wiatrem piasek uderzał w jego czułą twarz, która uległa lekkim obtarciom w czasie długiego oczekiwania.

Stanął, przeszyty nową myślą.

Uniósł głowę.

Potem, obszernym zamachem ręki odrzucił od siebie wirującą w powietrzu broń.

— Wiatr! — westchnął w rozrzedzonym powietrzu. — Czuję wiatr.

Wyskoczył wysoko, a kiedy wylądował spod stóp wytrysnął mu na wszystkie strony piasek. Wyszeptał do siebie:

— Czuję ziemię.

Popatrzył cały drżąc z radości, na leżące ciało Sollenara.

— Co mi pan dał?

Przepełniony nowym życiem, uniósł ponownie głowę do góry, patrząc w niebo, i wykrzyknął w stronę Słońca:

— Och wy dusigrosze, skąpiradła, którzy uczyniliście mnie nieprzekupnym i myśleliście, że to mój koniec!

Z miłością pogrzebał ciało Sollenara i z szacunkiem umieścił na nim znacznik, snując przy tym plany tego co będzie mógł osiągnąć dzięki swej transakcji on sam, jak i krocie tych, których wtajemniczy.

Ostry kawałek glinianego naczynia przebił podeszwę jego buta i rozciął mu stopę, ale on nie widząc rany, również i nie czuł jej. Tak samo nie dostrzegł nic, ani nie czuł, nawet kiedy zmienił skarpety, ponieważ nie zauważył zranienia kiedy powstało. Było ono nieważne. Za parę dni się zagoi, chociaż nie tak szybko, jak wtedy gdyby odpowiednio się nim zajął.

Mgliście słyszał odgłosy klekotania Marsjan za zamkniętymi drzwiami, kiedy ruszył pośpiesznie do miasta, pełen żądzy zemsty i szacunku dla swego wybawcy.

KONIEC